

Jan Leończuk • Grigorij Kanowicz • Anna Markowa • Janina Kozak  
Pajkert • Leonarda Szubzda • Józefa Drozdowska • Irena Słomińska  
Małgorzata Sochoń • Janina Osewska • Jerzy Binkowski • Ryszard  
Chodźko • Henryk Gała • Mieczysław Rzepniewski • Jerzy Sikora  
Zbigniew Tanajewski • Anna Gniewkowska • Anna Janina Kloza  
Andrzej Wydziński • Wojciech Załęski • Monika Borowik • Anna  
Chomczyk • Małgorzata Dobkowska • Katarzyna Drzemicka • Irena  
Grabowiecka • Helena Ostaszewska • Edyta Ślącza - Poskrobko  
Marta Wojewódzka • Jerzy Lech Lisowski • Sławomir Tomasz  
Markowski • Sławek Rezanow • Włodzimierz Sawczuk • Jerzy Sikora  
Dariusz Adam Zeller • Agnieszka Bojarska • Irena Gołko • Marta  
Jackowska • Agnieszka Strycharska • Kamil Dąbrowski • Marek  
Górynowicz • Tadeusz Jedliński • Artur Truszkowski • Tadeusz  
Dawidejt • Zbigniew Kaźmierczak • Michał Lech Sinico • Kazimierz  
Słomiński • Wiesław Szymański • Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz  
Jerzy Sikora • Dariusz Kulesza

# EPEA

almanach

Białystok 2003

# EPEA

ALMANACH

licz. 15, 57-9, 1171

KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICZEGO  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH  
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU  
BIAŁYSTOK 2003

Redakcja:  
*Jan Leończuk*  
*Wiesław Szymański*

Korekta:  
*Teresa Jabłońska*



821 162.1-82

TOM II

ISBN 83-88248-43-X

Skład i druk:  
Wydawnictwo PRYMAT  
15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7  
tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304

KP Białystok-EO-2003/103611



**JAN  
LEOŃCZUK**

\* \* \*

dozwól mi dojrzeć  
to co nie poczęte  
zaledwie wiatrem rozbudzoną gałąź  
drzwi domu otwarte i ptaka  
rozbudzonego a jeszcze nie w locie  
a w śnie

i listek mały kropelką świtu  
pieszczone dłonie jeszcze nie umarłe  
dozwól mi dotknąć  
i ciepłem prowadzić  
po nagich moich sadach  
aby wejść w nadzieję  
że śmierć to tylko  
jeszcze  
niepoczęta karta

-----  
jakże zapisać  
to co jest w milczeniu  
a milczeniem  
nie jest

**Notatka z 23 sierpnia 2001 r.**

złocą się miasta zmartwychwstałe gołębie  
budząc dachy ospale  
wieża świętego Rocha wstępuje do nieba  
nieśmiałe chmury

przycupnięte nad snem horyzontu  
ze szpitalnego okna  
dojrzałem młodzieńca  
jak zawiązuje sznurowadła  
w zmęczonych butach

cienie się kurczą  
narasta hałas  
zaćma w oknie

\* \* \*

nie umieraj ze mną dębie złotolistny  
naszych dróg nie połączy śmierć  
w dolinie złożą mój zmęczony lachman  
trochę kości jak drwa na całopalenie  
w pamięci pozostanie ćma w oku  
mały płatek czerni nasycony życiem  
a twoje liście nakarmią ziemię  
a twój pień ogrzeje dłonie  
aby mogły rozpalić inne dłonie

\* \* \*

powiedzieli że przysnął  
na wiórowej poduszce  
a rdza jeszcze nie dotknęła pluga  
nie zaśniedziała łyżka  
nie zesztyniały samotne buty  
a mówią że umarł  
i serce zamilkło  
jakby cisza była też śmiercią

\* \* \*

nierozpoznawalne są dni i noce  
w których słońce i gwiazdy  
mienia się blaskiem starej miedzi  
monetą odrzuconą z młodości  
nie rozmiennianą na drobne zachwyty nad sobą

a tymczasem  
nierozpoznawalne są nasze dni i noce

tylko ból  
tak samo kołacze

i światło dnia i nocy przystaje

od brzegów narodzin aż po krańce

tylko tyle?  
pyta zwątpienie  
zasłaniając źrenice

zamykam drzwi za sobą

\* \* \*

stare żony  
pozostawione z umarłymi marzeniami  
jeszcze patrzą w niebo  
jakby w nim dojrzeć miały  
ostatnią gwiazdę  
nad słuchują szelestu  
biblijnych kart  
i budzi ich sny krzyk małego Mojżesza  
uwięzionego w trzcinach  
ich wody nie płyną  
stawy pokryła rżesa  
aby nie ujrzeć wypłowiałych włosów  
targanych wiatrem



# GRIGORIJ KANOWICZ

## Żydowski park

### Rozdział ósmy

Ichhak nigdy nie rozmyślał o Nim tyle, co w czasie tej długiej, jak mu się nieraz zdawało, niekończącej się zimy. Chyba tylko w odległym, nieuchwytnym jak dawny sen dzieciństwie Pan Bóg stał przed nim tak wyraźnie, do bólu - w każdym płatku śniegu za oknem, w powiewach mrozącego dech wiatru czy też w nastroszonym gilu, który przycupnął na parapecie tylko po to, żeby Ichhak mógł się znaleźć choć ociupinkę bliżej Tego, który go stworzył dawno temu, w niepamiętnych ciepłych czasach. Bóg nieubłaganie i zazdrośnie śledził wszystkie jego czyny, nieodwracalnie przesiewał jego myśli przez swoje niewidzialne sito, to bujając wysoko w obłokach, to wcielając się w jego, Malkina, bliskich - żywych i zmarłych.

Początkowo Ichhak nie umiał sobie wytłumaczyć tej dziwnie odnalezionej więzi z Tym, którego od zarania dziejów przyjęto nazywać Królem wszystkiego, co żyje. Dawniej nie zwracałby sobie głowy pytaniem, czy Najwyższy istnieje jako kompan do spędzania nieustannie płynącego czasu, czy też wydumał go sobie po prostu zmyślny, a umierający z nudów i samotności pastuch w górach Judei. Jeśli nawet odślaniał przed kimś duszę na swym pastwisku, to z całą pewnością nie przed zadowolonymi z kolejnego przychówku i własnej głupoty owieczkami i nie przed zadziornymi barankami, przez cały dzień bodącymi nieboskłon swoimi nabrzmiałymi jak pąki na drzewach rogami.

Ostatnim razem Malkin szeptał coś na kształt modlitwy na pierwszej linii frontu, gdzieś koło Prochorowki, pod ledwie żywą wierzbą, szeleszczącą przydymionymi gałązkami nad okopem. Ale

to, co szeptał, nie było tak naprawdę modlitwą, lecz lęklwym mamrotaniem, zlepkiem niezrozumiałych, zmiętych dźwięków. Od każdego kolejnego wersu modlitwy Icchakowi zasychało w gardle, jak gdyby błagał o niezasłużone zmiłowanie nie żydowskiego Boga, ale leżącego dwieście metrów dalej niemieckiego snajpera.

Jednak i wtedy Malkin uważał, że udało mu się przeżyć w tej zaciskającej się z każdą minutą ogniowej pętli raczej dzięki przypadkowi czy niecelnemu strzałowi Niemca - snajpera niż dzięki Boskiej opiece.

Teraz było inaczej. Czuł się tak, jakby ktoś go cofnął o trzy ćwierci wieku, do dzieciństwa, i włożył jego rękę w pomarszczoną babciną dłoń. I oto potulnie ciągnie się za nią, jak wygłodniałe kociątko do miski ze śmietanką. Idą na nabożeństwo do synagogi, na babiniec, gdzie dzień w dzień kłębi się tłum staruszek - nie tyle pobożnych, co swarliwych.

Dziś Icchak nie da się za żadne skarby zaciągnąć do tej miejscowej synagogi. Poszedł raz i poprzysiął, że jego noga nigdy już tam nie postanie. Przekleństwa, plotki, targi. Rabin - nieuk z Anglii, gabaj - szczywany zaopatrzeniowiec, który jada wieprzowinę i sypia z Litwinką, członkowie minianu dostają zapłatę za udział w nabożeństwie - dwadzieścia dolarów miesięcznie. Nikt w rodzinie Malkinów nigdy nie modlił się dla zysku. Nie na darmo rabi Mendel mawiał: "Diabeł płaci nam gotówką, a Pan każe nam płacić za każdy dzień, każdą godzinę, każdą minutę". Ma się rozumieć, dwadzieścia dolarów nie leży na ulicy, ale duszy nie wolno nurzać w błocie, nawet jeśli spod niego przebłyskują złote monety.

Mniej więcej to samo powiedział Icchak amerykańskiemu profesorowi Jacobowi Fishmanowi, kiedy ten zaproponował mu jako patriarsze i odznaczonemu medalami żołnierzowi, żeby w święto Chanuka sfotografował się z członkami minianu i zapalił pierwszą świeczkę. Podziękował za ten zaszczyt. Miał już dosyć wczorajszych zdjęć - wrócił do domu półżywy, na obolałych, spuchniętych jak słupy telegraficzne nogach. Jeszcze teraz ma twarz zaczerwienioną od mrozu, a w głowie szumi mu od kłębiących się ni to od wiatru, ni to ze zgryzoty, myśli. Dobrze, że nie zgodził się także odpowiadać na pytania i na głos rozprawiać o przyszłości Żydów. Po jakie licho Amerykanom potrzebne są jego odpowiedzi - prze-



siaknięte krwią i przysypane popiołem. A zresztą, on nie może znaleźć odpowiedzi na żadne pytania, nawet na te, które teraz najbardziej go nękają: Po co żył? Dlaczego Pan Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo? I co to jest za, z przeproszeniem, podobieństwo? W czym, na przykład, beznogi Natan Guttontew podobny jest do Najwyższego? Albo Mosze Gerszenzon, który przeżył takie niezrozumiałe - w każdym razie dla Małkina - życie? Albo na czym polega podobieństwo Najwyższego do niego, Icchaka? Czyżby był skrojony na Bożą miarę? Jeszcze rok temu Małkin odnosił się do tego wszystkiego - to znaczy Stwórcy, serafinów i aniołów, do raju i do piekła - jak do wspomnień, które raptem ożyły. Niczym się nie różniły od przeprowadzki siostry Lei do Ameryki albo służby w pułku ułanów - przypląnęły i przed świtem znikną bez śladu. Wydawało mu się, że niebianie przybrali zwyczajne, pospolite rysy i na stare lata zostali jego codziennymi towarzyszami i szpiegami, jak powtarzające się co noc marzenia senne, jak babcina bajka, która wtargnęła w jego smętną codzienność - starucha wydzierga skarpetki, upuści druty i zamiast dzwonów i harf, zamiast wyrzutów Pańskich i pouczeń, on, Icchak, usłyszy swojski chrobot myszy albo cykanie świerszcza wygrzewającego się za kaloryferem.

Ale wszystko okazało się o wiele bardziej złożone.

Rano, w parku Bernardyńskim, Małkin nie oglądał się już na majaczącą na placu Katedralnym dzwonnice, zza której zazwyczaj wynurzali się Natan i Mosze, i Hirsz, a czasami nawet Lea Stawiska i "nocna Żydówka", pani Zofia. Nie, nie, był rad przyjsciu każdego z nich, ale też nie był zmartwiony jak dawniej, gdy się nie pojawiali. Może i dlatego dzwonił do nich rzadziej niż zwykle. Zadzwońisz i usłyszysz ciągle te same utyskiwania - na zdrowie, na władze, na przekłętą starość.

Jednakowoż Pan miał nad nimi ogromną przewagę - milczał i słuchał.

Icchak, będąc coraz częściej sam, wspominał dziadka ze strony matki, Szymona Minesa, wolnomysłiciela, niemal heretyka, i jego wieczne awantury z babcią.

- Poszedłbyś chociaż w Jom Kipur do synagogi. Chociaż raz na rok - zawstydziała go starucha.

- Jeśli On powie ci coś nowego, to i tak nie wytrzymasz i wszystko mi powtórzysz - odcinał się.

- Po co mam Go wysłuchiwać dwa razy?

Babcia purpurowiała jak świeżo obrany burak, ale była bezsilna. Przez całe swoje długie życie dziadek nie usłyszał żadnej istotnej wiadomości - ani od niej, ani od Boga.

Icchak sam właściwie nie wiedział, jakich wieści spodziewa się od Niego. Ale pod sam koniec chciałby coś usłyszeć - jego uszy i dusza były otwarte na oścież i Małkin był święcie przekonany, że Bóg go nie oszuka: w ostatniej chwili, w przedśmiertnym mgnieniu oka, Wszchemocny pochylił się nad nim i szepnie jakieś słowo tylko dla niego, Icchaka, przeznaczone. Dla każdego On ma takie słowo. Nie Jego wina, że ludzie sami nie chcą wysłuchać tego, co On im powie; ogłuszają się - każdy czymś innym; jedni - brzękiem srebra i złota, drudzy - szelestem wieńca laurowego, inni - szczękiem oręza.

Poczucie posiadania nieznaną dotychczas tajemnicą, uzależnienia od niej, było dla niego czymś tak niezwykłym, że Małkin postanowił podzielić się swymi nieprostymi wrażeniami nie z byle kim, ale ze złośliwym Hirszem Oleniewem-Pomerancem. Hirsch nie odznaczał się nigdy szczególną pobożnością, lecz zdaniem Icchaka - miał nietuzinkową wyobraźnię, dzięki której unosił się ponad ziemią.

- Słuchaj - zaczął bez ogródek Małkin - czy On do ciebie nigdy nie przychodzi?

- Kto?

- On - Icchak podniósł wskazujący palec ku górze.

- Bóg?

- Aha - odetchnął z ulgą Małkin.

- A co On ma u mnie do roboty? - Hirsch poruszył gęstymi brwiami - pić nie pije, nie gra w preferansa, nie chodzi na baby.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

Hirsch Oleniew-Pomeranc zamyślił się, wydobył z kieszeni papierosa, zapalił i uważnie obserwując kółeczka dymu, ciągnął dalej:

- Dawniej myślałem, że On jest naprawdę naszym ojcem.

- A nie jest?

- Jest - przytaknął flecista. - Ale takim, co uciekł z domu.

- Prędeż to ty i ja jesteście dziećmi, które uciekły z domu.

- Dziećmi, powiadasz? Możliwe, możliwe - Hirsza Oleniew-Pomeranc znowu się zamyślił. Wpatrywał się wciąż w kółeczka dymu. Wydawało się, że on sam zamienił się w lekki, niebieszczący się dymek i unosił się ku zaciągniętym brudnymi grudniowymi chmurami niebu. - Nie uwierzysz mi, Icchak, ale pewnego razu - gdzieś na początku 48 roku, przed moim aresztowaniem, błagałem Go, krzychałem: "Przyjdź, przyjdź! Jeśli naprawdę jesteś Bogiem Żydów!". Otworzyłem mu wszystkie drzwi i okna, otworzyłem szcerstwiałą podczas wojny, jak kawałek sierocego chleba, duszę, zeszkrobałem z siebie cały brud i sadzę. Krzychałem do niego: "Okaz nam miłosierdzie!"

- I co?

- Nie przyszedł. Do nas, Pomeranców, On nie przychodził nigdy, jakbyśmy byli trędowaci.

Flecista umilkł i wbił w Małkina oczy jakby przeniknięte światłem żarówki w baraku.

W parku Bernardyńskim było białe i cicho. Z cichym szmerem spadały z nieba płatki śniegu, a ich szelest czynił ciszę już to uroczystą, już to żalobną.

- A może przestalibyśmy mówić na ten temat? - Hirsza Oleniew-Pomeranc był niezadowolony. - Pogadajmy o czymś innym...

Małkin był wstrząśnięty. Czyżby najmiłościwszy Pan nie wiedział nic o Hirszu Oleniewie-Pomerancu? Czyżby anioł-posłannik ani razu nie przyniósł do stóp Jego tronu zapisków opowiadających o przelewaniu krwi za Izrael - przybytek Boga na ziemi, o lagrze na Koločej, o strasznych Ponarach? Przecież wtedy w życiu Hirsza Oleniewa-Pomeranca nie było jeszcze ani barów, ani restauracji - zaczął dorabiać dopiero po powrocie z Warkuty. Dlaczego On nie usłyszał jego modlitwy? Jakież to z Niego Bóg, jeśli nie ma w nim ani krztyny współczucia?

- Nie chcesz, to nie opowiadaj - powiedział Icchak rozczarowany, prawie obrażony, pomstując w duchu i na Hirsza Oleniewa-Pomeranca, i bluźnierczo złorzecząc Stwórcy.

- Pan Bóg nie przyszedł... Przyszedł za to mój teść - major KGB, Adamiszyn. Byłem żonaty z jego córką Lilą. Studiowaliśmy

w konserwatorium - ona na wydziale chóralnym, a ja na instrumentalnym. Walentin Pietrowicz bez zbędnych grzeczności, już od progu oznajmił: "Nie wolno ci się spotykać z Lilą. Od dzisiejszego dnia ona i Tolik - Tolikiem nazywano mojego trzyletniego syna - będą mieszkać u nas. Nie usłuchasz - miej pretensję do siebie samego. Znajdziemy na ciebie paragraf..." I trzasnął drzwiami. Lila płakała, błagała, groziła - choć była w ciąży - że popełni samobójstwo. Nic nie pomogło. Bóg-Adamiszyn przeniósł ją do konserwatorium moskiewskiego, a Tolika wziął do siebie i zapewnił ochronę. Kiedy Lila urodziła, wszyscy przeprowadzili się z niepokornej, buntującej się Litwy, do Zagorska. Walentin Pietrowicz przerzucił się z leśników z wiórami na popów z kadzidłem. Miał - jak to teraz się mówi - szeroki wachlarz zainteresowań. Podejrzewam, że przed wyjazdem zdążył przyłożyć rękę do mojego aresztowania. Dla Hirsza Oleniewa-Pomeranca były to najwyraźniej bolesne wspomnienia. Ale to, co było zepchnięte na samo dno, już od dawna domagało się ujścia - na skutek wieloletniego milczenia i utajonego życia nagromadzona ropa zaczynała kipieć, jeszcze trochę, a rozlałaby się i oprócz zrujnowanego ciała miałby niechybnie zatrutą duszę.

Szczerłość Hirsza Oleniewa-Pomeranca, czasami samobójcza, zawsze zniewalała Icchaka. Cenił jego otwartość, nieustraszoną - było w nim coś dziecięcego, bezbronno. Hirsz Oleniew-Pomeranc przypominał narysowaną naprędce tarczę strzelniczą, na której nie było ani jednego pustego miejsca, i która sama zdawała się wołać do strzelca: "Strzelaj! We mnie zawsze trafisz!"

Krążyli po parku Bernardyńskim jak więźniowie po spacer-niaku.

Flecista łowił ustami śnieżynki, tylko powieki mu drgały jak skrzydelka przebudzonych ze snu zimowego muszek.

- Ludzie to durnie - odezwał się raptem. - Boją się śmierci.

Milczał chwilę i dodał: - Trzeba bać się życia. A ja się go nigdy nie bałem. Cały czas pragnąłem go, tak jak się pożąda kobiety. Codziennie mówiłem: "Rozbieraj się i kładź do łóżka. Będziemy się kochać od rana do wieczora". Nigdy nie mówiłem: "Jestem zmęczony, starczy już, chcę się od ciebie uwolnić. Idź sobie! Do diabła z twoją pościelą, twoimi tandetnymi pieszczotami, twoim oszukań-

czym blichtrem!" Zawsze mi było mało. Nawet w łagrze czepiałem się życia jak klamki pociągu. Żeby tylko nie spaść, żeby dostać się do środka, i znowu w pierzyny, w objęcia, pysk moczyć w szampanie... Mówiłeś, Icchaku, o Bogu. A potrafisz powiedzieć, co On stworzył najlepszego? Co tak patrzysz na mnie?

- Nie wiem.

- Kręcisz, Icchaku, kręcisz.

- Naprawdę nie wiem - z naciskiem powtórzył Malkin.

- A ja, który tak lubię egzystencję, chwytam się mocno jej cyków, wiem. Moim zdaniem najlepsza ze wszystkiego, co On stworzył, jest - tylko nie narób w spodnie - śmierć. Zgoda?

- Nawet wtedy, gdy było mi bardzo źle, zawsze opowiadałem się za życiem, a nie za jego przeciwniczką..

- Niesłusznie. Śmierć - tak mi się, Icchaku, wydaje - jest sprawiedliwsza. Nie ma biednych trupów ani bogatych trupów. Nie ma martwych ojców, którzy rozłączają swoje martwe córki z martwymi mężami, i to niezależnie od tego, czy są Żydami, czy Chińczykami. Nie ma martwych donosicieli i klawiszy, podobnie jak nie ma martwych męczenników i katorżników.

- I jedno, i drugie jest niesprawiedliwe. Wyrok jest zawczasu przyniesiony do sądu i z góry znany.

- A jednak dożywocie jest gorsze!

Hirsz Oleniew-Pomeranc piłował mroźne powietrze swoim zardzewiałym głosem.

Oprócz nich nie było tu nikogo.

Z placu Katedralnego rozbrzmiewał głęboki dźwięk dzwonu, wzywającego do świątyni. Stara, umierająca władza oddała ludziom sobór, w nadziei, że wymodlą jej u Boga jeszcze rok czy dwa.

Czymże jest ten dzwon - pomyślał Malkin - w porównaniu z tym niemilknącym grzotem, przetaczającym się po naczyniach krwionośnych Oleniewa-Pomeranca i rozrywającym jego małe, najeżone serce, które nigdy nie zdołało poruszyć żadnej władzy.

- Odnalazłeś ich potem? - zapytał Malkin, starając się odciągnąć Hirsza Oleniewa-Pomeranca od myśli o śmierci.

- Kogo? - flecista nie od razu domyślił się, o kogo chodzi. Jego twarz jak gdyby zastygła na mrozie, tylko w oczach jak w kuchence spirytusowej gorzał płomień.

- Lilę i Tolika.

- Nie. Szukałem ich dwa lata. Pisałem do Moskwy. Prawie że do Stalina, na Kreml. Jeszcze wtedy wierzyłem w tego złoczyńcę... Odpowiedź zawsze była ta sama: "Adresaci nieznani". W całym ogromnym kraju nie było ani jednego potrzebnego mi Pomeranca i ani jednej Adamiszyny. Nie było, i już. Ulecieli, wyparowali. Odebrała mi Ojczyzna dzieci, tak jak kotce odbiera się kocięta. O tym dziecku, które dopiero co miało się narodzić, nic nie wiem. Kolega-saksofonista mówił mi tylko, że podobno to też był chłopczyk. Może to prawda, a może lipa.

- I już ich nie szukałeś?

- A czy to miałoby sens? - potarł czoło i wystękał: - Najprawdopodobniej zginęli razem z babcią i dziadkiem, z ciotkami i wujkami tu, w Wilnie, w getcie. Ustawili wszystkich w kolumnę i popędzili do Ponar. Czy to nie wszystko jedno, kto stał na skraju wąwozu z automatem - czy Niemiec, czy litewski policjant, czy major Walentin Pietrowicz Adamiszyn...

Podniósł się wiatr. Zaczął ciskać mu w twarz duże płaty śniegu, zalepiać oczy, zamiatać ścieżki.

- Pora do domu, Icchak. Na wieczór synoptycy zapowiadają zamieć. I w ogóle z tym żydowskim parkiem - kaput.

- To prawda. Mosze Gerszenzon walczy ze śmiercią. Można walczyć do woli, ale żołądka nie da się zastąpić protezą. Natan Gutjontew pilnuje żonki. Trzeba będzie na wiosnę urządzić uroczyste zamknięcie - wysłać listy do wszystkich - do twojego imiennika Icchaka Szamira do Izraela, do George'a Busha do Ameryki, do Francois Mitterranda do Francji, do Margaret Thatcher do Anglii - Hirsz Oleniew-Pomeranc nagle zanucił: "Bez kobiet nie ma życia, o nie. Jesteście naszymi gwiazdami, każdy poeta to wie..." Gorbacz ze swoją przycwałuje bez żadnego zaproszenia. Michał Siergiejewicz naszym braciom otworzył wrota do szczęścia. We wszystkich krajach, oprócz własnego. Porozumiem się z koleżkami, zmontujemy kapelę, oczywiście najpierw zagramy "Hatikwę", potem dla równowagi odwalimy "Sojuz nieruszymyj..." i na deser "O, Litwo, ojczyzno nasza...", jak to się mówi, z przytupem, a potem coś z dziecinnych lat, na przykład "Iz giewen a moł a pastechł" albo "Rożynkies mit mandlen". Z całego świata zjadą się tele- i radiore-

porterzy, przeprowadzą bezpośrednią transmisję do swoich krajów... Jakże by inaczej - zamyka się jedyny na świecie park niepotrzebnych Żydów! Zapewniam cię: to będzie ogromny sukces. Na jeden wieczór zostaniemy dla całej planety bohaterami! Ale po co ja ci to wszystko tłumaczę, powiadają, że zostałeś już gwiazdorem filmowym.

- Skąd wiesz? - naburmuszył się Małkin.

- Śmieszne pytanie. Żydzi o wszystkim dowiadują się pierwsi, ale o tym, czego się dowiedzieli, zapominają ostatni... I jeszcze o czymś wiem.

- O czym?

- Że masz, mój staruszk, nie dom, ale piwnicę z alkoholami.

Czy to prawda?

Małkin się zmieszał.

- Sam alkoholu do ust nie bierzesz, a całe życie przyjmowałeś łapówki w postaci wykwintnych koniaków... Dla kogo, kutwo, je trzymasz?

- Dla gości.

- Nie łzyj! Jakich to gości przyjmują ludzie w naszym wieku? Skończyli się gospodarze, to i skończyli się goście. A może jeszcze spodziewasz się kogoś?

- Nie - poddał się Icchak.

- No to idziemy do ciebie! Nie bój się, wszystkiego nie wypijemy... Zostawimy trochę dla Mesjasza.

*Z języka rosyjskiego przełożyła Bella Szwarzman-Czarnota*

*Niniejszy fragment pochodzi z najnowszej książki Grigorija Kanowicza „Park Jewriejew”. Przekład powieści ukazał się pod koniec 2002 r. nakładem wydawnictwa „Pogranicze” w Sejnach.*

### **Kto zrozumie kobiety**

Kto zrozumie kobiety  
Czemu nimfa Dafne  
Bała się Apollina  
I jego miłości

Był przecież piękny  
Utalentowany  
Miał władzę  
Mógł być marzeniem  
Niejednej ziemianki  
A ta wariatka  
Szukała ratunku  
U naczelnego  
Boga Panteonu  
Zeusa

Pomógł przewrotnie  
Zmienił wiotką Dafne  
W szlachetny wawrzyn  
Laurus nobilis

Choć symbol chwały  
Ale tylko drzewo  
Znieruchomiałe  
W wieczystej zieleni  
Chyba nie tego  
Pragnęła szalona  
Wybranka Łucznika

Kto zrozumie kobiety



## Pod mieczem

Damokles  
Dworak władcy Syrakuz  
Zazdrosny do szaleństwa  
O złoto i potęgę  
Swego pana  
Został ukarany  
Nad wyraz perfidnie  
W czasie wystawnej uczyty

Nad jego głową  
Zawieszono miecz  
Na włosiu końskim  
Damokles  
Dławił się jadem  
Krzuszył winem  
Oni  
Po prostu  
Patrzyli

My także  
Siedzimy  
Na wykładach  
Bankietach  
W kinie  
W teatrze  
Wszędzie  
Po mieczem Damoklesa

Nie wiemy  
Kiedy pęknie  
Słabe końskie włosie

## Spadanie

Mityczny Ikar  
Uleciał z labiryntu  
Na skrzydłach stworzonych  
Przez ojca Dedala  
Upojony blaskiem  
Zbliżał się do słońca  
Skrzydła zaczęły płakać  
Woskowymi łzami  
Runął ze złości  
W błękit morza

Ikar - nasz współczesny  
Chce uciec  
Z mrowiska blokowiska  
Popija wódką dragi  
Otwiera okno  
Na ósmym piętrze  
„Polatam trochę” - mówi  
Spada z szarości  
Na szary bruk



## Przewoźnik

Jestem zmęczony  
Mówi Charon  
Woda Styksu gęsta  
Od słonych łez  
Trudno wiosłować  
Trzeba dużo siły

Jestem już stary  
Mówi Charon  
Nie mam cierpliwości  
Do kapryśnych dusz  
Marudzą  
Dla nich podróż  
Za długo trwa  
Są tacy niecierpliwi  
Jakby nie wiedzieli  
Że ich czas znieruchomiał

Jestem bezradny  
Mówi Charon  
Z wyroku bogów  
Będę przewoźnikiem  
W nieskończoność  
Marne obole  
Zapłata za drogę  
Mało warte  
Nie mogę kupić  
Wolności

## Koń

Pegaz  
Syn Posejdona  
Bywa narowisty  
Intruzów zrzuca  
W powietrzną pustkę

Wierzga zaciekle  
Rani kopytami  
Potrafi także  
Zamachnąć się skrzydłem

Gdy ma dobry humor  
Przewiezie poetę  
Od strofy do strofy  
Lecz raczej rzadko  
I od niechcienia

A ten nieborak  
Ubzdura sobie  
Że wzleci na Parnas  
Na grzbiecie  
Podniebnego konia

## **JANINA KOZAK – PAJKERT**

### **Upór moralisty**

Świat nie otworzy się przed tobą  
niby puszysta kieszeń.

Nie pofruniesz w miękki przestwór,  
który ukoi twoje skrzydła.

Humaniści również nie dadzą  
rękojmi w odezwie.

Tylko zawsze na popiołach  
wyrosną samowładne trawy  
drzewom przybędzie głębokich sił,  
Nowy York słupami światła  
oznaczy miejsce  
World Trade Center.

Pomódl się za ciszę  
zamordowanych wieżowców,  
za najsmutniejsze ręce i stopy.  
Bo one zawsze tu będą  
i wbiją osikowy kolek  
w upiora złoczyńcy.

## Modlitwa

Choć nie wybuchasz przede mną  
Krzakiem ognistym  
ani nie wiedziesz przez morze,  
które złamie się na pół  
i spod nóg ucieknie –

choć wybierasz setki  
Hiobów na cel,  
a Twoje milczenie boli  
jak zagłada –

to wiem,  
że byłeś, jesteś i będziesz.

Tobie zapalam jasną świecę.  
Oto dom, oto płomyk, oto chwila,  
w której Bóg zamieszkał.

Błogosław.

## Kołysanka dla męża

Dwie rzeki się spotkały,  
dwie rzeki rozmawiały  
aż powstał jeden nurt  
i jedno imię.

Przyszła dziewczyna śpiewna,  
codzienną wodę czerpała.  
I pili wodę ludzie  
czystą jak w Kanie cud.

Nikt rzeki nie mącił kijem  
ani nie szarpał grążeli.  
Na dnie przejrzystej wody  
nuciły złote kamienie.

## LEONARDA SZUBZDA

\* \* \*

warszawa dworzec wschodni piąta rano  
kawalek świata i życia  
czyjeś czekanie drzemka ściszone rozmowy  
osiem krzeseł okupują bezdomni  
nieudolnie udający podróżnych  
tylko te plastikowe torby obok

na schodach skulony facet klnie  
i kopie powietrze albo kogoś  
kogo zostawił  
nie wiem kogo i gdzie  
może w domu którego nie ma

co jakiś czas ktoś wychodzi na perony  
wsiadzie do pociągu i odjedzie  
nikt nie zapamięta nikogo  
obojętność doskonała

mężczyźni w dżinsach  
kobiety przeważnie w kłapkach  
kto tu dobry kto łotr

dwóch niestarych już podciętych  
gdzieś uzbierali na piwo tak wcześniej  
obejmują się teraz  
w geście męskiej solidarności

bulki w minibarze wczorajsze  
narzeka chłopak z aparatem słuchowym  
niebrzydki na oko dwadzieścia lat  
czy będzie słyszał miłosne wyznania  
dziewcząt

co takiego jest w dworcach  
mają smutek tymczasowości  
pociągi i ludzie przejazdem  
powitania i pożegnania

tylko gołębie usiłują tu żyć  
ale cóż to za gniazda  
pod betonowym niebem  
jakaż wolność jeśli nie można  
przefrunąć ścian

\* \* \*

często śni mi się stara studnia  
skrzypi łańcuch na kołowrocie  
połyskliwe lustro na dnie głębi  
zajrzeć prosi

w cementowych kręgach odbłask nieba  
wraca tamto upalne lato  
tamto szczęście nim odeszło z życia  
w szarość świata

jednoręki dziadek Ludwik jak kiedyś  
wyprzęga z pługa gniade konie  
jeszcze drgają im pod lśniąca sierścią  
mięśnie zmęczone

konie piją wodę nieśpiesznie  
z rdzawych wiader lekko pogiętych



odganiają mokrymi chrapami  
muchy natrętne

dziadek Ludwik od dawna pasie  
swoje konie na niebiańskich łąkach  
pewnie dostał od dobrego Boga  
nową rękę

nie ma koni odeszli ludzie  
nikt nie czerpie ze studni wody  
niczyj głos nie wraca z głębi kręgów  
zmieniony

opuszczone studnie jak ludzie  
umierają z braku miłości  
ich agonía trwa do ostatniej  
wody kropli

\* \* \*

błogosławiona  
ciszo sadu  
w wieczornym oczekiwaniu nocy

kiedy liście strzepują  
pył dnia  
przed wędrówką  
do rajskich ogrodów

wtedy zabiega im drogę  
Ewa  
gotowa zerwać owoce dobra i zła  
grzechem zapłacić  
za szczęście

dzięki niej  
skazano nas na życie  
poznajemy je  
w wiecznym wędrowaniu  
czasem  
odnajdujemy siebie

nasi mężczyźni  
/wciąż z kawałkiem jabłka w krtani/  
kochają w nas niedoskonałość

i szczęście pierwotne  
kiedy o świcie  
ubieramy je  
w liście wstydu



[www.photodocument.pl](http://www.photodocument.pl)

# JÓZEFA DROZDOWSKA

## Spotkanie

Jakaś dziewczynka przebiegła obok mnie  
na nartach.. Zsunęła się z jej głowy  
pilotka z angorowej wełny a za moment  
tuż obok upadła niczym motyl  
rękawiczka w kolorowe paski. Jakbym  
nagle znalazła się wewnątrz  
czarodziejskiej kuli. Patrzę na nią -  
- już ją kiedyś spotkałam! Ma znajomy mi tornister  
i palec w buzi trzyma tak podobnie -  
cała żali się niebu na chłód i niezrozumienie.  
Dziewczynko - mówię do niej - dziewczynko  
za górą jest twój pałac i wiersze  
pełnią w nim straż. Poślij psa -  
on ci przyniesie zgubione rzeczy.  
Dziewczynko... A ona nie znając mnie jeszcze  
żali się coraz głośniejszymi spazmami płaczu  
strąca na nas obie nawisy śniegu z drzew.

## W Pierelesiu

*Stefanowi*

Od południowego wschodu  
żurawi klangor -  
zapachniało dałą  
zdaje się że tylko  
przebiegnę ścieżek  
kilka w lesie

przeskoczę swą słabość  
zaufam siłom  
drzemiącym we mnie  
jak w tych ptakach  
zdaje się...  
Piaszczysta droga  
powiada co innego  
a stare jabłonie  
zmitrężone trwaniem  
nie poganiają mnie  
Na Kuriańskich Bagnach  
płowieje żurawina  
Co robić wtedy gdy się jest  
raz ptakiem  
a raz tylko jego cieniem

\* \* \*

*P. Cz.M.*

Trzymać na kolanach psa  
to jakby się trzymało trzyćwierci świata  
w oczach psa dal przeżyta i dal do przeżycia  
W jego oblizywaniu łapy  
ciągle poddawanie się życiu  
jak w słowie ciągła nadzieja na wiersz  
Trzymać na kolanach psa  
to jakby głaskać szczyty gór i fale oceanów  
W oczach jego widać gwiazdę zaranną  
i tę, która nas ostatnia pożegna  
Trzymać na kolanach psa  
to wiedzieć, że trzyćwierci świata jest w nas  
a reszta może nie dla nas  
Tajemnicą jest to czego nie ma  
w psich oczach

**IRENA  
SŁOMIŃSKA**

\* \* \*

tak naprawdę pochwyliłam trochę szczęścia  
żar ptaka  
jeszcze dziś chucham po rękach  
i tak do końca nie wiem czy to był żar  
czy ptak

wzniósł się  
zarzewie ognia  
w jutrzence  
a za nim podążyła lotna myśl

a to przecież była tylko wschodnia baśń  
narodziłam się i umieram w baśni

koślawy manuskrypt  
pozostanie po mnie  
krzyk gwałt i przemoc  
i rosochate  
wierzby trwania  
które na przekór złu  
puszczą liście na wiosnę

nieprawdziwe  
są rysztocki żył  
nieprawdziwa  
jest gwiazda wschodząca w kałuży  
nieprawdziwe  
jest piekło i niebo we mnie

i tylko ja  
nierzeczywista z wyboru  
cieszę się

\* \* \*

i znowu śnieg za oknem  
jak sama niewinność  
i schludność tego świata

we mnie wciąż się jeży  
skulony zając jak kajet za pazuchą  
z jaskrawą oceną  
niedostateczną

lecz Bóg kocha i zające  
gdybyś mi powiedział  
przeszłego roku  
że się zdarzy  
coś co oduczy mnie strachu  
to bym nie uwierzyła

lecz wróćmy do spraw ważniejszych  
do okrutnego  
ładu przyrody  
który pokonuje nieład

wymarły dinozaury  
i przyszły ssaki  
nagi nieodporny człowiek

to nieprawda że ustanowiony przez  
władzę  
Boga lub szatana  
bo Bóg jest samym dobrem nie władzą  
jest ideą tego świata

i znowu śnieg za oknem jak sama niewinność  
lecz powiedz czy liczysz na łaskawość

śniegu

\* \* \*

i znowu pomyślałam  
że w człowieku jest brzydota  
tak wielka jak niemoc

jak grudki potu skupione na ciele  
tak się gromadzą  
nieefektywne  
wydzieliny

w spalarniach szpitali  
są nasze woreczki żółciowe  
ręce nawet oczy

falsz  
czyżby prawdy trudne  
były nie do zniesienia

bo kocham  
zniszczone rakiem ciało matki  
przepuszczający pęcherz  
i własną niesprawność

bo się uczę  
współistnieć nawet z muchą

bo w płwocinie  
jest nieodłączna cząstka tego ciała  
które uczy mą duszę

bo w cierpieniu  
rośnie coś tak ulotnego jak heroizm

właściwie  
istnieje tylko upodlenie ducha

nieuchronny upadek  
nieuchronne  
wyniesienie





## **MAŁGORZATA SOCHOŃ**

\* \* \*

wszystko sobie przypomnisz  
zobaczysz  
matka wychodzi z wilgotnego lasu  
niesie koszyk maślaków  
ojciec za nią z uśmiechem  
patrzy na jej nogi

\* \* \*

piękny był dziadek Wiktor  
  
po osiemdziesiątce  
przy stole  
z głową obok słoika  
miodu na serce  
jagód na żołądek  
potrafił patrzeć w oczy aż do przyszłości  
  
nauczył mnie budować  
głębokie studnie z zapalek

\* \* \*

Zuzanna  
tworzy świat  
do oglądania  
owoce ustawia  
w pięknym koszu  
daleko od stołu  
Zuzanna  
nie do dotykania

### **samotność**

a ona tam została  
gdzie ćma  
z rozłożonymi skrzydłami  
w kształcie ust  
uśmiechniętych  
przysiada na ścianach

na pocieszenie

w kształcie ust  
ćma

## JANINA OSEWSKA

### Sąsiadka

*podczas mszy*  
pisałam wiersz o starej kobiecie  
która wciąż szuka  
Boga i życia  
ostatki nosi w sobie  
niczym wielki żal  
mówi że dawniej była potrzebna  
jak opakowanie dla szklanych naczyń  
czasu  
nie pociąga zniszczona i brzydka twarz  
przygarbiona sylwetka z początku XX wieku  
wraca pamięcią  
jedynie do przeżyć z Odessy  
i w szczegółach opowiada  
o stroju cara i jego rodziny

dzisiaj nie pamięta  
czy syn jest  
przy niej

### stara kobieta

na mojej ulicy  
mieszka stara kobieta  
mówi że życie uczepiło się jej  
jak pijawka

często siedzi  
w oknie nieruchoma jak obraz  
kupka zmiętych łachmanów  
mleczne oczy wypatrują  
śmierci

czasem idzie  
nie odrywając nóg od ziemi  
szur...szur... przeklinają czas  
zdarte zelówki  
życia

### starość

starość spogląda nieufnie  
przez okulary jak denka od butelek  
rozmywa obrazy nie poznaje ludzi  
źle czyta  
ma uszy zatkane watą  
w starym fotelu  
zasypia jak jesień  
i budzi się jak wiosna  
niczym zima  
wciąga grube rękawice  
nie może pić z cienkiego szkła  
pokorna i smutna siedzi  
na rodzinnym przyjęciu

pamięta  
dlatego próbuje znaleźć alibi  
lecz nieposłuszne ciało  
pozostaje samotne

## **JERZY BINKOWSKI**

### **Miłosierna Pani**

Zabrałaś mnie z ulicy,  
wyniosłaś na górę, po schodach.

Wilgotnie tam było i ciemno  
i ja mówiłem: „Zlituj się nade mną.  
Wspomóż, przygarnij,  
przecież przytulasz żywych i umarłych.”

I stało się: jak po przebudzeniu,  
świata nie poznałem, takem się odmienił.

Z cienistego cienia, nadziei oczami  
zobaczyłem Ciebie – Miłosierna Pani

Przezroczyta – z ciszą łązy na skroni

### **O mocy zawarta w nocy**

Przymruża w oku całą niedorzeczność słów:  
oszukuje siebie spacerując w odwrotnym kierunku

Oddychanie staje się coraz mniej bezmyślne:  
dlaczego w jego głowie jest tak wiele kobiet

Broda – siwa przyjaciółka jak antyczna zagadka:  
rusza on w podróż tak czuły na głąskanie wiatrem

O poranku (czwarta trzydzieści) stoi całkiem ubrany:  
wrywa nocy obrazy jak lakmus wysysa barwy

\* \* \*

Jej delikatny rumieniec wsącza się w skórę  
i naga wsuwa się do łóżka muskając sen na szyi

Otwiera skrzydła w orzeźwiający podmuchu  
a bordowe jej wargi rozchylają się jakby chciały  
powiedzieć

Obudź się  
Moje oczy jak delfiny na powierzchni fali  
Czy zasługuję na swoje imię

Jak myśleć swoimi myślami

\* \* \*

Wędruje poprzez tajemniczy las  
zamieszkuje w drzewach wypędzając ptaki

Piaszczystą ścieżką  
żwirowym traktem

W kościołach wymyte podłogi z marmuru  
i zapach róż herbacianych w bocznym ołtarzu

Sensy zasychają na ustach  
po wylewie morza na zwichrzone urwisko

świeży chleb w białej koszulce

## Czekam z nadzieją

*Olimpii Kolosowej*

Muzyczny bezruch pustki układa do snu pieśni  
szum westchnień w zadumie spływający o północy

Kto wyposażył mnie w wiedzę o tym  
co wydarzy się po twojej śmierci ?

Najtrudniejsze są poranki w białym pokoju  
wypełnionym mądrym chłodem i dobrocią

Wieczór – światło opuszczone do końca  
małe iskry miotają się po podłodze

Powędrowałaś na drugą stronę białych brzoź  
a ja wciąż jestem tu gościem

Słyszę szepty schowane w dojrzałym jabłku  
światło i ciężar - równomiernie rozłożone

Moje ciało to ogrodowy aster w koszyku płatków  
błyszczą jak kałuża i księżyc z ciemności

Rok w rok przenikasz cichutko  
w dźwięku moich siwiejących skroni

Sunę piórem niczym światło do swego wnętrza  
a wiatr zmysłowo przestawia litery jnaian

Najdroższa Matko ile to lat minęło  
że nie umiałem Cię poznać - dokończyć - objąć

Teraz wciąż czekam, że powiesz  
Wszystko zrobiłeś, co mogłeś.

*Trofimówka 6.08.2002*

## Z Don Kichotem w tle

Don Kichot krążył po Polsce  
nie umiał świata rozpoznać  
pojawił się w Pałacu  
w Oborach

pod nieobecność Boga  
który ukrył się w wileńskiej Puszkarni  
świat objawił się  
w przerażającej wieloznaczności

Don Kichot wyszedł z domu o brzasku  
na jego oczach prawda przedwieczna  
prawda jedyna  
rozpadła się na bezlik prawd  
którymi podzielili się ludzie

tylko kwiaty ryby i zwierzęta trzymają się jeszcze razem

kapitan Rule zaobserwował  
że kiedy harpun  
trafia w wieloryba  
wszystkie inne wieloryby  
w promieniu dziesięciu kilometrów  
rzucają się jak rażone gromem  
i gwiazdy zęby Boga  
bielsze niż brzuch wieloryba  
żyją jeszcze w przedwiecznej miłości



i ptaki na niebie  
które jak ryby w morzach  
poznają się po rytmie serc

zwierzęta potrafią jeszcze marzyć  
patrzeć w wodę  
i słuchać wiatru  
ja mol książkowy  
nie jestem poetą  
jak Jerzy Ficowski  
który deszczem ceruje dziurawe parasole  
ale mam swój fach w rękę  
potrafię poranną rosą  
zacerować dziurawą skarpetkę

ja mol  
szepczę do gości  
uchwycie mnie w przelocie  
i jeśli macie odwagę  
spróbujcie rozwiązać zagadkę szczęścia

my mole  
wylatujemy z szafy  
nie tylko Olgi Tokarczuk  
węszymy w wełnie życia  
czy nie za zimny wiatr  
na naszą wełnę

my mole  
kiedy goście w tonacji molowej  
zadają nam śmierć  
roimy iż na nasz widok  
klaszczą z radości  
i zacierają dłonie

my ćmy  
spopielamy się w świecy

ludźmy się iż przeszywamy na wylot  
słońce

taniec motyla  
kres i rozwinięcie skrzydeł

wyplątujemy się z kokonów jedwabnika  
żywemy wiecznie  
tyle tylko że gdzie indziej

### Z Leonardem w tle

A kiedy przyszli na miejsce zwane Czaszką  
ukrzyżowali Jego i dwóch złoczyńców  
jednego po prawej drugiego po lewej stronie

Tak przed świętem Paschy  
pod płomieniami jerozolimskiego słońca  
zamarł na wzgórzu Odkupiciel

A ci którzy przechodzili obok  
potrzęsali głowami i szydzili  
jeśli jesteś Synem Bożym  
zstąp z krzyża

Głuche było niebo nad Jerozolimą  
jak sto lat wcześniej  
gdy na rozkaz zhellenizowanego władcy Judei  
Aleksandra Janneusza  
ukrzyżowano ośmiuset powstańców  
i gdy na oczach skazańców  
wymordowano ich żony i dzieci

Milczały niebiosy  
jak błękit nad daleką Italią  
gdy żołnierze Krassusa

rozpięli na krzyżach wzdłuż Via Appia  
sześć tysięcy niewolników  
utopionego w krwi powstania Spartakusa

Milczało niebo nad Golgotą  
zobojętniałe na bezkresny las krzyży  
i milczał Leonardo da Vinci  
oparty o kolumnę stał i patrzył  
jak francuscy żołnierze  
zrobili sobie z jego konnego posągu  
tarczę strzelniczą  
i kawałek po kawałku  
rozstrzeliwali konia i jeźdźca  
a Leonardo stał i patrzył uważnie

Zadymiony obraz z Leonardem w tle  
po popiołach Holokaustu  
i całopaleniu Hiroszimy

Dziś nędza Kalkuty i Zairu  
i wszelkich miejsc Trupich Czaszek  
w listopadzie 1996 roku  
uciekiniery z Zairu  
aby przeżyć jedli trawę  
równocześnie przeznaczono 50 milionów funtów  
na zorganizowanie kongresu  
poświęconego problemom głodu

Gdy sześć tysięcy delegatów  
przybywało do hoteli w Rzymie  
około pięćdziesięciu tysięcy ludzi  
już umarło  
a liczba uciekiniarów z Zairu  
przekroczyła milion

A Leonardo stoi i patrzy bardzo uważnie

## HENRYK GAŁA

\* \* \*

Grudniowe okruchy

- nie dla ptaszków

?

Nie bać się strachu  
kiedy stęchłe białko

do żył sieczkę sypie.

To wielka odwaga  
nie mierzyć wtedy góry

ilością schodów ale obłoków.

Nie lękać się.

Trwogi  
własnego serca.

?

Zero nie chce usnąć.

Pijane, wyszczerbione  
ale ciągle zero.

Zawsze coś – mówi o sobie.

?

Na tyłu osłach od dawna

nie jeździłem,

a dziś wjechałem w sam środek siebie.

Pochopne i głupie po swojemu drepczą

pajęczynami ścieżek między gwiazdą  
i kamieniem.

Gówna starannie

skrzętnie

solennie

omijając. Nie takie

więc głupie i pochopne.  
Może bez osła nie można przez życie?

?

Tyle nas było,  
że świata mało!

A zostało?

Tyle samo, tylko widać  
jakby trochę mniej.

?

Kwiat spada z gałązki na stół  
jak ptak zestrzelony przez ciemność.

?

Jakby dzikie koty dostały się do naszego ogrodu  
- nikogo między nami.

Cisza, a nie słyhać jak z palca na palec  
przewija się srebrna nić upleciona z dmuchawców.  
Cisza.

Ale nasza. Nie po nas.

Chcę zapamiętać ciebie  
tak, żeby wiatr nie wywiał

woda nie wymyła

robak rozdziawił się w zachwycie.

?

(o „rozumieniu” poezji)

Nie,

nawet jeśli siedzi obok w tramwaju

albo pyta mnie o zdrowie,

nie każdy odczyta.

Nie każdy, choćby słyszał od siebie

że warto, bo będzie pewien, choćby obola,

nie znajdzie ani grosza.

Za to, kto wie niepewnie

ile jest nie do opisania

albo do opisania właśnie,

zawsze,

każdego zegara i każdej doliny dnia.

Nawet kiedy nie można znaleźć siebie

przy swoim stole,  
ten każdy – tutaj  
zobaczy siebie może  
między wierszami.  
?  
Uczę się na pamięć.  
Coraz mniej już teraz,  
ale zapamiętać aby nie w puste odchodzić.  
Na zapamięć  
kilku albo jednego czegoś się uczę.  
?  
Proszę,  
proszę, proszę  
i proszę...  
Od dawna.  
Od jak dawna?  
Od tak dawna, że nie wiem już o co...

## Ten, który

Ten, który obiecuje  
Ten, który oczekuje  
Ten świat, myślisz, który tęskni do mnie  
Którego przecież nie masz prawie,  
poza tym jednym słowem,  
jest przecież.  
Widzisz, jak sypie chwilami  
dosłownego istnienia  
Widzisz, jak drętwieje w mętnej źrenicy kamery  
Widzisz, kiedy wypada z huczącej, wielkiej wieży Babel  
na Synaj śmietniska  
jest przecież nadal.  
Ten, który widzisz,  
wiesz już prawie jaki, ale ciągle nie bardzo jak  
a bardziej jeszcze - dokąd, ten świat tęskni, obiecuje, czeka  
dopóki nie jesteś sam.

Nawet kiedy nie ma tego, który widzisz.  
Nawet, kiedy nie wiadomo co jest jedno ani co drugie.

## Tło do portretu

Świat obolałych chłopców  
zdradzających o świecie  
swoje wieczorne ojczyzny,  
wczorajsze matki i ledwie zdobyte dziewczyny przyjaciół  
wynoszonych z piwnic i ogrodów dzieciństwa.  
Ten świat nie zginął.  
Zaniemował tylko, mam nadzieję.  
Chyba, że są już chłopcy (jak grona żabiego skrzeku  
w przedwiosennym strumieniu)  
bez ojczyzny, matki, przyjaciela z dziewczyną,  
tylko ja nie wiem jak wymawia się ich imiona.

## Ojcowie

Bawiący się światami,  
głaszczemy nasze dzieci, tulimy  
bijemy jak psa,  
żeby tylko nie domyśliły się  
że życie...  
Dopiero pod koniec  
nabiera cech prawdy.

## Kapłani

Czekający wieczora  
i czekający świtu  
Wyglądający oknem  
ponad głowami idących  
Oczekujący na czknięcie wskazówki minutowej

zegara na III peronie  
I pierwszego, przeciągłym świstnięciem  
budzącego się ptaka  
A także wszyscy  
I każdy  
tylekroć wyczekujący na wszystko  
jesteśmy blisko spełnienia...

## Chwila

Dwie kawki  
w pogoni za sówką  
przelatują codziennie przed oknem  
kwadrans po dziewiątej.  
Nie czekam  
tylko zerkam na zegar.

## Przez kilka ścian

Stare zegary chodzą  
jakby wspinały się po schodach.  
Wydzwaniają godziny  
jakby wciągały połamaną drabinę.  
I nie ważne jak wysoka wieża,  
w końcu zawsze przewraca się  
głową w dół... jakby.



## **MIECZYŚLAW RZEPNIEWSKI**

### **Poranne nawiedzenie**

Już wiem, co znaczy chodzić  
Przy boku z Jezusem,  
Gdy sen zostawiam ciepły  
Za drzwiami kościoła.  
Pan tu jest i mnie woła,  
Jak Martę w Betanii,  
Gdyż większa jest od prośby  
Odpowiedź z wysoka.  
Potykam się w milczeniu  
O grudy niewiary,  
Kaleczę moje stopy  
Ogrójcowym cierniem,  
Majaczy gdzieś w oddali  
Brzeg niewysłuchania;  
Wtedy, jak Piotr zawołam:  
Nie przyjdzie to na mnie!

\* \* \*

Lubię tęsknić za Nazaretem –  
Życiem łaski ubranym w zwyczajność,  
Tak jak człowiek pragnie od zawsze  
Tłenu, wody, zdrowego pokarmu.

Na twych polach, ja byłem kolonem  
Płacąc haracz za chwile słabości,  
Otoczony doczesności kokonem,  
Zapomniałem o prawdziwej wolności.

Wiem, nie musisz dla mnie się objawić,  
Żyję ciągle w świetle Twoich cudów:  
Przecież wszystko może się wydarzyć  
Trwa godzina wielkich Bożych budów.

\* \* \*

Dać imię bezimiennym,  
Czy to takie trudne,  
Gdy rzeczy coraz bliżej  
Wpadają do ręki,  
Jak Hitchcockowe ptaki  
Pozbyły się lęku  
I o władzę już walczą  
Nad zdumioną ziemią.

Dać imię sobie muszę  
Dotknięty amnezją,  
Tysiące propozycji  
Reklamą przemawia;  
Nie zostawiaj mnie, Panie,  
Na pastwę żywiołu,  
Który ogarnia wszystkich  
I do ustępstw skłania.

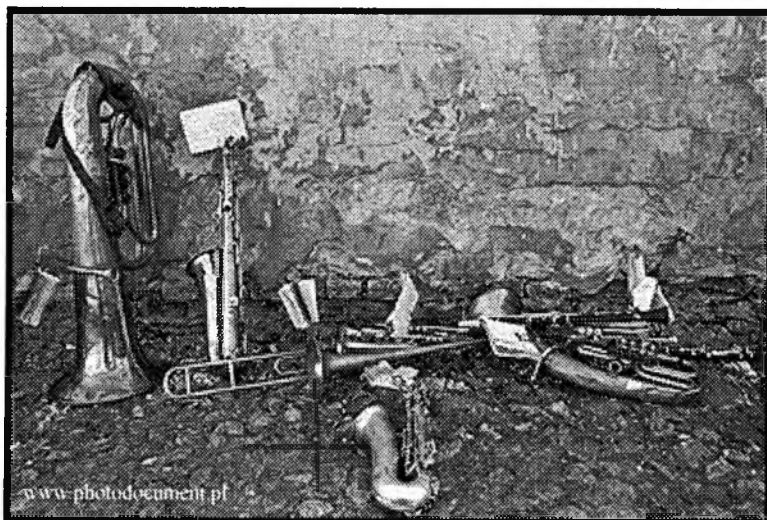
\* \* \*

Niosłem brzemień oburącz –  
I ono mnie niosło,  
Przybierając kształt krzyża,  
Jak podręczne wiosło.

Liczyłem moje stacje –  
Brzmiały nazwy obco,  
Jakbym powtarzał w kółko:  
Jestem Twoją owcą!

Tak żyłem zbuntowany  
Z Ogrójcem na bakier,  
Pragnąłem gorycz wiary  
Zmienić w słodki lukier.

Jednak u kresu drogi  
Usta wyszeptały  
Pacierz większy od troski:  
Bądź wyrozumiały!



## **List do Marcela Prousta**

panie Proust  
dzisiejsze magdalenki mają zakalec  
nie rozpływają się w ustach  
żadnych skojarzeń  
podróży w pamięci  
totalna amnezja

panie Marcel  
współczesne Odety i Albertyny  
uprawiają ostry seks  
nie drżą z miłości  
nie poszukują straconego czasu  
nawet nie wiedzą że straciły  
kochają się i żyją byle jak  
chwilą beznamiętną  
pustą

w cieniu rozkwitających dziewcząt  
wypłówał czas

## **The Lady in Red**

*Pani Jadwidze Groniek - Subocie*

słucham songu Chrise de Burgha  
w instrumentalnej wersji  
Pani w Czerwieni

perkusja wystukuje jej kroki - - - -  
dźwięk butów  
słyszę jak zmierza do drzwi  
za chwilę podejść  
otworzę  
głęboko spojrzę w oczy  
och zaczerwieni się  
w szarym pokoju  
zaczerwieni  
tęcza może się schować  
ze swoimi barwami  
karminowe wargi  
coś powiedzą lub nie  
nie muszą

-----  
skończyła się melodia  
znieruchomiła płyta  
szczęście trwało minut 4:03

## Vanessa-Mae gra "Destiny"

rozciągnięta na strunach  
w ciemnościach wszechświata  
odrywa się od ziemi  
błysk smyczka rozwiewa włosy

bogini skrzypiec  
chce przeraźliwym dźwiękiem zbudzić Boga  
gra całą sobą  
sama otwiera usta z zachwytu  
księżyc łasi się do jej stóp

myśle:  
her destiny to die young

## ZBIGNIEW TANAJEWSKI

### Kołaczę

Dobijam się o prawdę - w sobie  
do nieba - uczucia, bo cóż ważniejszego  
ponad to kołatanie? Bezślowne  
istnieje, więc nie da się zamknąć  
w forint. Wszak bez dowodu ulepiona  
wiara, a niszczące ciało jedynie  
tutaj pewne, oparte łokciem o stół,  
zanim stopnieje zostawiając wspomnienie  
oraz szkielecik wystrojony w uniform  
trumienki. Przeciw temu wyposażono nas  
w miłość - tę energię tajemną, aż  
i tylko jako w jedno ze słów. Paradoksem  
poeta: wyrażający słowami bezślowne  
chwile wieczne. Stamtąd? przysyłane  
dary, przyodziane jak Dzieciątko  
sakralnym światłem –  
ono jest zawsze  
tuż obok, się  
objawia.

## Zamieszkać w nim

Patrzeć na to co na zewnątrz  
z dystansu i na siebie, mimo to z pokorą  
do ludzi podchodzić. Zawsze na czas  
nie oglądać się i za siebie; ręczyć głową  
za serce, aby nie było ono tylko jednym z organów  
ścigania mitycznych bogów. Nieustannie  
pragnąc - z pragnień budować  
spełnienie, czyli prawdziwy dom.

## si non panta rhei

Tajemnicze dźwięki Wiecznej Muzyki  
wznoszą się nisko, opadają wysoko -  
obojętne na rzeczy przemijanie,  
w Przemijających wytrącając obojętność.  
Słowo, przybite do Ziemi jak Chrystus  
do krzyża, woła niezmiennie  
od dwóch tysięcy lat. Serce krwawi  
zatrute cynizmem. Ogluszone  
dobro śpi okryte kołdrą zła.  
"My go nienawidzimy i głośno chodzimy.  
Jak się zbudzi to go zaraz zjemy."-  
na opak śpiewają przekłete dzieci.  
W Domu zapomnianego Proroka  
poniewiera się ostrzeżenie sumienia  
jak wczorajsza gazeta - Arka Przymierza.  
Dzisiejszy Noe pochylony nad stworzeniem,  
przed samym sobą i w sobie już tylko  
szuka usprawiedliwienia, nasłuchując  
niemożliwej Prawdy objawionej  
w rozproszonych kroplach uciekającej  
rzeki życia każdego istnienia, Miłość  
niedźwiedziem z dzieciństwa  
jak Bóg nas pożera.

## **Profesor**

– Jesienne dni są jak kroki starców, jedno i drugie zmierzają ku zimie – powiedział twórczo Profesor – Gdzie to czytałeś, sam przecież tego nie wymyśliłeś – Magda spogląda zaczepnie. Całymi dniami palili liście, nie mając nic innego do roboty. Cała reszta siedziała w chacie. Było w niej ciepło od pieca, dymu i samotności.

Moja ręka przesuwana się po tapecie, szepczę coś do siebie, ten szept rozpala moją krew, moje ciało nie ma gdzie ukryć jęku – jest dla niego za ciasne łóżko i pokój, i ulica za oknem, i cała ziemia od końca, do końca...

– Każde dzieciństwo jest okresem zamętu i mroku – powiedziała Elżbieta, czując całą prawdą i pokrętność owego stwierdzenia. Profesor patrzył na nią uważnie, bez słów. Czuli się głupio, sprowadzona do krótkiego, szpitalnego szlafroka. – Jak wiele jednak znaczy scenografia – przemknęło jej przez głowę. Mogła przecież siedzieć przed nim w wieczorowej sukni, trzymając w ręce kieliszek wytrawnego wina... wtedy byłaby bardziej interesująca pod każdym względem. Również jako pacjentka. – Nie jestem paranoiczką, Profesorze – zakończyła głośno swoje wewnętrzne kombinacje. – Nikt tak nie twierdzi oprócz Pani – powiedział patrząc na nią.

- Sami sobie chcemy wszystko spieprzyć, to nam daje poczucie niezależności – powtórzyła przeczytane kiedyś zdanie, które utknęło w jej pamięci.

- Myślę, że pani błąd polega nie na chęci spieprzenia wszystkiego, ale na zbyt wysokich wymaganiach, które stawia pani przed sobą, zbyt wielu oczekiwaniach... To znane, wręcz książkowe przypadki... Profesor zawiesił głos.

- Nie chcę być książkowym przypadkiem – zaprotestowała



gwałtownie. Wzruszył ramionami, uśmiechając się przy tym łagodnym uśmiechem zarezerwowanym zapewne tylko dla wariatów.

— Kochany Panie Profesorze!

Piszę ten list, bo mam pewność, że Pan mnie nie pamięta, a przynajmniej nie pamięta mojej poprzedniej postaci, którą pogrzebałam już dawno temu. Wiele lat chodziłam na Pana wykłady razem ze studentami. Nikt mi tego nie zabraniał, bo – jak to się mówiło – „dobrze rokowałam”. Niektórzy studenci uważali Pana za ekscentryka i dziwaka, ale studentki były Panem zachwycone. Z tego co sama zdołałam ustalić, był Pan bardzo inteligentny, ale chłodny. Po wykładzie wychodził Pan zbyt szybko, patrząc na nas nieobecny spojrzeniem, jakby już nikogo z nas nie było na sali. Nie dając możliwości dalszego kontaktu... Owszem, cieszyło Pana, że czytamy książki, które nam wskazywał, a które wybiegały poza program, ale jednocześnie było widać, że to one sprawiają Panu przyjemność, a nie my... Później, w nocy, wierząc się w niewygodnym szpitalnym łóżku usiłowałam sobie wyobrazić Pana życie prywatne, małżeństwo, dzieci... bo musi Pan wiedzieć, że w nocy wszystko wydaje się groźne, wybujałe i spotworniałe, a myśli o Panu pozwalały mi przetrwać. Przystawałam się bać... Przedtem żyłam w wiecznym strachu. Bałam się mężczyzn idących ulicą, wypadków samochodowych, tego, że zgubię torebkę, że zwymiotuje na ulicy, że krzyknę głośno siedząc w kawiarni i mnie stamtąd wyrzucą... bałam się tego, co czeka mnie nazajutrz i nie byłam na to przygotowana. Zazdroszczę Panu, jest Pan absolutnym moim przeciwieństwem. Niczemu się nie dziwi, wszystko przewiduje. Pośród tego bałaganu żyje w spokoju, którego brakuje mi jak powietrza. Pan był moim powietrzem, Profesorze, kochałam Pana... Teraz i ja uśmiecham się z zażenowaniem, bo to już dawne czasy...

Teraz myślę i czuję inaczej. Jest przecież tylko mężczyzną, nie zwracaj na niego uwagi, jest jak wielu innych, zapewne kaszle i charczy rano w łazience. Mężczyźni robią takie rzeczy, robią jeszcze inne, gorsze, krzywdzą nas, dyszą prosto w twarz, a potem umierają i wszystko się kończy. Wiedziałam o tym od dawna. Nie winię ich. Teraz już nie. Ale nie wtedy, kiedy byłam pustym kształtem, formą, przerażonym embrionem. Światło z ulicy rzucało cień

na moje łóżko, cień w postaci krzyża. Leżałam rozpięta na nim, pogrążona w nienawiści, której nie potrafiłam ani zrozumieć, ani ująć słowami. Tkwiła w moich trzewiach jak ból, nosiłam ją w sobie od urodzenia, nie wiedząc, czym jest. Myślę do dzisiaj, że każdy jest skażony takim bólem – to pęknięcie w ludzkiej osobowości. Pan, Profesorze, miał ją wypełnioną książkami, słowami, wiedzą o sprawach, których nigdy nie przeżył. Potrafił Pan je ująć w zgrabny, w prawie doskonały kształt, ale tak naprawdę nic Pan o nich nie wiedział.

W kilka lat później jeździłam sama autobusami po mieście i studiowałam. Granoczyło to z cudem. Owszem, bywały takie dni, kiedy rozglądałam się ostrożnie po ulicy i nie mogłam znaleźć tego, czego szukałam, nie mogłam sobie nawet dokładnie przypomnieć, jak się tam znalazłam...

Czasem traciłam kontakt z własnymi słowami, z ludźmi. Wszystko stawało się nierealne, jak we śnie. Może dlatego byłam taką dobrą aktorką... Jeśli Pan czytuje prasę – odkryciem ostatnich lat. No i jeszcze była moja twarz – coraz ładniejsza. Nie miała nic wspólnego z tamtą szpitalną, sprzed lat. Zastanawiało mnie często, czym jest twarz – trochę kości, skóry i chrząstek, czym jest tajemnicza substancja oka, jaka magia z niej emanuje? Nie wiedziałam, ale zdawałam sobie sprawę z okrucieństwa tej materii – po prostu przemijała. Wiedziałam, że z moją przeszłością, nic nie stworzy mi życia oprócz twarzy, nic nie otworzy przede mną świata. Patrzyłam w lustro ze strachem i przerażało mnie, że długo nie zostanę taka jak w tej chwili, że utrata obecnej twarzy będzie straszniejsza niż utrata krwi... Już wcześniej zauważyłam tę drobną, nieuchwytną obcemu oku asymetrię. Początkowo nie przywiązywałam do niej wagi. Tyle że jakiś czas potem myśl zasiana jak zatrute ziarno zagnieździła się na dobre w moim mózgu, powodując dogłębsze studia... Nabrałam niezbitą pewności – moja twarz starzeje się nierówno, asymetrycznie. Najpierw lewy kącik ust opuścił się bardziej niż należało, potem pojawiła się bruzda biegnąca do nosa i wyprzedzająca znacznie tamtą – prawą. Nie przestawałam się obserwować. Któregoś dnia nabrałam pewności – muszę wrócić do szpitala, muszę z Panem porozmawiać, rozpiąć się na krzyżu szpitalnego łóżka, nakarmić ciało chemią, która uspokoi moje rozedr-

gane komórki.

Zobaczył Pan we mnie tylko książkowy przypadek – zbyt wybujałej ambicji. Wyszłam ze szpitala uleczona podwójnie, bo tym razem z Pana.

P.S. W czasie naszej rozmowy zauważyłam, jak marszczą się Pana powieki, jak pogłębiają bruzdy na twarzy. Był Pan stary i nie mógł mi pomóc. Nie odegrałam wyznaczonej roli. Ale nie tylko ja...

---

Wcześniej w swoim życiu zaczęła czekać. Nieustannie oczekiwała, że coś się stanie i jednocześnie nie chciała, by cokolwiek się wydarzyło. Miało to związek mglisty i niejasny z owymi niespokojnymi snami, które zdawały się snić komu innemu, a przecież były jej własne.

---

Kochany Panie Profesorze!

Dostałam pierwszą dużą rolę. Postaram się tego nie zmarnować, chociaż nienawidzę tragedii – przerażają mnie nagłym bolesnym rozpoczęciem i urwaniem akcji, eleganckim językiem i krwawym zakończeniem, i beznamietnym początkiem czegoś nowego. Apokalipsa – po której nadchodzi normalny poranek.

Staram się, pracuję nad tekstem całymi nocami, ale nie potrafię znaleźć właściwych słów, powtarzam tekst i nie znajduję ich. Czuję się, jakby mnie zamknięto w za ciasnym pomieszczeniu. Nie potrafię myśleć jasno, nie mogę zrozumieć głównej bohaterki, w którą mam się wcielić. Dziewczyny takie jak ona, z jaskrawą szminką na ustach i w tanim swetrze, znajdowano często martwe w jakimś zaułku...

Było również coś beznadziejnie zgubnego w medalioniku w kształcie serca, który miała nosić na szyi. Starła się przez kilku aktorów coś zrobić ze swoim życiem, ale miało się wrażenie, że jest ono jak zielsko rosnące do wysokości kilkudziesięciu centymetrów w szczelinach chodnika ulicznego, pnące się do góry, bezmyślne, zadowolone...

---

Po skończeniu wykładu ogarniało go podniecenie, połączone z uczuciem straty. Wydawało się, że dawał studentom z siebie tak

wiele, oni zaś w zamian tak naprawdę nic. Odchodzili, w pośpiechu przepychając się przy drzwiach, zupełnie jak gdyby chcieli jak najszybciej uciec. Zbierał książki i notatki do teczki. Właściwie wcale ich nie potrzebował, ale uważał, że spodziewają się widzieć te wszystkie pomoce naukowe na stole. To robi dobre wrażenie. Czasem ktoś zatrzymywał się i pytał coś, odpowiadał mu nieuważnie, zdając sobie sprawę, że czas wyrwa mu dni pełnymi garściami... Patrzyli na niego w czasie wykładów jakby był postacią z ich niespokojnych snów, człowiekiem niepojętym, ironicznie uśmiechniętym, może nawet godnym słuchania, mogącym nauczyć ich czegoś, gdyby tylko mogli zwalczyć senność i zmęczenie, wyczerpani innym życiem, tym poza uczelnią – nocnymi imprezami, przedwczesnymi miłościami, które kończyły się w chwili rozpoczęcia przerwy międzysemestralnej. Czuł litość do tych wszystkich twarzy i jednocześnie wiedział, że nie ma do tego prawa. Był stary i zmęczony, co mógł z siebie dać komukolwiek, nawet swojej żonie? Kochał tę kobietę, zrósł się z sytuacją miłości, był wpleciony we wspólne z nią przeżycia i odpowiedzialny za nie. Czasem próbował patrzeć na siebie z pewnej odległości. Co o takim mężczyźnie można powiedzieć? Mrużył z napięciem oczy, szukając znaku rozpoznawczego, pewności... W jego grzeczne, cierpliwe życie wchodził różni ludzie, zwykle samotni i lekkomyślni. Działał na nich uspokajająco – zmrużone oczy, łagodny głos. Ich życie było zabałaganione, zapchane, bez wyjścia. Niemożliwe... Jego zresztą też. Tylko że oprócz niego nikt o tym nie wiedział. Wykłady, ćwiczenia, przekładał książki, wertował artykuły, zupełnie jak gdyby tam miał znaleźć klucz do olbrzymiego i ostatecznego błędu wszechświata. Czasem czuł się straszliwie samotny wśród setek śpieszących się studentów. Wiedział, że oni też są w jakiś sposób bezradni, ale jednocześnie nie potrzebują go, mają własne życie, własną tożsamość... budziło to w nim głęboką niechęć.

Kochany Panie Profesorze!

Nie odniosłam wielkiego sukcesu w tej sztuce. Przynajmniej mnie tak się wydaje. Koledzy gratulowali, koleżanki, o dziwo, też. To ostatnie wskazuje, że mam rację. Próbuję spisywać wszystko, co mnie gnębi. Gdzieś przeczytałam, że o kobietach piszących

mówi się, że popełniają dwa błędy: zwiększają liczbę książek i zmniejszają liczbę kobiet. Zabawne, nie sądzi Pan?

To głupi list. Zupełnie jakby ktoś jadł popiół widelcem, prawda?

PS. Dużo czytam. Zwłaszcza książki młodych autorów. Nic wartościowego nie znalazłam-wszędzie to samo, te same dekoracje, ta sama melodia. Młodzi ludzie rozpaczliwie żądni światła, oklasków, zachwyków.

Czasem coś go niepokoiło zanim się obudził, nie była to konkretna myśl, raczej obawa przed nią, zanikający wniosek jakiegoś snu, wszystkich pragnień, które go w tych snach prześladowały. Budzenie przynosiło ulgę. Wracała świadomość, kim jest. Przytulał się do śpiącej żony. Oszalała go myśl, że śpi z tą kobietą już tyle lat i że ich życie jest nierozzerwalnie złączone, że nie potrafi przypomnieć sobie okresu, kiedy jej nie znał.

Na granicy jawy, kołysząc się w szarej płataninie snu, podobnej do płataniny kobiecych włosów, czuł rosnącą w nim podejrzliwość, nabierającą cech występku. Na co czeka? Czy zmarnuje sobie życie, czy zrobi coś nieodwracalnego? Budził się na dobre z zagmatwanych rojeń – czas było wstawać. Nagle wydawało mu się, że dzień rozciąga się przed nim jak kontynent pełen niebezpieczeństw i upokorzeń, przez które musi przebrnąć... Ogarniał go niewytłumaczalny strach.

Pamiętał, jaka była zagubiona i zamyślona. Unikał jej oczu i unikał jej niepokojącego spojrzenia podczas wykładu... Za wiele mu mówiło, wytrącało z równowagi, posiadało jakąś władzę nad jego uczuciami. Wyczuwał nieporządek i niebezpieczeństwo, a również bezsensowny niepokój o tę dziewczynę... Było to zabawne i niezabawne jednocześnie. Przypomnił sobie ich rozmowę.

- Chciałabym być jak inni ludzie, ale nie starcza mi odwagi. Boję się za bardzo zbliżyć do innych, nie chcę, żeby mnie skrzywdzili...

- Dlaczego ktokolwiek mógłby chcieć panią skrzywdzić?

- Przecież ludzie wyrządzają sobie krzywdy, to się zdarza...

- Nie trzeba się bać – mówił nerwowo, rozcierając dłonie. Czy ta dziewczyna od tygodni nie usiłuje się z nim porozumieć? Czy on się myli, czy sobie to wymyślił? Ogarnęło go podniecenie,

czuł niemal ból w piersiach. Przypomnił sobie, jak to było, kiedy po raz pierwszy dotknął żony – to właśnie było takie podniecenie. Usiłował się odprężyć, czuł jednak klucie skóry na twarzy, ściągającej się w małe, przerażające punkciki. Sprawily to oczy dziewczyny utkwione w jego oczach... Głowa i ciało ciążyły mu, a myśli wirowały gorączkowo. Rozumiał, że popełnił cudzołóstwo, że jest na dobrej drodze narażenia na szwank wszystkiego, co osiągnął w życiu. Ryzykował utratę siebie samego, jak gdyby zbliżała się chwila aktu nieodwołalnego, podobnego do morderstwa, którego nigdy nie da się odrobić. Wzruszało go jej milczenie, smutek i uroda, które obracały się ku niemu i jednocześnie się od niego odwracały. Kuszące i nieśmiałe. Jak on.

Ona mówiła. Cały czas. Nawet jeśli słowa nie wypływały z jej ust. Nigdy nie słyszał kogoś tak mówiącego. Miał ochotę odeprzeć jej ciężkie, wciągające jak otchłań spojrzenie, ale patrzył w nie jak urzeczony. To właśnie był obłęd, którego się w niej domyślał, ale ten obłęd pociągał go nieodparcie. Mimo to rozumiał co mówi, jej słowa - słowa przenikały go z łatwością.

- Często wyglądam przez okno. Ciągle czekam, że coś przez nie zobaczę, coś wyczytam ze zmieniającego się światła, jakies... prawo. Coś, co się powtórzy wiele razy. Tyle, aż ja to zrozumie.

Miał wrażenie, że ociera się o jakąś tajemnicę, nie dostrzegając jej dokładnie, nie będąc zdolnym jej dotknąć. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i potrząsnąć. Widział, jaka jest przerażona. Zamierzał powiedzieć coś serdecznego głośno i żartobliwie, ale wydusił z siebie tylko miły, uspokajający uśmiech zarezerwowany dla szczególnych pacjentów z którymi nie umiał sobie poradzić.

---

Przestałam pisać do Profesora, bo te listy nie przynosiły mi żadnej ulgi, przestały spełniać swoje zadanie, ich adresat zresztą też.

Czytamy na próbach nowy scenariusz. Usiłuję się w tym wszystkim połapać, ale czuję, że mój umysł staje się coraz bardziej zrezygnowany, niejasny, powolny. Mam wrażenie, że oddala się ode mnie. Zdarza się to coraz częściej. Nikogo za to nie winię, chociaż nie mogę oprzeć się uczuciu nienawiści, kiedy wszyscy w przerwie piją kawę i śmieją się. Nawet nie słyszę, o czym rozma-

wiają, widzę tylko poruszające się usta. Nienawidzę ich, że wszystko traktują jako coś im należnego, że potrafią unieść filiżankę do ust, nie martwiąc się, że ją rozleją, a jeśli nawet, to biorą drugą... Siedzę zwykle w kącie, udając, że czytam. Boję się wstać i pójść do toalety, bo ich spojrzenia przylepią się do pleców jak duże, czarne muchy, które trzeba potem strząsać ze swetra całymi godzinami... Często chodzę bez celu po mieście. Uczucie, że jestem jak pusta, niesiona przez wodę kłoda, przynosi mi chwilową ulgę.

Często bywam na dworcu kolejowym, a ściślej, w poczekalni. Pełna jest podróżnych, którzy nigdzie nie wyjadą. Są tak jak ja – zbyt przerażeni, żeby wsiąść do pociągu. Zajmuję miejsce przy kaloryferze. Głęboko w kącie. Jest najbardziej bezpieczne, bo nie stwarza żadnych możliwości. Obok mnie siedzi kobieta w płaszczu zapiętym na wszystkie guziki, chociaż jest gorąco. Doskonale ją rozumiem... To jej własny kaftan bezpieczeństwa, który chroni ją przed samą sobą. Kołnierz ze sztucznego futra jest zlepiony i brzydki – jak sierść bezdomnego psa, którego dawno już przestano kochać. Oprócz niej jest jeszcze stary mężczyzna, około siedemdziesięcioletni. Pochylił się nad gazetą z bezmyślnym wyrazem twarzy i jeszcze jeden, młodszy. Nie chcę na niego patrzeć zbyt często, bo ma na twarzy okropną narośl. Na dworze pada śnieg i powinniśmy się czuć bliscy sobie, ale tak nie jest. Nie rozmawiamy ze sobą i unikamy swego wzroku. Tak jest lepiej. Wskazówki na dużej twarzy zegara przeskakują z kojącą regularnością. Jest późno, trzeba wstać i wyjść. Starszy pan z uwagą składa swoje gazety. Ma delikatne, wypielęgowane dłonie, nazwałam go w myślach Profesorem. Kobieta obok mnie też wstaje z głośnym stęknieniem, ma grube, opuchnięte nogi w zwykłych, domowych bamboszach. Pójdzie jeszcze do baru pozbierać niedojedzone resztki z talerzy, zawsze tak robi. Ma na imię Magda. To imię robi na mnie wrażenie czegoś dziwnego i nieprzyzwoitego. Nie mogę sobie wyobrazić twarzy mężczyzny, który wymawiał jej imię. A może nigdy go nie było?

Całymi dniami palili liście, nie mając nic innego do roboty. – Jesienne dni... – zaczął Profesor. – Och, zamknij się – uciszyła go Magda. W chacie było ciepło od dymu i samotności.

## **Migawki z tureckiej dzielnicy**

/fragmenty/

IDA

Nadwrażliwość jest rzeczą najgorszą z najgorszych - pomyślała. Dlaczego akurat teraz?

W tym miejscu i w tym czasie?

Jest bardzo ciepło, piękny, czerwcowy poranek. Powinna być szczęśliwa, ale nie jest. To ciągle udawanie jest męczące. Obiegła wzrokiem ludzi stojących na stanowisku autobusowym. Nikogo znajomego. Jakies dwie panienki - jedna z przesadnym makijażem - szepce coś na ucho drugiej. Na pewno naradzają się, jakie kłamstwo wymyślić tym razem.

Ten grubas w przepoconej koszuli to niewątpliwie ich ojciec. Cwaniacko-ckliwy uśmiezek, typowy białostocki „Śledzik”. Przyszedł odprowadzić córunie, a może tylko jedna z nich jest jego córką? Nie wiadomo... Jest sobota, być może w tym czasie ulatniają się jego pieniądze z bazarowej budki, które mógł zarobić handlując z Rosjanami, a może ktoś go zastępuje w kantorze? Ale córka wyjeżdża, więc musi tu być.

- Saro, o czym myślisz?

Ten znajomy, ciepły głos... Dlaczego nazwała ją tym okropnym imieniem?

Dlaczego zawsze i wszędzie stara się przypomnieć jej korzenie? Ohydztwo. Tylko ona ją tak nazywa. Sara, Sarunia... Jakie to niemodne... Tradycyjno-sentymentalna podróż w przeszłość. Powrót do źródeł, do początku. Chciałaby się od tego uwolnić, przecież od dawna jest Martą i nie lubi przypomnienia o przeszłości.

- Przestań, Saro. Płaczesz? Przecież wyjeżdżamy zaledwie na siedem tygodni. Chodź, włożymy swoje bagaże do schowka.

Właściwie po raz pierwszy pomyślała o niej, że jest ładna. Miedziano-kasztanowe włosy połyskujące w słońcu, śniada cera, niewielki zadarty nos. Zadbana. Umie ukryć to, co brzydkie - te bli-



zny na nogach i chyba jedna na przegubie, ale nie jest pewna. Tyle lat młodsza. Zawsze starała się udawać mądrzejszą, a teraz jej się to nawet udaje. Jaka rozsądna... Bagaże do schowka, wiadomo, że nie weźmie dwóch walizek na kolana. Poprawiła kosmyki kruczoczarnych włosów, chciałyby wyglądać ładnie w podróży. Może lepiej: kobieco? Przyjemnie jest być podpatrywaną w lusterku przez kierowcę z niezwykle długim nosem. Naiwność. Na co ty liczysz? Wiesz przecież, że będzie patrzył na nią... Chyba się boi tej podróży, tak daleko i znowu w głąb siebie. Tych spojrzeń - nie zawsze przyjaznych.

(O, znowu jakaś Polka przyjechała do roboty? Do jakiej roboty, stary? To na pewno taka, co w kraju udaje świętą, a tu nie przebiera w naciągach.)

Gdzie ty się pchasz, dziewczyno? A jednak tęskniła za tą innością, za tym zapachem poranka zmieszanego ze smooziem, za ludźmi, którzy nie pytają, ile zarabia, kim jest jej mąż, gdzie była na wakacjach.

Autobus ruszył. Było wygodnie, ciepło i trochę sennie. W ostatniej chwili zdążyła pomachać ojczymowi stojącemu na dworcu. Pokazał jej znak Victory. Zwycięstwo i sukces - albo obie rzeczy naraz. Wierzy, że wygra? Wygrają? Nie mogą wygrać dwie osoby równocześnie, któraś powinna ponieść porażkę. Lepiej - druzgocącą klęskę. A może żadna nie wygra - obie przegrają? Kiedyś William Wharton napisał: „Może więc całe życie jest tylko jedynym wielkim przypadkiem i nie ma w nim zwycięzców, wszyscy muszą przegrać...”

- Przepraszam, może ma pani ochotę na herbatę lub kawę? Pilot czekał na odpowiedź.

- Czy nie obudziłem?

- Nie... W porządku. Myślę, że parę łyków kawy dobrze by mi zrobiło.

Ona ze słuchawkami na uszach. Dlaczego ciągle nazywam ją ONA - przecież to moja siostra. Chciała z nią być - rzeczywiście, autentycznie chciała. Żyły obok siebie wiele lat, może to ona budowała ten mur: cegiełka po cegiełce. konsekwentnie odsuwała ją od siebie. Wydawała się jej taka infantylna, brzydka, mało inteligentna. Właściwie to dzisiaj po raz pierwszy pomyślała o niej do-

brze. Bardzo ciepło, po ludzku. Pomyślała, że jest jej potrzebna. Tak zwyczajnie potrzebna. Chciałaby być dla niej dobra, wynagrodzić jej te wszystkie lata, ale nie umie. Niełatwo być dobrym. To wymaga wyrzeczeń...

- Ido, będziesz jadła kanapki? A może chcesz pić?

Co za głupie pytania jej zadała. Przecież ona wie, gdzie jest torba z jedzeniem, a poza tym słucha muzyki. Przymknęła oczy, chciałaby być już w Londynie...

Panienci siedzące z przodu nie przestawały rozmawiać na temat kursów języka angielskiego, które ukończyły w Warszawie. Jechały do angielskich rodzin na dwa tygodnie - „z wyżywieniem, noclegiem i konwersacją” - jak to określiła jedna z nich. Oby się nie zdziwiły, zważając na angielską mentalność.

Anglicy lubią dostawać pieniądze, ale po co wysilać się na konwersację? Panienci prześcigały się w wymienianiu słówek na b: bell, box, broke... Naiwne, chcą być kimś... Myślą, że angielski otworzy im bramy do sukcesu. A później tak jak ona - w szkole, z tym swoim dyplomem z wyróżnieniem i z codziennym bólem głowy.

(„Ale przecież macie wakacje, czegoż chcecie więcej. Wiecznie za mało?”) No to jedzie do Londynu, na wakacje... Może w końcu zobaczy Westminster Abbey?

Autobus zahamował gwałtownie. Padało. Kierowca ogłosił postój. Nie będzie wychodziła. Popatrzyła na Idę. Śpi. Teraz wygląda jeszcze ładniej, jak święta. Naprawdę, tak pomyślała?

Tak... Jak święta...

Krajobraz za oknem zmieniał się. Świtało.

Francja nie wyglądała tak, jak sobie wyobrażała. Krajobraz typowo nizinny: pola porośnięte trawą i ziołami, gdzieś stada krów, różniących się od polskich maścią. Pozornie czysto, przestrzeń uporządkowana, ale tylko pozornie... Wszystkie elementy nie pasowały do siebie, nie tworzyły całości. I nie wie, dlaczego nagle zobaczyła swoją duszę. To śmieszne, ale zawsze wyobrażała sobie duszę jako małego człowieczka, który siedzi w środku, a gdy jego właściciel umiera - ten wyskakuje przez buzię i ucieka. Nigdy nie pomyślała, co się dzieje z nim dalej? Mówi się, że ktoś ma „chorą duszę” - wtedy ten człowieczek też jest chory - za długie nogi albo ręce, wydęty brzuch, odstające uszy i wiele innych przy-

padłości. Zmienia też kolor, choć z biologicznego punktu widzenia wydaje się to całkiem niemożliwe. Wtedy staje się nieproporcjonalny, a elementy jego ciała nie pasują do siebie. Tak, jak w krajobrazie Francji za oknem. Małym kawaleczku obcego świata.

- Can I have your passport, please?- mocny tembr głosu zaakcentował swą obecność. Wyjęła ostrożnie saszetkę i podała niebieską książeczkę. Celnik patrzył na nią wnikliwie. Po chwili Ida podała mu swoje dokumenty, ale facet nie odchodził. Stał i patrzył. Po prostu patrzył... Gotowa była mu powiedzieć wszystko: że nie ma papierosów ani alkoholu, ani narkotyków, ani broni i w ogóle nie ma niczego, czego nie można byłoby przewozić. Ale on o nic nie pytał, tylko wlepił w nią te swoje świdrujące, piwne oczka, jakby na coś czekał.

- Anything else?- zapytała szorstko, nawet niegrzecznie.

- No, thank you. Good luck! - odpowiedział i odszedł.

W autokarze było niesamowicie gorąco. Mieszały się najróżniejsze zapachy: jajek gotowanych na twardo, które chłopcy z końca nerwowo oblupywali ze skorupki. Parowały perfumy typu „Samsara”, sprzedawanych po pięć złotych za fiolkę na bazarach. Ogarnęło ją niezmierne podekscytowanie, nie mogła usiedzieć na miejscu, przecież za parę minut obie będą na promie. Zamówią irlandzką kawę, poobserwują Kanał La Manche: być może wzburzony, niespokojny - taki jak ona: Sara.

Jej ulubione zajęcie to obserwowanie ludzi: co robią, jak są ubrani, co wyraża ich twarz. Układa sobie wtedy historię życia danej osoby, czasem staje się to zabawne, na pewno nigdy nie jest nudne. Jest wtedy Kreatorem, Demiurgiem, który panuje nad nimi, władza jest absolutna i nikt nie może w tym jej przeszkodzić.

Teraz jednak tak nie było. Nie mogła się skupić.

Zobaczyła fale Kanału La Manche. Były miedziane? Raczej kasztanowo - miedziane, tak jak włosy Idy. Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od dawna. Będzie im dobrze razem...

Musi być...

## ISMET

Dotarliśmy do tego coffee-shopu w niedzielę wieczorem; a właściwie w nocy, bo około godziny 23. Był tam. Stał opary o

ciemną balustradę i mierzył klientów wzrokiem. Paru mężczyzn grało przy stoliku w karty, jeden spał blisko baru, dwóch grało w bilard, przeżywając bardzo każde zagranie przeciwnika. Ismet zauważył nas od razu.

- Ale posiwiiał - pomyślałam. Jest jeszcze bardziej chudy, co za paradoks-prowadzi bar, w którym są niezłe tosty. Nie przyszłyśmy zebrać o pracę, wyglądałyśmy zbyt dobrze (świeży i nienaganny makijaż dodawał uroku Idzie). Oparłam się o balustradę i wyjęłam z torby brzoskwińową „Finlandię”. Wiedziałam, że teraz rozmowa potoczy się zupełnie inaczej.

- Chciałam cię odwiedzić, zobaczyć, jak ci się powodzi - powiedziałam po angielsku do mojego byłego szefa. Uśmiechnął się i podziękował za alkohol. Po chwili zawołał szwagra i napełniliśmy szklaneczki „Finlandią”. Wzniesiliśmy toast za spotkanie. Okazało się, że w barze pracuje Polka-Magda, której nie zauważyłyśmy. Była na zapleczu. Po trzecim toaście kazał jej zabrać wszystkie swoje rzeczy i wynosić się.

- Świnie, chamki, polskie cyrkówki - wrzasnęła - udławcie się funtami, które tu zarobicie. - Zrobiło mi się jej żal. Tani tusz popłynął po pucołowatych policzkach. Wyglądała żałośnie pakując swoją dzinsową torbę z napisem „Nike”.

- Nie szukamy pracy... - skłamałam

- Zostaw ją w spokoju, nie widzisz, że płacze?- Ida niecierpliwiła się.

- Odpycha klientów, ciągle płacze - ze spokojem odparł Ismet.

„Zależy mu na nas. Tylko na której z nas?”. Zwrócił się do mnie, wbrew moim oczekiwaniom.

- Od jutra zaczniesz o 12. Skończysz około 24. Znasz zasady: żadnych odwiedzin w czasie pracy, chyba, że będzie to twoja siostra. Poza tym obiad będę ci przynosił z restauracji „International”, która nadal należy do mojego kuzyna. Kawę pij do woli, soki też. O.K?

„Za ile, cwaniaczku?”

Jakby czytał w moich myślach.

- Proponuję ci 140 funtów tygodniowo plus papierosy - codziennie jedna paczka. Jak będziesz się dobrze spisywać, to czasami zarobisz jakieś „ekstra money”...

„O co mu chodzi? Stary bajerant, turecki boss, głowa rodziny.”

Zgodziłam się. Ida miała pracować w coffee - shopie naprzeciwko, u jego brata. Taki podejrzany typ, prowadził różne interesy związane z hazardem.

Zgodziłam się na codzienną obecność Ismeta - wymagającego Turka o „gołębim sercu”. Właściwie nie był Turkiem, tylko Kurdem z obszarów Anatolii. Uciekł stamtąd z żoną i dwoma synami ponad osiem lat temu.

Po pewnym czasie zaprzyjaźniliśmy się. Dokładnie zmywałam szklanki i kufle po piwie, a nawet ścierałam kurz z wielkiej lady barowej. Bardzo mu to się podobało. Klienci przyjeżdżali z odległych dzielnic Londynu. Oglądali mecze - najczęściej grała drużyna „Galatasaray” - grali w bilard czy w pokera na pieniądze. Czasami po prostu rozmawiali ze mną o pogodzie lub pytali o mój kraj. Nie wszyscy znali angielski, więc tacy tylko stali i patrzyli albo wykrzykiwali do siebie po turecku. Czasami robili zabawne miny całym jak moja Dyrektorka w szkole podstawowej.

Dwanaście godzin codziennie w tym ulu. Ismet - ja - Ismet. Praca - dom - praca-mało czasu na tęsknotę. W dodatku na prawej nodze zagościł żylak i strasznie bolało. Ismet martwił się o moją nogę i chciał mnie zawieźć do lekarza.

„Ale jeżeli będę musiała zapłacić?” Nie pojechałam. Trzy dni później okłamałam go, że już mnie nie boli. Faktycznie bolało mniej, bo w aptece kupiłam uciskowe rajstopy.

Zapominałam stopniowo o żylaku, bo wiedziałam, że nic mnie nie może boleć. Może dusza, to przynajmniej nie widać. Z Ismetem żyłam w dobrej komitywie. Płacił mi więcej niż się umawialiśmy, a pewnego dnia kupił mi nawet buty. Postawił je na ladzie i powiedział:

„To buty dla Ciebie, Anno. Kupiłem dziś rano, bo pomyślałem, że powinnaś nosić wygodne obuwie. Nie zaszkodzą na żyłki”. Były to klapki z czarnej skóry przeplatane gdzieniegdzie złotymi paskami, na dużej plastikowej koturnie. Szczyt bezguścia. Jednak przymierzyłam je, chociaż w Polsce nigdy bym takich butów nie nałożyła. Leżały jak ulał. Kilku klientów zauważyło moje nowe klapki i wymieniało ze sobą dziwne spojrzenia. Nie wiedziałam, że wśród Kurdów panuje prawo, że buty kupuje się tylko

„swojej” kobiecie. Parę dni później wyjaśnił mi to jeden z klientów. Nie byłam tam niczyja. Nie należałam do Ismeta nawet przez ułamek sekundy. Udawałam, że nie widzę, jak patrzy na mnie, gdy parzyłam kawę, gdy otwierałam butelki z piwem, gdy przesuwałam skrzynki, gdy zmywałam stopy brudnych naczyń, gdy...

Wieczorem Ismet wyszedł na kolację. Uciekałam. Zabrałam piętnaście funtów z kasy. Taki napiwek za dobre sprawowanie. W nowych klapkach przemierzałam ulicę Green Lane. Swoje zostawiłam w lodówce. Na jej drzwiczkach przykleiłam kartkę ze słowami Olgi Tokarczuk: „Wszystkie ludzkie pragnienia zatem, jeżeli są wystarczająco silne, spełniają się. Nie zawsze jednak do końca tak, jak się tego oczekiwało”. „Nigdy tu nie wrócę” - pomyślałam.

## ELIJA

Zadzwoiłam do swojego dawnego znajomego Husajna. Jest taksówkarzem i zna wielu ludzi. Nie powiedziałam mu, o co mi chodzi, ale zaprosiłam go na lunch. Zamówiłam w „Kentucky Fried Chicken” kurczaka, bo pamiętam, że nie lubi wieprzowiny. Do tego polski spirytus i sok pomarańczowy. Powiem, że specjalnie dla niego przywiozłam ten alkohol. Niech się cieszy. Rozrobimy wodą mineralną albo z kranu. Sam zadecyduje...

Przyjechał punktualnie, nowym fordem escortem. Jak zwykle w kolorze białym.

Spirytus rozrobił sokiem pomarańczowym. Mówił i mówił, z tym swoim dziwnym akcentem. Chwalił się, że zdał egzamin na kierowcę komunikacji miejskiej. Może niedługo zobaczę go na ulicach Londynu, już nie jako taksówkarza, ale ważniejszą osobę. W ogóle go nie słuchałam, bo myślałam w tym czasie o mamie.

Po około dwudziestu minutach poprosiłam go o pomoc w sprawie pracy.

- Znam Greka, nazywa się Elija Adamovic - poszukuje dziewczyny do pracy w nocy. Od razu do niego zadzwonię. Może być?

„W nocy? Oby nie jako striptizerka, prostytutka lub tancerka”.

- Chodzi o pracę w barze?- upewniłam się.

- Tak, ale od 23 Grecy grają tam w „pokerize”- to taka narodowa odmiana pokera. Grają oczywiście na pieniądze. Od każdego rozdania dostaniesz 10-15 funtów napiwku. To zależy od ciebie.

Elija jest bardzo wymagający.

Zadzwonil i jeszcze tego samego wieczora pojechaliśmy na spotkanie do greckiej tawerny „Marina” na Palmast Green.

Przy stoliku siedział malutki człowieczek. Resztki naželowanych włosów miał szesane do tyłu, cera śniada, oczy chyba piwne, na twarzy mnóstwo pieprzyków. Elija. Zwróciłam uwagę na lazurową, piękną apaszkę nonszalancko przewiazaną pod szyją. Na dole apaszki widniał napis: PARIS. Owiąta nas woń perfum, jakieś nuty piżma, ambry lub paczuli. Dokładnie nie wiem. Elegancki, starszy pan... Sympatyczny, choć jakieś złośliwe błyski można było zauważyć w jego oczach. Za chwilę miały się zacząć „buzukia” - narodowa zabawa grecka. Na środek wyszło kilku przystojnych facetów, chyba Greków. Ustawili się w kręgu i zaczęli tańczyć. Żadnych kobiet, żadnych zalotów, jakiś taniec w stylu Zorby. Elija wyjaśnił, że jeden z nich świętuje urodziny i żeby pokazać, że jest zamożny, sprawi wszystkim niespodziankę. Jubilat wszedł na chwilę do kuchni. Po paru sekundach dwóch kelnerów wniosło dwa stosy białych talerzy. Mężczyzna popatrzył, od której strony ma zacząć. Orkiestra przygrywała dosyć skocznie. Facet wziął pierwszy lepszy talerz i z impetem uderzył nim o ziemię. Potem następny i następny... W jego oczach widać było zadowolenie i spełnienie. Z szaloną pasją rozbijał kolejne naczynia.

Mężczyźni przygotowali mu miejsce. Wszystko trwało tylko parę minut.

Nagle - goście wstali i zaczęli tańczyć na kawałkach szkła. Jubilat zapłacił za wszystko i wyszedł do toalety. Kelnerzy stawiali na stolikach Uzo, a obok wodę w dzbanach.

„Najpierw przyda mi się woda, żeby ochłonąć z wrażenia”.

Nagle poczułam rękę Eliji na swoim karku. Nie protestowałam. Bez słów poprosił mnie do tańca. Nie umiałam jednak tych wszystkich obrotów, przysiadów, oklasków - trudniejsze niż polski oberek. Elija nie wypuszczał mnie z objęć. Później grzecznie podziękował skinieniem głowy.

„Taki wstęp do rozmowy o pracę jest całkiem miły” - pomyślałam. „Czekam na dalszy ciąg”. Ale dalszego ciągu nie było. Grek stwierdził, że boli go głowa i najlepiej czułby się w swoim „social klubie” pijąc whisky. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedze-

nia. Jeżeli chodzi o pracę dla mnie, to musi to przez noc przemyśleć i zadzwoni do Husajna.

„Dlaczego ci Grecy są tacy fałszywi? Najpierw prawi mi do ucha komplementy, tańczy zaglądając w oczka... A może przesadzam? Po prostu jest wychowany według pewnych zasad kultury (śródziemnomorskiej oczywiście?!). Elija - jakieś dziwne imię, bardziej kojarzy się z kobietą, piękną nimfą strumieni czy potoków. A tutaj podstarzały facet, niezdecydowany czy wstrzemięźliwy w decyzjach?”

Noc jest piękną chwilą na myślenie. Noga za nogą wracaliśmy na „naszą” dzielnicę Harringay. Do naszego bigosu, do naszego kotła. Śpiewałam: „Mam tak samo jak wy, miasto moje, a w nim - swoich ludzi...” Co z tego, jeżeli tutaj ich brak. Husajn zostawił samochód przed „Mariną”. Chciał się przespacerować razem ze mną.

- Wiesz, nie możesz wracać sama. Chodzi o bezpieczeństwo... - powiedział.

Eleganckie bajki nad ranem. Przypomniał mi się Ismet, który myślał o moim żyłaku. Może śpi teraz na stole bilardowym, jeżeli wszyscy klienci go opuścili, albo flirtuje z jakąś kelnerką (jeżeli w ogóle kogoś zatrudnił). Zniszczyłam te klapki, które od niego dostałam, więc wkładałam je tylko w domu.

Gdy dotarliśmy z Husajnem do głównej ulicy Harringay stwierdziłam, że jest wyjątkowo cicho. Murzyn spał na przystanku owinięty szczelnie fioletową chustą. Chyba nawet chrapał, ale nie podchodziliśmy bliżej. Przed nieczynnym „Sainsburrym” dyskutowało paru wyrostków na temat jakiegoś zysku. Wątpliwego zysku?

„Jeżeli się będzie myślało ciągle o zysku, to się straci” - tak powiedział kiedyś ksiądz od religii. Jeden z gówniarzy parę godzin później stracił życie.

Nie mogłam zasnąć. W domu było zbyt duszno. Rozstaliśmy się z Husajnem w milczeniu. Rano włączyłam londyńskie radio lokalne. Spiker powiedział: „Okolo godziny czwartej nad ranem jeden z szesnastoletnich Turków stracił życie. Pod wpływem emocji w związku z nielegalną transakcją narkotykami, ugodził kolegę nożem w ramię, a przeciwnik zranił go w brzuch. Młodzieniec wykrwawił się w pół godziny po przewiezieniu do szpitala na Church



Road. Sprawca został czasowo zatrzymany aż do wyjaśnienia okoliczności zdarzenia”.

Czasami trzeba wierzyć księżom, znajomym Turkom, sprzedawcy w barze... Wierzę, że Elija zadzwoni. Wszystko będzie dobrze. Pali mi się grunt pod nogami, ale nie uciekam z tego piekła. Może nie zamieni się ono w niebo, ale wytrzymam, bo chcę tu być. Muszę zarobić pieniądze. Naprawić swoje kontakty z Idą. Naprawić zegarek, bo nawet nie wiem, która godzina. Tylko to cholerne radio podaje co trzydzieści minut wiadomości. Znowu szesnaście osób zmarło na AIDS. W samym tylko Londynie...

## SEN

Nad ranem udało mi się zasnąć, ale miałam dziwny sen. Łądy opanowały ryby. W ogóle nie było ludzi. Ryby dzieliły się na kategorie pod względem nasycenia kolorem. Najsilniejsze były czarne, więc pożerały wszystkie inne, ale ich gatunek był najmniej liczny. Białe były najsłabsze i stanowiły większość, ale mogły skonsumować tylko przezroczyste rybki. Ryby, co najdziwniejsze, nie pływały, bo nigdzie nie było wody, czasami zanurzały się w błocie. Większość czasu zajmowało im przesuwanie się po łądzie. (Nie wiem, dlaczego miały pletwy?).

Uciekałam od wszystkich, byłam... przezroczysta. Nie miałam ani łuski, ani nawet ogona z prawdziwego zdarzenia. Bez ustanku gdzieś pełzałam, jak wąż. Ponieważ byłam przezroczysta, inne ryby rozpoznawały mnie po żyłkach na ciele, w których płynęła krew. Biała ryba przyglądała mi się długo. W końcu dokonała aktu pożarcia. Zaczęło mi brakować powietrza. Dusiałam się.

Obudziłam się o 16. W pokoju unosiła się niezbyt przyjemna woń i... było bardzo duszno. Cieszyłam się, że nie jestem rybą. Szczypałam prawe udo, aż wyskoczył siniak. Na prawym też to robiłam. Dla równowagi...

Jak na ironię, na dole gospodarz kamienicy smażył ryby. Poczulałam głód. W kuchni były jedynie trzy ziemniaki, trochę oliwy i jedna papryka. Obralam warzywa, a frytkom nadałam kształt ryb. Wyobraziłam sobie, że jestem czarno-białą orką i pożeram wszystkie pozostałe. Wszystkie. Bez wyjątku.

Nigdy nie jadłam tak smacznych frytek. Tłuszcz ściekał mi po

palcach, a ja odgryzałam najpierw ogon, później pletwy. Niektóre polykałam w całości. Bezbronne kawałki ziemniaków przekłuwałam widelcem i wpychałam pośpiesznie do buzi. Wewnętrzna radość nasycenia...

## KEKS

Dzisiaj przyłapałam się na tym, że zbyt rzadko myślę o kraju, rodzinie. Kasetę Ireny Santor wyrzuciłam do kosza. Później Ida szukała jej nawet w szafie. Usłyszałam, że wszystko ginie i nie ma winnych, że może to gospodarz podkrada nasze rzeczy albo jego żona otwiera drzwi kluczem w czasie naszej nieobecności.

Wyobraziłam sobie, jak Magalińska podnosi każdy przedmiot do góry, ogląda, szuka nazwy kraju, gdzie został wyprodukowany. Jeżeli w Polsce, to przyciska z sentymentem, oddaje przedmiotowi resztki ciepła swoich starczych rąk. A może nawet wacha?

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że przyciska do piersi kasety, spinki, dwa pluszowe misie, książkę Olgi Tokarczuk, a nawet budzik. Później chce to wszystko odłożyć na miejsce, ale nie jest to możliwe. Nie można położyć rzeczy dokładnie w to samo miejsce. Wszystko w przestrzeni jest płynne. „Pantha Rei” - powiedział kiedyś Heraklit i chyba miał rację.

Ruch powietrza, szelest jej sukienki zmienił ułożenie drobinek kurzu na szafce. Odcisnęła linie papilarne, kilka siwych włosów spadło na podłogę. Pokój nie może wyglądać tak samo jak przed paroma minutami, sekundami nawet. Ja nie mogę wyglądać tak samo jak przed paroma dniami, więc codziennie oglądam swoją twarz w lustrze. Wyszukuję nowe zmarszczki wokół oczu - te niepokojące odznaki upływającego czasu. Kilka siwych włosów staram się wepchnąć pod spód, jak najbliżej czaszki. Najlepiej, żeby się do niej przykleiły i tam już zostały. Nie byłoby przynajmniej ich widać. Paznokcie łamią się i kruszą, ale na szczęście wyrastają nowe. Ten codzienny rytuał nudzi zapewne lustro, nudzi czasem mnie samą, ale pozwala wypełnić chociaż kilka minut poranka, gdy nie ma już Idy w pokoju, gdy nie ma nikogo w kamienicy.

Nie jestem jednak smutna. To co stare ustępuje nowemu i zaraz po przeliczeniu siwych włosów liczę małe włoski na czole, oglądam nowe skórki na paznokciach, nowe brwi, które co prawda nie

dodają urody, bo rosną poza lukiem brwiowym. Ale przynoszą odrobinę optymizmu, bo są młode... Magalińska jest stara i wszystko w ich domu jest stare. Ale jest piękna w tej starości i wszystko, co posiada, jest ładne. Chociaż nie zawsze użyteczne. Pożycza mi czasem różne przedmioty, odkurzacz lub suszarkę, które z reguły nie działają. Gdy je oddaję, robi zdziwioną minę, jakbym nie umiała się nimi posługiwać. Później Magaliński na nią krzyczy, że lokatorzy wszystko psują, a ona nie umie niczego dopilnować.

-Saro! Zejdź na dół, upiekłam keks - krzyknęła Magalińska.

Zbiegłam po schodach. Zadowolona, że ktoś o mnie myśli (oprócz Idy) i mnie zaprasza. Zapachem ciasta chyba przesiąknięte były nawet ściany. Keks bardzo mi smakował. Jakieś kandyzowane owoce przyjemnie lechtały podniebienie. Popijałam herbatę z mlekiem i czułam się błogo. Fantastyczny stan. Błogość empatycznie odczuwana z panią Zofią Magalińską.

Gospodyni włączyła „Polonię”, żeby obejrzeć wiadomości.

- Dlaczego Polacy są tak naiwni, że wybrali komunistę na prezydenta? - zapytała.

Skąd mam to wiedzieć, co sądzi ogół? Mało mnie to obchodzi. Zawsze niewiele mnie to obchodziło. Wiem, że jest źle, bo musimy wyjeżdżać. Potem niektórzy parzą w barach tysiące kaw, jak Ida. Inni szukają pracy, jak ja.

- Nie wiem, pani Zofio-zwróciłam się do niej oficjalnie, ze względu na urok starości, który w niej podziwiałam.

- A czy pani jest dobrze? Czy jest pani szczęśliwa?

Zanim odpowiedziała, pogładziła ręką materię szarej sukni. Zaszeleściło...

- Tak. Raczej tak- poprawiła się. - Chociaż długo szukałam, ale było warto. Bo czasem do głównej drogi musimy dochodzić bocznymi ścieżkami, niekiedy gubimy się i szukamy od nowa naszego traktu. Tak myślę, moje dziecko.

Raczej się nie myliła. Magaliński był nieco ekscentrycznym dziwakiem. Jednak ich życie było bardzo uporządkowane, w przeciwieństwie do mojego. Magaliński zabierał ją co sobota do synagogi - jednej z najokazalszych w Londynie, a potem na przejażdżkę po mieście albo spacer. W sobotę w całej kamienicy było wyjątko-

wo cicho. Bardzo lubiłam te dni. Ale dzisiaj był czwartek i widocznie pani Zofia miała ochotę na dłuższą pogawędkę.

- Jakiego jesteś wyznania dziecko? - zapytała zniecierpliwiona, jakby domyślając się co mi krąży po głowie.

- Jestem katoliczką, choć nie zawsze praktykującą.

- Widziałam, jak się spieszyłaś w niedzielę do kościoła. Chociaż, wy, katolicy jesteście nieco dziwni. Czasem krzywdzicie bliźnich, zaraz po wyjściu z kościoła spożywasz alkohol. Znam katolików, Percych - mieszkają naprzeciwko.

Po co ona mi to mówi?

- Pani jest Żydówką? - zapytałam, chociaż doskonale znałam odpowiedź.

- Tak... - zaczęła szeptać, jakby to była jakaś tajemnica. - Moim największym marzeniem jest wyjazd do Izraela, ale Antoni się nie zgadza. Lubi Londyn i nie chce zaczynać życia od nowa. Może ma rację... Mówi, że jesteśmy na to za starzy. Twoi rodzice też są katolikami?

- Tak, i dziadkowie - skłamałam.

Nagle keks przestał mi smakować. Powiedziałam, że muszę iść. Chciałam być sama.

Samotność z wyboru jest rzeczą niewątpliwie bardzo przyjemną. Chociaż ostatnio byłam samotna również z konieczności...

## **Niebo w kałuży**

(fragment przygotowanej do druku powieści)

Tamta i Daniel kiedyś. Dawno, dawno temu - kiedyś.

Mgła.

Ociekające wilgocią powietrze wciska się pod lichą kurtką, obejmując tułów i pochłaniając resztki ciepła niezabranego jeszcze przez strumienie idące nogawkami,

Rzadkie srebrzyste krople na nagich gałęziach skupiają złoto promieni dwóch okien. Niesprecyzowany, irytujący szum w mazi powietrza. Dzwon opadłej na czoło kropli. I w ostatnim błysku sekundy rezygnacja z rozwarcia przymkniętych powiek,

Siedzisz tak od zmroku i dobiegasz już do swego lasu na Mazurach. Otulone gałęzie świerków skrzą się w przedpołudniowym słońcu. Skrzyp śniegu towarzyszy chłopakowi ubranemu w granatowy dres z białym napisem na plecach i mocno zawiązane trampki. Biegnie teraz pod górkę w śniegu po kolana, wyrzucając z płuc kłęby powietrza, których częstotliwość rośnie w miarę zbliżania się do szczytu.

Na górze bierze kilka głębokich oddechów i przechodzi w trucht. Wąska ścieżka na pograniczu liściastego lasu i młodego zagajnika doprowadza go do małego jeziora skutego lodem; tylko w miejscu, gdzie wpada rów, połyskuje skrawek wody. Przeskakuje rów i na pobliskiej polanie przystaje, by zrobić rozgrzewkę.

Wymachiwania ramionami, skłony do przodu, na boki, przeginięcie się do tyłu przy pniu sosny, skręty tułowia, wieloskoki, skipingi, znów ramiona i skiping boczny. Potem czterdziesto- pięćdziesięciometrowe tempówki. Slalom między drzewami. Trucht. I trzykrotnie czterysta metrów na trzy czwarte szybkości. Jeszcze dookoła jeziora na czas i powrotny trucht do domu.

Znajomy, niedosięgły las, który kocha, a do którego nie wróci,

gdz widział go z daleka, z okien pociągu, i wie, że został zniszczony.

W swojej drodze omija wykarczowane w górnym biegu rowu trzy hektary wysokich pod niebo sosen i ten skraj lasu, gdzie postawiono wielką mleczarnię.

Śnieg spada z potracanych gałęzi ciesząc chłopaka, jak cieszy go zmęczenie niosące satysfakcję, Na wzniesieniach silniej pracuje ramionami, a zbiegając rozluźnia się i opuszcza ręce tak, iż w głębokich zaspach dotyka twardej skorupy śniegu.

Bierze zakręt pod kątem prostym i biegnie przecinką, mając po obu stronach rachityczne drzewka przetrzebione przez mniszkę brudnicę i cetyńca. Osiąga skrzyżowanie z drogą, którą wjeżdża się do lasu, i zwalnia. Krótkie ramię starych wysokich sosen dochodzi tutaj do miejsca, skąd opada wielka kotlina, w której leży otoczone jeziorami miasteczko.

Zatrzymuje się i długo patrzy na zasypane pola i przystrojone śniegiem ulice, wieże i dachy domów.

Mocniej zaciskasz powieki: na marszczonej leciutką bryzą wodzie długiego rynnowego jeziora, którego brzegi porasta na całej długości inny las, chyba że się łódka z dziewczyną.

Mokre ciepło rozlewa ci się pod powiekami przysłaniając jezioro. Jeszcze udaje się zobaczyć poprzedni obraz na krótką chwilę, na błysk, lecz łódka jest już pusta.

Otwierasz oczy.

Światło w jednym z okien na czwartym piętrze gaśnie. Znika większość wiszących na gałęziach kropel. Na okrągłym klombie przed blokami pojawia się bury, bezański pies,

Duży głaz leżący przy ławce i ty najwyraźniej zaczynacie go interesować. Nieufność do człowieka przeważa jednak i pozostaje na swoim miejscu,

Znów przymykasz oczy,

Długo czekasz, nim poprzez szarość przebiją się następny obraz. Chłopak zbiega w niewysoki jar, gdzie wije się nasyp kolejki wąskotorowej, odarty z szyn. Lecz pamięta jeszcze czas, kiedy ciuchcia jeździła, kiedy mydłem do prania szorowali tory - widzi buksujące, wślizgujące się zajadle niewielkie koła parowoziku - i kiedy przypadkowo, z kilkorgiem rówieśników natknął się na spół-

kującą w dole parę.

Znajduje się pod drugą ścianą jaru, niespiesznie wbiega na stromiznę, a potem daje już się nieść nogom po długim zboczcu, aż do jezora jeziora, które mija rozpędem nabranym wcześniej, truchta jeszcze kilkanaście metrów i zaczyna iść.

Z otwarcia oczu zdajesz sobie sprawę znacznie później.

Sinawy fragment ściany i żółte okna masz w lewo na skos przed sobą. Patrzysz tam nie myśląc o niczym, nie wiedząc gdzie jesteś; siedzisz na ławce, a nie ma cię nigdzie. Przestajesz istnieć... dla siebie.

Dopiero dwa poruszające się we mgle ogniki sprowadzają myśli. Oczy psa, który przebiega klomb zatrzymując się nie opodal ściany, przyciągają twój wzrok. Wpatrujecie się w siebie - zwierzę i człowiek. Naraz oczy zwierzęcia znikają i upływa długa chwila, nim odnajdujesz je na środku klombu. Znów są szkarłatne i nieruchome. Ale bliższe.

Potem zapatrujesz się przed siebie, w mgłę.

Z dziewczyną z łódki siedzisz czerwcową nocą pod wiśnią. Pićcie ciężkie, czerwone wino z butelki i jecie zerwane przez siebie owoce, wystrzeliwując pestki z dwóch palców. Plamisz jej biały sweter...

Słyszysz klangor szpaków w drzewach. I nie musisz odwracać głowy, aby sprawdzić, czy jest światło w oknie; żółtawy poblask pada na płyty chodnika przed klombem. Poruszasz się zakładając nogę na nogę. Ciągłe trzymasz łokcie na wywiniętych oparciach ławki. Technienie wiatru obrywa dyndającą na zgięciu gałęzi kroplę. Zostają jeszcze cztery, a przynajmniej tyle widzisz ze swego zimnego, wilgotnego miejsca. Mówisz sobie, że kiedy spadnie ostatnia - wstaniesz. I w tym momencie zostają trzy.

Dziewczyna z łódki siedzi teraz na tapczanie z podwiniętymi nogami, w białej bluzce i czarnej aksamitnej spódnicy. Świeżo umyte włosy opadają szerokim pasmem na ramię i zwisają za plecami. Nie malowała się nigdy, lecz teraz jej długie rzęsy są wyraźnie poczernione. Prawą dłoń trzyma na lewym udzie, lewą, zaciśniętą, wspiera się o tapczan. I jest smutnie zamyślona.

Obraz, za którym zawsze tęskniłeś, a nie widziałeś nigdy, nawet po ślubie, pojawia się tak niespodzianie i jest tak wyraźny, że wy-

daje się, iż wystarczy sięgnąć ręką, aby dotknąć dziewczyny.

Dwa cienie za oknem przecinają obraz. Wiesz, że drugi jest cieniem gówniarza, który odwiedza dziewczynę. Wbijasz wzrok w okno, wpatrując się aż do bólu, nie tylko oczu. Cienie dzielą się, rozszczepiają i w szalonym tempie zaczynają zbliżać się ku sobie i oddalać.

Rozkołysane, kiczowato, przestrzenie dojrzałych pól na wie-  
trze; bez słońca. W twoim krajobrazie bez słońca. Pomarańczowo-  
czerwonawa krata na pastelowym jesiennym płaszczu przyciągają-  
ca ręce jak futro kota. Niski płot wieczornych pożegnań. Preten-  
sje. Kosmyk przesłanych w liście włosów. Kamień pierwszego  
uderzenia. I ulica pusta ludźmi, albowiem idzie właśnie dziewczyna  
na z łódki.

Terytorium schizofrenii.

Zdejmujesz łokcie z oparcia ławki i kładziesz przedramiona na  
kolanach, sam zawisając nad mokrymi płytami chodnika przed  
blokiem. Jeszcze widzisz dwie bliźniaczo podobne dziewczyny,  
gdy naraz odnosisz wrażenie, iż pies podszedł bliżej. Unosisz głowę.  
Zwierzę stoi na łysym klombie z przechylonym łbem i lekko  
rozwartym pyskiem trzy metry przed tobą, a ty, prostując się, do-  
strzegasz na gałęzi ostatnią kroplę.

Pies jeszcze się waha, by w końcu przewyciężyć obawę, pod-  
biec i zacząć obwąchiwać buty.

Podmuch wiatru stroszy mu sierść. Rozgląda się i przechodzi  
do kamienia, gdzie podnosi prawą tylną łapę. Kiedy kończy, od-  
biega na środek chodnika i ponownie wlepia w ciebie ślepią.

Właśnie gaśnie światło w oknie, i nie ma już żadnej kropli.

Podnosisz się z namysłem, wolno stąpasz dwa kroki, po czym  
opuszczasz suwak rozporka.



### Anatema i supraskie nieszczęście

Kłątwa jest czymś niepokojącym. Rzucona na coś lub na kogoś uruchomia siły nieznanne, mroczne, że lepiej ich nie tykać. Jeszcze nie tak dawno, w okolicznych wsiach, był znany i praktykowany obyczaj składania przysięgi na potwierdzenie prawdy. Kobieta brała do ręki garść popiołu lub ziemi i sypiąc ją sobie na głowę wypowiadała słowa:

Niechaj ja stane się jak ta pyl (jak to nieprawda). Nieszczęście na moja głowa i na głowy dzieci moich. Amen.

Moc przysięgi pieczętowała kłątwa na głowy dzieci i na nienarodzone jeszcze pokolenia, wyzwała kławę tak straszna, że niebывale odważny lub zdesperowany musi być ten, kto by ją sobie wziął na sumienie, lekceważąc własny los. Na samą myśl o tym opowiadająca kobieta wzdrygnęła się ze strachem.

W obrębie murów supraskiego klasztoru uwiło sobie wygodne gniazdo „supraskie nieszczęście”, o czym zaświadcniają losy kolejnych gospodarzy. Skąd i kiedy się wzięło? Może było tu od zawsze. Siedziało sobie cichutko na Suchom Hrudzi, na piaszczystej wyspie pomiędzy bagnami i rzeczólkami Brzozówką i Grabówką.

Czasem podniosło powiekę leniwego oka, by podokuczać białogięzłym kmiotkom i ich wiecznie zapracowanym babom. Murarzom pracującym na rusztowaniach bazyliki i w żywe kamienie kłnącym nekający ich ziąb, deszcz i spiekotę na zmianę.

Może nieopacznie obudzili je pomocnicy murarzy, dźwigający na górę ułożone w koziółkach cegły, rugający się jak szewcy w szewski poniedziałek? Może mnich któryś, nie przestrzegając zakonu, dał nieszczęściu pełną satysfakcję? Kto to wie?

„Supraskie nieszczęście” mogło z powodzeniem objawić się tu już w 1545 roku, napadając gromem i pożogą na pierwszą drewnianą cerkiew Jana Ewangelisty, aby dom Boży spopielić i zohy-

dzic pięknej wizerunek Supraskiej Madonny.

W tym przypadku zło miało pecha, jego agresja ujawniła cudowne cechy obrazu. Wolą Bożą ocalały nietknięte pożogą twarze Madonny i Jej Dzieciątka. Tym sposobem dobro zatryumfowało nad złem, ukazując nam przedziwny mechanizm tych sukcesów, kiedy zda się beznadziejna sytuacja zgnębiionemu tryumf gotuje.

Obolale po przegranej potyczce „supraskie nieszczęście” ułożyło się do snu na uroczysku „czortowa chata”. Może i spałoby sobie tam po dziś dzień, bo w końcu nikt za nim nie tęsknił, może inaczej potoczyłyby się losy ludzkie między Brzozówką i Grabówką, gdyby nie kłątwy co i rusz szarpiące jego powieką, a których tak wiele padło w tych murach.

Pierwsza kłątwa pod dach klasztorny trafiła za przyczyną Katarzyny Wiśniowieckiej, żony Grzegorza Chodkiewicza. Katarzyna w dobroci serca podarowała zakonnikom cenną Ewangelię z 1569 r., opatrzoną własnoręczną dedykacją. A że księgi w tamtych czasach stanowiły tak znaczny majątek, że przykuwano je łańcuchami do pulpitów, kul żelaznych albo kowanych żelazem skarbczyków, chcąc nie chcąc księgi były traktowane jak jacy osadzeni w więzieniu zbrodniarze.

Księżna zapisując dedykację na Ewangelię, zamiast łańcucha i kuli przytroczyła do foliału kłatwę, która niewidoczna dla oka, miała sięgnąć każdego, kto by się ważył ową Ewangelię sobie przywłaszczyć.

[...] *niech będzie nań rzucona kłątwa Pierwszego Powszechnego Soboru Nicejskiego przeciwko heretykom. Amen.*

Czy się dopełniła? Bóg raczy wiedzieć. Wszelkie źródła o tym milczą. Jedno pewne, Ewangelia gdzieś się zapodziała. Puszczając wodze wyobraźni możemy się domyślić, że sprawcy jej zatracenia raczej nie spotkał dobry los. Być może sprawił, że barbarzyńcy niszczący katakumby dokonali spełnienia kłątwy na wszystkich, którzy nie upilnowali foliału. Nikt z jego stróży nie ma dziś własnej, niezbyszczeszanej mogiły.

Kolejną kłatwę w tych zacnych murach rzucił przeciwnik unii brzeskiej, archimandryta Hilarion na metropolitę Rusi, Hipacego Pocięja, architekta wiecznego pojednania się Kościołów w Rzeczy-

pospolitej. Hilarion skazany za ten wybryk na banicję, od uwielbionej Moskwy nie uzyskawszy materialnego wsparcia, rzuconą kłutwą odwołał prosząc jednocześnie Pocięja o wybaczenie, do unii brzeskiej przystał i nigdy już jej przeciwnym nie był. Niemniej fakt budzenia nieszczęścia stał się.

Bardzo możliwe, że nieszczęście przywlekło się z zakonnikami z Góry Athos uczeplone judaszowego srebrnika, który nie wie-dzieć kiedy i jakim sposobem trafił do supraskiego skarbcza i nie wiadomo też, gdzie i kiedy potem się zapodział. Być może leży gdzieś to paskudztwo w ziemi, w cieniu rosnących murów bazyliki i wciąż steruje drzemającym ze starości „supraskim nieszczęściem”.

Może właśnie ten srebrnik rozwarł szeroko wrota chciwości i spowodował, że Chodkiewicze, niedawni dobrodziejce, prowadzą w sądach rozliczne spory i grabieżczą wojnę z zakonem. Spory z czasem stają się tak dokuczliwe, a czyny tak krzywdzące dla zgromadzenia, że przywożący archimandrycie supraskiemu mitrę Gabriel z łaski Bożej patriarcha Serbii i Bułgarii pisze do Jerzego i Grzegorza Chodkiewiczów pismo, w którym ostrzega:

*...a ktoby mu (supraskiemu archimandrycie)  
złość chciał wyrządzić,  
taki gniewu Bożego nie ujdzie.*

Potrzeba zabezpieczenie opata nie była bezpodstawna. Oto po latach, 13 marca 1643 r., zostanie otruty w Warszawie inny archimandryta - Nikodem Szybiński, prawujący się uparcie z Chodkiewiczami. Mnisi o zabójstwo podejrzewają Krzysztofa Chodkiewicza. Spór kontynuuje opat Alexy Dubowicz, ale doprowadzony do ostateczności, umiera w 1652 roku w Wilnie. Zdążył jednak jeszcze przed śmiercią powołać

*...na sąd straszny Pana Boga Krzysztofa Chodkiewicza, woiewodę Wileń-  
skiego, kollatora supraskiego,  
tudzież o rabowania y zdzierstwa bezbożne.  
Za którym powołaniem y woiewoda tegoż roku,  
dnia y miesiąca zaraz umarł.*

W 1659 roku na opactwo supraskie zostaje powołany Gabriel Kołęda. arcybiskup Połocki. Teraz on dalej ciągnie spory z Chodkiewiczami, którzy za jego poprzedników dopuszczali się wszelkich bezceństw, gwałtów, rabunku skarbcza i majątku. Zakon

skłócony, procesujący się ustawicznie, podupada materialnie. Zniechęcony Kolęda poddaje się „supraskiemu nieszczęściu”, porzuca Supraśl i wraca do Połocka. Wyjeżdżając z klasztoru, gdy już postawił nogę na stopniu powozu, obejrzał się smutno na bazylikę i powiedział do woźnicy:

*doczekam się ja tego, że na tym miejscu  
będą tylko wróble mieszkać i śpiewać.*

Lecz z łaski Bożej tego nie doczekał. Niemniej przekleństwo nie poszło na marne. Nie zmarnowała się jego najmniejsza kruzynka. Stało się to dopiero w 1944 roku, za sprawą „supraskiego nieszczęścia”, które ocknęło się, spotkało Backiela i zapłaciło Ukraińcom na służbie niemieckiej będącym samogonem i słoniną za wysadzenie bazyliki w powietrze.

W 1687 roku metropolita Żochowski wizytując klasztor zostawia pełen zaleceń protokół polustracyjny, w którym niektóre punkta są wzmocnione klątwą tak:

*... (pieniądze w Gdańsku zaległe) iako najprędzej mają być odzyskane i do skarbcza klasztornego wniesione, a od tego czasu, pod klątwą przykazujemy...*

*... pod klątwą j. x. archimandrytę upominamy, aby majetność Mazury zaraz oswobodził z ręki j. p. Kukszyzna...*

*... A że pokazał się uszczerbek w nabożeństwie, w nieodprawowaniu Wsenoszczonej, Sławostowia, tedy ustanowiamy i pod klątwą pasaterską przykazujemy aby one odprawowane były...*

*... aby j. x. archymandryta nie kazał we dni święte pełnić robot w klasztorze, ani za klasztor, gdyż za to zwykł Pan Bóg karać, iakoż przeszłego roku ogniem nawiedził, że w dzień uroczystości Najświętszej Panny młocono w gumnie...*

Ostatnia i najpotężniejsza klątwa, mająca zabezpieczyć losy klasztoru przed żarłocznością zaborców, wiąże się z bullą papieską z 1798 r., lokującą w Supraślu unickie biskupstwo. Papież znając nienasyconą chciwość prusaków, pragnąc zabezpieczyć podlaskich unitów, kończy dokument słowami:

*... A zatem nikomu z ludzi pod żadnym względem nie wolno zniweczyć tej stronicy, która mówi o wyniesieniu, ustanowieniu, ogłoszeniu, podziale, oddzieleniu, odłączeniu, rozłączeniu, wynajęciu, zamianie, poddaniu, udzieleniu prawa i władzy, pozwoleniu, przekazaniu, uchwale, ustanowieniu, mianowa-*

*niu, usunięciu i odwołaniu, lub przeciwi się temu zuchwale i nierozsądnie, jeśli zaś kto odważy się obalić to, niech wie, że spotka go gniew Boga Wszechmogącego i Błogosławionych Apostołów Piotra I Pawła (...) dano koło Florencji w Pustelni Kartuzów roku Wcielenia Pańskiego 1798, 6 marca...*

„Supraskie nieszczęście” siedziało na skarpie nad rzeką, machało giczolami i z radością wczytywało się w warunki, na jakich mogło interweniować w losy ludzi i rzeczy. Wczytywało się i choć możliwości było niewiele, zacierało wredne łapki:

- Dużo tego. Aj, jak fajnie; aj, jak dużo zła będzie można zrobić.

Czy klątwa skutkuje? Bo ja wiem, nikt nie ma pojęcia, jak mroczne, jak bezwzględne poprzez nią porusza, uruchamia siły? Popatrzmy więc na losy kolejnych lokatorów klasztoru.

Zakon prawosławny nie rozwinął się, był nawet przez władze zwierzchnie przeznaczony do kasacji. Historię swą zakończył ucieczką, rozproszeniem intelektualnego dorobku pokoleń, relikwii, świętości i sam zaginął w odmętach rewolucji i wojny domowej w Rosji, niestety, wraz z cudownym obrazem Supraskiej Madonny.

Po przekształceniu Pałacu Opatów w Pałac Zachertów supraska linia tej rodziny, mimo tak świetnego startu gospodarczego, nie rozwinęła się. Nie pomogła losowi nawet wspaniała, dobroczynna, patriotyczna działalność Józefiny; utracili majątek i zeszedli bezpotomnie.

W okresie międzywojennym nie przetrwała w tych murach dłużej żadna instytucja, zakon czy szkoła. Nawet salezjanie, którzy w Zakładzie Wychowawczym z uporem gromadzili wokół siebie sieroty polskie, białoruskie, ruskie i żydowskie, rozpoczęli swoją działalność trzy razy od zera.

Rosjanie, którzy w 1939 r. zajęli i zbezczeszcili bazylikę niszcząc barbarzyńsko do szczętu wspaniałe wnętrza, zostali w 1941 roku zbombardowani na Napoleońskim Trakcie w czasie panicznej ucieczki. Naoczny świadek, który tam się znalazł następnego dnia, mówił: Las wyglądał jak tania jatka, jak sklep rzeźnika. Wisieli na gałęziach jak na hakach....

Minerzy, Ukraińcy z SS Galizien, którzy zaminowali i zerwali w powietrze bazylikę, podobno uciekali przez Gdańsk. Poszli na dno

zatopieni w zbombardowanej czy wysadzonej na pływającej minie barce.

Przyglądając się powojennym czasom ma się wrażenie, że klasztor odzwierciedla los całej ojczyzny. I na niej ciążyą klątwy, ciągle sobie nią jakaś „podszewka” gębę wyciera. A nasz zaginiony judaszowy srebrnik śpi gdzieś w objęciach „supraskiego nieszczęścia”. Miejmy nadzieję, że się oboje nie ockną za naszego życia. Chociaż... patrząc na kolejne ekipy kierujące supraską społecznością ma się wrażenie, że coś po cichu odmienia sumienia tych, którym ona powierzy choć namiastkę władzy.

## **Jakby głowo nie kręcić... i tak zadek będzie z tyłu**

Wieś nie jest duża, powiedzieć można przysiółek, ot, wszystkiego siedem chałup. Żyło w nich pięć bab, trzy chłopcy, psów siedem i dwanaście kotów. Nie licząc myszy, bo te nie podchodzą pod żadną statystyką. Same wdowy i wdowcy.

Jedynie Jundziłły, nikomu nie wadząc, od małych lat, cicho szli przez życie i pewnie dlatego wciąż byli razem. A może przez to, że żyli kawałek za wsią, za górą i gdyby nie siwy dym dobywający się z komina niewidocznej chaty, nikt by o istnieniu Jundziłłów nie wiedział.

W przysiółku życie toczyło się ustalonym rytmem. Wstawali rano, wychodzili przed chaty, przeciągali kości i liczyli się, by radośnie stwierdzić:

- No... dziękować Bogu przeżyli jeszcze jedna „sądna noc”... wszystkie so... nikt nie umar.

Oporządzali co kto miał w obejściu: krowy, psa, kota... jedli śniadanie, obiad, wieczorem polewali kwiaty w ogródku, spożywali kolację, modlili się i szli spać.

Choć w końcu do niemożliwości nadojadła im ta monotonna matematyka, to dzięki niej posiadli świadomość, że stoją w kolejce o dwu niewiadomych. Bo kto wiedział, gdzie kolejce początek, gdzie koniec? Albo kto stoi ostatni, kto pierwszy? Tego nie znalazł nikt, nawet Łysy Leon, któremu zdawało się, że wie wszystko i o

którym pięć bab i trzy chłopcy myślały, że wszystko wie... a on nie wiedział nic. Chociaż... zaraz, zaraz... kiedyś Łysy usiłował ustalić kolejność zgonów.

A było to po śmierci Tewiela. Już ze trzy godziny śpiewali chałtury nad nieboszczykiem i nic... wdowa od trumny na krok nie odchodzi... Aż któraś z kobiet przypomniała jej, że wszystkim zaschło w gardle i dobrze byłoby geby choć hierbatą popłukać.

Ocknęła się wdowa Franciszka jak ze snu, rozpałała ogień w płycie, żeby zagotować wodę na herbatę, a póki co... wyjęła z kredensu butelkę złotawej przypalanki. W powietrzu zawisł zapach samogonki i od razu żalobnikom humor powrócił. Wypili, zakąsili, zaśpiewali. Głosy, dotąd matowe jak z pękniętej donicy, zadźwięczały najczystszy krysztalem:

Wyleciała dusza z ciała  
na zielonej łące siadła...  
Na zielonej łące siadła  
gorzko sobie zapłakała...  
Gorzko sobie zapłakała  
matka do krów szła  
Gorzko sobie zapłakała  
ojciec konia poił...

Przerwali, wypili, zakąsili kielbasą pachnącą, nie wiadomo, bardziej czosnkiem czy jałowcowym dymem... i wtedy wyniknęła spór... kto następny z nich odłoży łyżkę?

Oczywiście, kolejność ustalać zaczął samozwańczo Łysy. Ale nic z tego nie wyszło, bo Jaśko, któremu zamachy Lysego na ich maleńką demokrację dawno nadojadły, opowiedział wszystkim co mu się przydarzyło, kiedy wchodził do domu zmarłego.

- Zza świronka - mówił - biało chmuro, wypłynęła śmierć i przestąpiła droge. Nogi mnie zdębieli i stoje jak kołowaty. A tu śmierć ściąga białego kaptura z głowy i... i wiesz kogo ja zobaczył?

W izbie zrobiło się cicho. Aż po chwili kobiety z nabożeństwem spytały chórem:

- Kogo Jaśku? Kogo ty zobaczył?

- Lysego! - Odparł Jaśko. - Z czego da się zrozumieć, że po Tewielu następny będzie Łysy... znaczy się Leon. - Zakończył.

Łysy zerwał się ze stolka, jakby kto jego szydłem dźgnął albo terpentyną zadek posmarował. Wyleciał z kuchni do sieni... i na podwórko.

- Musi poszed sie śmierci spytać czy to prawda? - Zaśmiała się Alesia. - Toż zapomnieli jak z „Królem Herodem” chodzili? Kto zawsze śmiercio był? Łysy. Nawet panny śmieli się z jego, że ma u „suchej” większe chody jak u ich wzięcie... temu po jego przyjdzie na ostatku. A on śmiał się. - He, he przyjdzie po mnie, ale na końcu świata, bo wciąż nowe się rodzo.

- Widać po starej znajomości poszed sie z jo dogadać... kto z nas ma być następny?

Starość nie radość, śmierć nie pociecha. Od tego gadania wszystkim w krzyżach pochłodziło. Zaraz też wypili hołoblowe i wbrew zwyczajowi rozeszli się po chałupach w cichej samotności rachunki sumienia robić.

Tymczasem, choć od pogrzebu „Tewiela” sporo czasu przeszło... nikt nie umarł, a epizod z Łysym pokryła mgła niepamięci.

Niektórym poprawił się wzrok, słuch. Niepostrzeżenie ustąpiły kłopoty z krążeniem krwi, reumatyzmem, podagrą. Przestali się lękać zapalenia płuc, które przed wynalezieniem antybiotyków kosiło ludzi starych.

Jak przedtem przywykali do swoich chorób i uczyli się z nimi żyć, tak teraz o nich powoli zapominali. Franciszce cofnęła się skleroza i przypomniała sobie, gdzie trzy lata temu schowała dolary. Anastazji nie trzęsła się już głowa, a Jaśko przestał cierpieć na pęcherz. Nawet Renata, przezywana Wlientowa, zapomniała o padaczce, trapiącej ją od dziecka chorobie świętego Walentego.

Anioł radości życia zagościł w ich przysiółku i bez reszty o władnął staruszkami tak, że zapomnieli co to chałtury. Już od dawna nie zbierali się na nie i nie śpiewali lamentów żałobnych nad trumną opuszczającego na zawsze ich przysiółek. Po prostu od lat nikt nie umierał... poza tym Bronce zapodział się gdzieś kajet, zapisany chemicznym ołówkiem od deski do deski śpiewnik z pieśniami pogrzebnymi.

Ostatnio listonosz, coraz częściej, zaczął przynosić zawiadomienia o śmierci kogoś z ich krewnych w Białymstoku, Sokółce,



Krynkach, Supraślu albo dalszych miastach Polski i zagranicy, po których los rozrzucił rodziny pięciu babom i trzem chłopom.

Zaś śmierć, wedle nie wiedzieć jakiej prawidłowości, zaczęła kosić w dalekim i bliskim świecie ich dzieci, wnuki i prawnuki. W związku z czym, coraz częściej, otrzymywali spadki i darowizny po potomkach. Musieli dokonywać rozliczeń z Urzędem Podatkowym i ku ich zaskoczeniu wcale im to nieźle szło. A przecie jeszcze tak niedawno wypełnienie najprostszej ankiety było barierą nie do pokonania.

Któregoś wiosennego wieczora ciszę, przepojoną cykaniem świerszczy, przerwał dźwięczny śpiew Bronki. Było to zaskoczeniem, bo od lat nikt tu nie śpiewał. Nagle, jak przed laty, poleciał przez wieś czysty, dziewczęcy głos:

Oj dawno dawno u mamuli była  
Aż dróżeczka do niej trawą zarosła  
Trawą zarosła, wodą podeszła  
Czerwoniuchną kalinuszką ponawisała  
Chłopców zaproszę, trawę obkoszą  
Czerwoniuchną kalinuszkę w pęczki powiążą.

Wychodzili z chat i jak szczury za fujarką szczurołapa szli za głosem Bronki, aż pod próg jej domu. Tego wieczora śpiewali jak nigdy przedtem... wszyscy i całą duszą. Z piosenki na pieśń szło im coraz lepiej. A jedna od drugiej zdawała się piękniejsza i każdy w tym chórze miał wrażenie, że rozpoznaje swój głos najczystszy i najpiękniejszym. Coś w nich się budziło jak z głębokiego snu... jakieś tęsknoty i nadzieje... jakieś skrywane pragnienia.

Aż wreszcie po latach nieśmiałych oczekiwań, jeden z trzech chłopów, Stefan, spostrzegł, że policzki Walerii wygładziły się nad podziw, siwiznę przeplatać poczęły pasma kruczonych włosów, a na wygładzone czoło powróciły cudowne, czarne jak sadza jaskółki brwi.

Co też nie uszło uwadze małej społeczności i co stary świntuch, kpiący cynicznie ze wszystkich i wszystkiego Łysy, skomentował: - kiedy głowa bieleje wtedy dupa szaleje. Na co jagody Walerii zareagowały natychmiast i spłonęły autentycznym, pełnokrwistym, panińskim rumieńcem.

Zachwycony Stefan przyznał w duchu, że świńska odzywka Łysego nie jest bezpodstawna. Na widok Walerii jego obumarły na babskie uroki organizm reagował ostatnio tak jak wtedy gdy miał dziewiętnaście, a Waleria szesnaście lat.

Nie dowierzał sobie, jednak obraz Walerii tamtej sprzed lat coraz częściej niepokoił go w snach i zlewał się na jawie z obrazem wcale jędrnej Walerii dzisiejszej.

Jak wczoraj, pamiętał ją wychodzącą z tańców przed karczmą Profitkina w Talkowszczyźnie, buchającą mgłą oddechu i potu w świetle otwartych drzwi. Pamięta jak przypierał ją do pobielonej ściany i jak, nie mogąc tchu złapać, stawała mu się bezwolną.

Potem było wiele, pełnych zapachu maciejki, szeptanych wieczorów. Aż do czasu gdy wydano ją za starszego od niej o dwadzieścia pięć lat bezdzietnego wdowca. Przyjęła wolę rodziców z pokorą. Uczciwie, tak jak przysięgała przed ołtarzem, dochowała wierności i męża do końca jego dni.

Dziś, gdy ze swej samotności spoglądała na Stefana, coraz bardziej wracało wszystko z lat, gdy jeszcze od życia oczekiwała wszystkiego.

Nie wiedzieć kiedy zdecydowali się wziąć ślub. Wieś i okolica, mimo że od lat nie oglądała żadnego aktu weselnego, przyjęła ich decyzję przychylnie. Ślub był cichy, ukradkowy, jakiś wstydlivy, choć na weselu weseliła się cała wioska z okolicą i Jundziłłami na dokładkę.

Następnego dnia, po weselu, do wsi przyjechał „Młodziak”. Licho wie kto tę wioskę warszawiakowi polecił jako „koniec świata” i „djabelską dobranoc”. Przyjechał, a może od czegoś uciekał?... Nie ważne. Był tu wśród nich i wszyscy ten fakt z zadowoleniem akceptowali. To znaczy i fakt, i „Młodziaka”.

Zamieszkał w największej chacie u Łysego Leona. A że człowiek w nowym miejscu szybko wyrabia w sobie nowe przyzwyczajenia, po trzech dniach wszyscy we wsi wiedzieli, że „Młodziak” wieczorami lubi przesiadywać za stodołą na kieracie, obserwując zachodzące w rzeczce Słójce słońce.

Owady w sadach i na łąkach hałasowały milionami tykań, szmerów i szelestów. Pachniała weselna jeszcze maciejka. Gnojo-

wicą nie zalatywało, bo jedyna we wsi krowa, „Łatka”, nocowała w oborze Aleksandry na drugim końcu wsi. Od „Łatki” „Młodziak” dziennie wypijał jeden litr mleka. A że Alesia, jak skracając nazywano Aleksandrę, piekła chleb dla całej wioski, piekła też dla „Młodziaka”.

To, że „Młodziak” po jakimś czasie związał się z Alesią, nikogo nie zaskoczyło, ani zdziwiło. Był swój chłop, pomagał wszystkim i chętnie, o co by go nie proszono. Dzięki jego złotym rękom we wsi odezwały się wszystkie radia, przejrzały na oczy wszystkie telewizory i zaczęły grzać wszystkie żelazka, co zdecydowanie podniosło estetyczny wygląd mieszkańców i prestiż „Młodziaka”.

Wiele jeszcze innych, niezwykle pożytecznych prac wykonał, ale najwięcej szacunku zdobył naprawiając zepsutą od dawna pompę, dzięki której z kranów popłynęła najpierw brunatna ciecz, a potem krystaliczna woda.

Po roku, gdy okazało się, że „Młodziak” jest najstarszym mieszkańcem wioski, a Waleria Stefkowi powiła małego Stefanka, wśród mieszkańców zapanował niepokój. Stało się jasne i namacalne, że działają tu siły, które z ich życia, nie wiedzieć w jakim celu, uczyniły igraszkę.

Z sąsiednich wsi, coraz częściej, zaczęli do nich zaglądać dawni koledzy, przyjaciele i z gorszącym zdziwieniem odnajdywali ich odmienionymi, jakimi pamiętali ich w czasach młodości.

Radość zachodzących zmian zmaćła się im ponownie, gdy syn Stefuś osiągnął wiek ojca Stefana. Po kilku miesiącach przestał go słuchać, a po następnych kilku zaczął wydawać mu polecenia. Zdecydowanie nie podobało się to tak Stefanowi, jak i pozostałym babom i chłopom.

Miary goryczy dopełnił fakt, że gdy Stefan nie wykonał polecenia syna Stefusia i nie poszedł na wygon przewiązać „Łatkę”, ten po prostu przełożył go przez kolano i sprął ojcu paskiem tyłek. Wtedy ich świat nagle runął. Poczuli się sponiewierani, zagubieni i bezradni.

Któryś dnia listonosz, przywożący z Sokółki staruszkom renty, zbuntował się i nie chciał dzieciakom wypłacić pieniędzy, choć dobrze wszystkich znał, jako że od lat obserwował zachodzące w nich przemiany.

Wobec tego malcy, w których gromadziła się bezsilna złość, sprali listonosza. A tak się przy tym rozjuszyli, że gdyby nie nadszedł w porę „Młodziak” i nie wybawił go z opresji, poturbowali by biedaka dotkliwie.

Po paru latach „Młodziak” i Stefuś zebrali wszystkie dzieciaki w jednej chacie i wynajęli dla nich opiekunkę z odleglejszego Wierzchlesia.

Odetchnęli trochę, ale nie na długo, po miesiącu opiekunka spakowała cichcem walizkę i znikła niespodziewanie, zostawiając w chacie zasikaną, rozwrzeszczaną i zafajdaną czeredę.

„Młodziak” ze Stefusiem, zaganiani pomiędzy krowami, kurami, pieluchami, butelkami mleka i podcieraniem tyłków, nie mieli czasu na realną ocenę sytuacji. Jedyńm marzeniem obu było przyłożyć choć na chwilę głowę do poduszki.

Na początku jesieni zanik mowy wśród niemowląt był tak głęboki, że już z żadnym nie dało się porozumieć. Jedyńie jeszcze Lysy Leon usiłował coś przekazać gaworząc: ga, ga, gu, gu, gu. Znając jego złośliwość, łatwo domyślali się, co to gu, gu, gu miało znaczyć.

Pod koniec listopada nastąpiło pierwsze zniknięcie. Po prostu nocą opustoszał becik Olesi i tyle. Był pusty. Po Olesi nastąpiły kolejne i kolejne zniknięcia. Z nadejściem wiosny jako ostatni zniknął „Lysy”.

Gdy w opustoszałej wiosce „Młodzik” ze Stefusiem zostali sami, zjawiła się policja i wszczęto dochodzenie na okoliczność zniknięcia pięciu bab i trzech chłopów, których zgonu nikt nigdzie nie zgłosił i nie potwierdził. Psami i kotami nikt się nie interesował, jako że było ich więcej niż na początku wydarzeń.

Przed oficerami prowadzącymi sprawę przewinał się korowód świadków, których zeznania były tak nieprawdopodobne, że nadzieję na zamknięcie śledztwa władze wiązały dopiero z przejęciem sprawy przez trzeciego, wyjątkowo odpornego psychicznie śledczego.

Pod koniec lipca, w sądzie w Białymstoku, ogłoszono wyrok. Oczywiście uniewinniający Stefusia i „Młodziaka”, bo jak nie ma trupa, nie ma i zbrodni. W czasie odczytywania sentencji wyroku na ścianie sali rozpraw ukazał się napis. Jakby ktoś fluorescencyjną

farbą w szpreju pisał: „Jeśli w waszej wiosce Łysemu udało się uwstecznić czas, to i tak on zmierza do końca co jest na początku”.

Aha... i jeszcze jedno. W czterdzieści dni po zniknięciu „Łyseo” nad wsią pojawiło się siedem białych gołębi. Krążyły czas jakiś, aż przysiadły na wioskowym krzyżu, przy którym zawsze zatrzymywał się kondukt pogrzebowy, gdzie otwierano trumnę na „ostatnie pożegnanie” z ludźmi i ze światem.

Teraz pod krzyżem stało dwóch mężczyzn i patrząc na gołębie jeden do drugiego mówił:

- Spójrzy Stefku na tego w środku. Jakby kto dla jego na lyso łeb obskubał.

- Bo i łysy. Widać takie czasy nastali, że i ptaszce łysieć się przychodzi.

\* \* \*

Gołębie zerwały się z krzyża i odleciały za wieś, za górę... skąd dobywał się siwy dym z komina chaty... gdzie jeszcze palą drewnem... i usiadły na gołębniku Jundziłów. Zaś na ławeczce przed chatą Bóg Ojciec i Matka Boża wystawiwszy twarze do wiecznie wiosennego słońca spoglądali spod przymkniętych powiek jak Syn Boży sypie gołębiom złocistą pszenicę.

## Tajemnica braciszka Efrema

Braciszek Efrema miał swoją tajemnicę. Tajemnica z pięciorgiem umorusanych brzdąców żyła za rzeką na uroczysko Dębownik. Dobrze było Efrema z tą tajemnicą latem i trochę gorzej zimą. Chociaż gdy zamarzały rozlewiska, po lodzie skracał drogę do Marianny. Przez ostrożność czynił to rzadko i pod pretekstem załatwiania czegoś w piarni.

Brat Efrema nie lubił wiosny i jesieni, czasu gdy Sprząśła wylewała na łąki niosąc wywrócone drzewa, potopione zwierzęta, fragmenty płotów, strzechy chat porwane z wioski w górze rzeki.

W takie dni brat Efrem wsunawszy dłonie w szerokie rękawy habitu przechadzał się od okna do okna klasztornej biblioteki i spoglądał na ogromną tafłę wody, sięgającą teraz pod dom Marianny. Dzień po dniu oczekiwał opadu wód i chwili, w której będzie mógł łódź spuścić na wodę.

To był czas najgłębszej tęsknoty, czekania, aż spoza mgieł wyłoni się na Dębowiku dom Marianny. Tęsknił tak mocno, że nie umiał tego nazwać przed Panem... bowiem niepojęte jest pragnienie nieosiągalnego.

Najbardziej lubił początek lata, wtedy wody Sprząśli opadały tak, że można było się brodem przepłynąć na drugi brzeg. Wówczas, gdy poranny brzask różowił tęsknocie policzki, skoro świt brat Efrem upychał poły czarnego habitu za szeroki skórzany pas i błyskając białymi miskami pośladków przepływał się na drugą stronę.

Lubił, obojętne, latem czy zimą, kiedy chatę Marianny po brzegi wypełniała cisza, a głos niewidzialnej dzieciarni, przeplatany szczekaniem psa, dobiegał z dalekiej głębi lasu.

Letni czas był mu szczególnie miły za poranne zbieranie ziół, za dar słońca i za radość częstszych odwiedzin domu Marianny.

Braciszkwowie w swej nieświadomości podziwiali jego pracowitość, bo gdy oni pod muzykę skrzywienia owsianej słomy w siennikach obracali się jeszcze na drugi bok, on na szeroko rozstawionych nogach stał w wąskiej duszehubce i wiosłował pod prąd, w górę rzeki do Marianny wdowy.

Lubił otwierać drzwi jej domu. Stawał w nich, nieruchomiał, przez dłuższą chwilę mrużył oczy, aż przywykną do panującego w izbie półmroku i wyłowią zeń sylwetkę Marianny.

- Tak się musiał czuć tata powracający z orełki do domu - myślał wtedy brat Efrem. Pachniał wiatrem, wodorostami i wypitym piwem.

Wracającego ojca spotykali na drodze całą szarańczą. Z daleka dostrzegali jego wysoką barczystą sylwetkę i poprzez pył gościńca puszczali się pędem na wyścigi. Ojciec klękał, odkładał na bok szary węzełek, rozpościarał muskularne ramiona i chwycił w nie całą piątkę.

Przytulał obłapiający go pośpiesznie drobiazg. Całował każde radośnie, zatapiał twarz w zasmarkanych koszulinach, a ścisnął tak mocno, aż powietrze głośno świszcząc uchodziło im z płuc.

Sięgał do lnianej torby i wyjmował z niej gościeńce kupione w tykocińskich kramach. A gdy fala radości opadła, dzieciaki siadały rzadkiem na zwalonym pniu olchy i wilczymi kłami kruszyły twarde obwarzanki, smoktały słodkie makagigi.

Siostry wyciągały przed siebie dłonie dla prezentacji i oglądały miedziane pierścionki z rubinowymi i turkusowymi szkiełkami oczek, które potem szybko gubiły przy pielenu warzyw i w czas żniw.

Powitania z matką nigdy brat Efrem nie widział, ale musiało wyglądać jakoś tak: z mroku izby wylania się znajoma, niewyraźna postać kobiety. Ojciec piętą zamyka drzwi i tyle. Kobieta w zamglonej pamięci raz ma twarz matki, a raz Marianny.

Powitania z Marianną za każdym razem były inne. Raz ciemne wnętrze chaty kipiało radością niczym wrzosowisko cykaniem koników polnych upalnym południem. Innym razem wypełniała je świąteczna powaga dzwonów. Wtedy braciszek Efrem odbierał je jak ostrzeżenie, jak nostalgiczne nawoływanie - bammmm, bammmm, bammmm - wezwanie tajemniczego chłodu bazyliki.

Siadali naprzeciw siebie i przez stół prowadzili rozmowę okrągłymi słowami. Nie wypowiadali myśli... wszelkie padające na stół słowa nie miały znaczenia. Myśli ich ponad ramionami łączyły się w pomost i trwały przytulone do siebie w południe swojej radości. Płonący na płycie pod trójnogiem ogień czerwono połyskiwał we włosach Marianny i siwych nitkach brody brata Efrema. Dłonie bezmyślnie błędzące po stole trafiały na siebie i wtedy przytulone nad głowami myśli odskakiwały gwałtownie... jak przyłapani na spaniu wartownicy.

Braciszek Efrem od lat już nie przypominał greckiego herosa i nazywanie go braciszkiem klóciło się z powagą jego wieku. Nie mniej śmiesznie brzmiało w ustach Marianny: ojczu. Po prawdzie to i ona była tylko niechlujnym, podstarzałym babskiem, bez zwiewnej kibici, ale dla braciszka Efrema stanowiła uosobienie piękna, niejako cud jawiący się na tym najsmutniejszym ze światów. Ilekroć w jego myślach Marianna przybierała postać daru nie-

bios, żegnał się szybko z widocznym na twarzy pomieszaniem. A przytrafiało mu się to coraz częściej i nawet podczas medytacji.

- Co ci to bracie Efremie? - pytał go któryś z braci.

- Co ci to ojczy? - pytała Marianna, gdy policzki brata Efrema kraśniały nagle same z siebie. - Co ujrzaly twoje uważne oczy, że zatrwożyła się dusza? - Radość, Marianko. Radość, że cię widzę, radość, którą ma ci myśl, iż chwila bywa jako i życie całe złą... lub dobrą. Niemniej ona... dobra czy zła, jednakowoż jest radością... Trwoży mnie, kiedy cieszę się życiem.

- Czemuż w sercu miałoby być smutku dłużej czem radości?

- Bo nie masz pewności, więcej w nim dobra... czy też zła? Choć już samo nieczynienie zła jest walką z nim i dobra zwycięstwem.

- Ojczy - Marianna przerywała myśli wiodące na manowce - a jak to było w czas, gdy człeka, za brak pokory i nadmiar ciekawości Pan z rajy wygnał, a serca Adama i Ewy taką napelnił troską, że nie mieli w co wstyd odziać?

- A listek figowy? - odpowiedział pytaniem Efrem i uśmiechnął się z pobłażliwością. - Nie, Marianko, to były liście z drzewa wiadomości dobrego i złego. To od tych liści pochodzi radość i cały smutek świata tego?

- Czy aby tylko z tym Pan z Raju pierwszym rodzicom wyjść dozwolił? Toć chyba mieli trochę czasu dla siebie, kiedy swą nagość spostrzegli i nim ją przyodzili. - Tu Marianna zaśmiała się płochy, jakby ktoś fioletowymi kielichami leśnych dzwoneczków potrząsnął. Jednak nawet jej dźwięczny śmiech, nie mówiąc o słowach, nie był w stanie rozproszyć jego obaw.

W duszne dni wychodzili z mrocznej izby, siadali na ławeczce przed chatą, opierali się plecami o nagrzaną słońcem ścianę domu. Ich ramiona przywierały do siebie mocno, wpierały się coraz mocniej, aż przyduszana między nimi tajemnica była o krok od wyjawienia. W takiej chwili brat Efrem szybko schylał się do koszyka, wyjmował z niego prezent dla Marianny, albo wstawał, żegnał się pośpiesznie i odchodził.

Czasem Marianna przynosiła dwa kubki złocistego maliniaka i kawałki suszonego, poźółkego sera. Wtedy jak słoneczniki wystawiali do słońca twarze i w bezruchu łowili szczątki upalnego



szczęścia.

Efrem rozcierał językiem na podniebieniu mocny miód, gryzł twardy ser i rozmyślał nad definicją tego szczególnego stanu ducha, którego właśnie doświadczał. Był to stan szczęścia trwożnie osiągniętego wśród rozterek, pomiędzy nadzieją i obawą. - Zło nie daje szczęścia - tłumaczył sobie - bo szczęście jest łaską Pana. Ale zło umie tworzyć pozory szczęścia, więc pewnie z tej przyczyny stan ten nie da się zdefiniować, jako że każdego inaczej i w innym miejscu doświadcza... i z innego każdemu rodzi się powodu.

Tego dnia Efrem szedł nie jak zwykle z łąk, a od strony lasu, od starorzecza, gdzie rozległe błota porastały kępy dorodnego tataraku. Przed sobą niósł kosz aromatycznych kłaczy, oczyszczonych, oplukanych starannie w wodach zakola. Zatrzymał się przy węgle świronka, postawił na ziemi kosz i wiechem trawy wytarł uwalane błotem sandały. Obrócił się ku studni, sięgnął po drewniany, okuty żelazną taśmą ceber i spuścił w głąb kamiennej cembrowiny. Ramię żurawia wyniosło pełne wiadro i zatrzymało się na wprost jego twarzy. Zdjął z haczyka ceber i wylał wodę na stopy. Gdy braciszek podniósł głowę, zobaczył wychodzącego zza chaty, ubranego na czarno mężczyznę. Spod spuszczonego kaptura mignęła mu przeraźliwe biała twarz. Przestraszony, instynktownie kucnął za studnią, choć i tak skutecznie zasłaniały go pokrzywy i słupy podpierające podcień świronka.

- Gdzieżem widział to twarz? Gdzie ja go widział? - Ależ tak... wiem... przecież co dnia przy każdym posiłku patrzy na nas w refektarzu z malowanego na plafonie sufitu. To główna postać... wodzirej z korowodu „tańca śmierci”.

Mężczyzna podróżnym kosturem zastukał w drzwi. Drzwi otwarły się szeroko. Stała w nich Marianna i cofnęła się nagle w pół kroku. Znieruchomiała, wyraźnie pomieszana, stała, nerwowo miętosząc na piersiach koszulę. Mężczyzna pytał o coś. Marianna uważnie, z namysłem, odpowiadała.

Potem przybysz odwrócił się powoli i czarnymi jak dziury oczami wolno lustrował podwórko. Efrem kulił się tak mocno, że strach wgniótł go prawie w ziemię. Wzrok tamtego, błędząc po podwórku, zatrzymał się na koszu tataraku stojącym pod studnią.

Podniósł głowę, patrzył uważnie na świronek, potem szerokim ruchem zarzucił połę oponczy na ramię i oddalił, skąd przyszedł.

Braciszek Efrem wychylił się zza studni i wytrzeszczonymi z niedowierzania oczami śledził odchodzącego wędrowca.- Niemożliwe! Przecież nigdy nie odchodzi z pustymi rękami.

Gdy obcy wniknął w brunatnozieloną ścianę lasu, wstał i podszedł do zastygłej w bezruchu Marianny

- Marianko, kto to był? - spytał, aby się upewnić.

- Nie wiem - odparła trzęsącymi się ustami. - Nie wiem... nie był to nikt z teg... teggggo świata. Wiało od nie... niego taaakim lo-dddem, że... - Szczękające zęby nie dały jej dokończyć zdania.

- Co chciał?

- Cie... ciebie ojcz. Chcia... chciał ciebie.

Weszli w cień izby i jak zawsze usiedli za stołem naprzeciw siebie. Bezwiednie Efrem pierwszy raz wziął jej ręce w swoje, a ona pierwszy raz ich nie cofnęła, tylko pochyliła się ku niemu i przytuliła policzek do jego pachnącej tatarakiem dłoni.

- Boże mój, on widział twój kosz... - zerwała się przerażona - on tu jeszcze wróci. Boże, Boże... gdzie ciebie skryjem?

- To na nic, Marianko, przed tym gościem nikt się jeszcze nie skrył, i nam się taka sztuczka nie uda.

- Ojcz, ty wiesz kto? - pytała już uspokojona. - Kto po ciebie przyszedł?

- Wiem, Marianko. Śmierć.

Marianna zerwała się z ławy, stanęła pośrodku izby i nie myśląc racjonalnie, rozpaczliwie analizowała wszystkie możliwe zakamarki, szukając kryjówki dla Efrema. A on zupełnie pozbawiony woli, siedział kamienny za stołem.

- Boże, Boże, Boże... Może za piec? Nie, pierwszej tam zajrzy. Może za komin? - Spojrzała na Efrema. - Za gruby. - Przerażenie jej sięgnęło pułapu, gdy ponownie rozległy się trzy twarde uderzenia kosturem w drzwi.

Tym razem brat Efrem zerwał się na równe nogi, padł na kolana i z paniką w oczach zaczął wpychać tyłek pod ławę.

- Tu cię widać - Marianna chwyciła Efrema za pas i wyciągnęła go spod ławy. Wzrok jej dostrzegł stojącą w głębokim półmroku kołyskę.

- Właż tam - zdecydowała rozkazującym głosem.  
- Jak mnie tam zmieścić się? - spytał płacząwie braciszek.  
- Właż mówię - syknęła zniecierpliwiona. I ten wielki mężczyzna potulnie położył się w kolebkę. Wszystko byłoby dobrze, tylko że nogi od kolan zwisały mu za kołyską do ziemi. Marianna ściągnęła z pieca kozuch, narzuciła na braciszka, a na głowę włożyła mu swój czepek.

- No, ujdzie z biedą.

Tymczasem stukanie powtórzyło się znowu i znowu.

- O Boże! Broda! - naciągnęła kozuch aż pod oczy Efrema i poszła otworzyć drzwi.

Gość wszedł do chaty, minął Mariannę i ruszył prosto do kolebki. Stał nad nią i dłuższą chwilę przyglądał się dziwnie staremu dziecku.

- Ułła, ułła, ułła, ułła! - rozplakał się malec. Gość pochylił się nad kołyską i przyglądał się coraz bardziej zdziwiony.

- Niamku, niamku, niamku! - niskim, zachrypniętym głosem poprosił spod korzucha dzieciak.

Gość zdjął z tramu garniec miodu, z policy suszącą się lnianą torbę do wyciskania sera, oderwał z niej kawałek lnianej szmatki. Z leżącego na stole chleba ułamał kęs, umoczył w miodzie, włożył do ust, żuł dłuższą chwilę, potem wypłuł to w szmatkę. Szmatkę zakręcił robiąc soskę, possał chwilę, odchylił kozuch z buzi oseska i dziwiąc się temu co ujrzał, wraził soskę w obrośniętą gębę pomiędzy zdruzgotane wiekiem zęby brata Efrema.

- Naści, bratku! Rób szybko niamku, niamku, bo pora nam tepku, tepku, tepku.

Potem gość odwrócił się ku gospodyni i rzekł z wyrzutem:

- Oj, Marianno, Marianno... Czyżbyś zapomniała, że twoje dziecię zmarło tego roku? Kołyska powinna być pusta?

Martwego brata Efrema znalazły dzieci Marianny wracające od Kryżowatej przez łąki i zakola Supraśli. Leżał na wznak, a w szeroko rozwartych oczach po błękitnym niebie przepływały białe chmury. Twarz już stężała kamiennym spokojem i pogodzeniem. Obok stał kosz pełen kłaczy tataraku, a na wierzchu leżała soska z lnianej szmatki.

Brat Marcus z bratem Tychonem przerzucili przez ramiona szleje z konopnego sznura i na prowizorycznych saniach ze ściętych świeżo młodych brzózek pociągnęli brata Efrema do klasztoru. Trzeci brat, Arseniusz, idąc z tyłu i wpatrując się w podskakujące na kępach traw pięty martwego brata Efrema medytował głośno:

- Jak na nieboszczyka co się tyle trudził, ma zbyt czyste nogi. Widział kto pół dnia po bagnie chodzić i nóg nie uwaląć?

- Co tam mamroczesz, bracie Arseniuszu? - zawołał z przodu brat Marcus.

- Mówię, że po błocie pół dnia chodził i nóg nie uwalął. Jak to może być?

- Bracie Arseniuszu, ty we wszystkim znajdziesz problem...

- A co myślisz - włączył się do rozmowy Tychon - że Święty Pieter z brudnymi nogami jego do Raju by wpuścił?

- To kto mu umył?

- Rusalki - wyjaśnił brat Arseniusz i szybko się przeżegnał.

Na zwalonym kiedyś przez wichurę pniu olchy siedziały rządkiem dzieciaki Marianny i wilczymi zębami gryzły odpustowe obwarzanki z makiem i smoktały słodkie makagigi... gościnniec brata Efrema. Gdy się im pod słońko dobrze przyjrzeć, można dostrzec kryjące się zza ich plecami przezroczyście zielone i ultramarynowe skrzydelka nadrzecznych ważek - świtezianek.

## Złe oczy

Stali przed bramką bardzo brzydkiego domu wtłoczonego pomiędzy podobne mu architektoniczne koczkodany. Cała dzielnica powstała jako efekt konkursu „na projekt jednorodzinnego budownictwa regionalnego dla Supraśla” i wyglądała jakby spadła z rysownicy leniwego architekta.

Dom odpowiadał duchowi czasu i był wyposażony w najnowsze zdobycze techniki, od podgrzewanej, różowej muszli klozetowej po elektroniczne bajery podające godzinę, datę, ilość przebywających w domu ludzi, temperaturę w środku i na zewnątrz... na-

wet szczekające na złodzieja.

Więc stali oboje przed bramką bardzo nowoczesnego, brzydkiego domu i mężczyzna, pełen złośliwego zadowolenia, uporczywie naciskał kciukiem dzwonek.

- Przestań! - Denerwowała się kobieta. - Mówię ci, nikogo tam nie ma.

- A ja wiem, że są... widziałem jak się poruszyła firanka. Umówili się z nami na piątą. Która teraz?

- Piąta pięć. Jak zwykle coś pokręciłeś. Chodźmy... chcę jechać do domu.

- Chwila... jeszcze trochę podzwonię. Jak są, to im życie umilę.

- Mówię ci... ich nie ma. Tylko cię palec zabol.

- To może im się choć dzwonek zepsuje.

- Po co fatygować palec? Weź zablokuj pipek zapałką.

- Racja. Do upraszczania życia to ty masz dryg...

- Do czego?

- Do lenistwa. Całe życie sobie wszystko upraszczasz.

- A ty komplikujesz. Jak myślisz, z czego bierze się postępek? Z lenistwa. Gdyby nie nasze wrodzone, ludzkie lenistwo... do dziś wisiałbyś na ogniu na gałęzi i bardzo pracowicie luskiał orzeszki.

Mężczyzna wyjął z pudełka zapałkę, rozszczepił i wetknął w szparkę pomiędzy klawisz a obudowę.

- Zrobione. Ciekawe czy dzwoni? Żeby furka była otwarta, to można by posłuchać przez drzwi.

Kobieta nacisnęła klamkę. Bramka poddała się leciutko, odplynęła bezszelestnie, tak jakby zapraszała na podwórko.

- Ooooo! Otwarte! - Zawołała zdziwiona kobieta.

- Mówiłem ci, że są w środku.

Podeszli do drzwi. Kobieta przyłożyła ucho i trwała chwilę w bezruchu.

- Dzwoni jak jasna cholera! Jak są w środku, to się wściekną.

- Mówię ci, że są. Może im się akurat samo zebrało na figle...

- W środku dnia?

- A co? Wszyscy muszą tak jak ty... po ćmaku i w sypialni.

Szli polbrukową alejką wzdłuż szpaleru leśnych jałowców.

- Zobacz jak się im się fajnie jałowce przyjęły... żaden nie usechl.

- Przyjdzie rok, że uschną. Z jałowcami tak jest... rosna, rosna, aż nagle... nie wiedzieć czemu schną.

- Podobno od złych oczu. Są ludzie, że jak spojrzy na co, to, to w oczach marnieje.

- To ty na nie lepiej nie patrz...

- Bo urzeknę? Idź durny... studia skończył i w takie brednie wierzy... Ja mam złe oczy?

- A co, dobre? Nie widzisz, że sąsiedzi przed tobą wszystko chowają? Na co spojrzysz... w oczach marnieje.

- Czemu ty dziś taki przykry? Zrobiłam ci co?

- Zrobiłaś... śniadanie.

- Nie dobre było? To z przepisu twojej mamuski?

- Widać kiepsko słuchałaś. O! Popatrz! - Przystanął. - Dalibóg fontanna!

W wystrzyżonym starannie trawniku tkwiła wielka, z żywicy epoksydowej, granatowa wanna... coś na kształt emaliowanej nerki jaką dentysta podsuwa pod nos pacjentowi. W środku na białym postumencie stał golasek z golaską. On wypinał brzuszek, a dziewczynka przytulona do jego pleców od tyłu trzymała go za siusiaka i kierowała strumieniem wody to w prawo, to lewo. Obok na skoszonym starannie trawniku krasnal golił krasnala, trzeci siedział na muchomorze z wędką i łowił ryby w fontannie. Mężczyzna z kobietą dłuższą chwilę trwali w osłupieniu.

- Ale jaja... - Przerwała ciszę kobieta. - Ale jaja...

- Tak jakbyś nie wiedziała, jaki pani architekt ma gust?

- Jakiś powinna mieć? Przecież skończyła architekturę...

- W Białymstoku...

- No to co, że w Białymstoku.

- To popatrz dookoła... kto spłodził całe to chore osiedle? Architekci. I to jeszcze w ramach konkursu.

- Czekaj, czekaj... czy ona przypadkiem nie brała w nim udziału? Tak... przypominam sobie... Okrągła chata. Tak, zaprojektowała okrągłą chatę.

- Na spotkaniu autorów projektów z komisją prof. Haupt kiął z niej: - Człowiek całe życie się uczy. Nie miałem pojęcia, że typowe dla podlaskiej architektury są jurty azjatyckich koczowników.

Okrążyli chatę. Za domem musieli przebrnąć przez skład rupiecia z czasu budowy. Kobiecie pantofel ześliznął się z pustaka gdy usiłowała przekroczyć ogromną kałużę.

- Cholera! Ca za bajzell! Popatrz, w co wdepnęłam.

- Trzeba było przejść dookoła. Tak się wychodzi na skrótach!

- Mógłbyś być uprzejmiejszy?

- I rzucić przed tobą futro w błoto?

- Mógłbyś... od czasu do czasu. No i bajzell! - Utyskiwała kobieta. - Od frontu elegancja Francja, a na podwórka tołku jak w ruskim połku. A takie to na tonach, taką panią różnie...

- Pokazywała ci bibliotekę?

- Ze sztucznymi książkami i barkiem?

- A z prawdziwymi? Mają w całych kompletach Kraszewskiego, Balzaka, literaturę iberoamerykańską...

- Nie uważasz, że to dziwny zestaw.

- Ale długi i dobrze na półce wygląda.

- Zostaw ich... jedziemy do chaty. - Zniecierpliwiła się kobieta. Podeszła do drzwi, przyłożyła ucho. Słuchała chwilę... za drzwiami panowała cisza.

- Chi, chi... cisza... chyba zepsuliśmy im dzwonek.

- Wyłączyli. Na pewno są w chacie. Szlag ich musiał trafić i wyłączyli.

Mężczyzna podszedł do kobiety, wziął ją pod ramię i delikatnie pociągnął. Wyszli na ulicę. Mężczyzna starannie zamykając bramkę pochylił się do domofonu i powiedział:

- Pies wam mordę lizał.

Domofon odpowiedział głębokim ciepłym basem:

- Wam też kurduple!

Spłoszeni wsiedli do auta i odjechali.

Mężczyzna kątem oka zobaczył w lusterku, jak w oczach żółkną i brązowieją w szpalerze jałowce. Spojrzał na żonę przestraszony i wyszeptał.

- O Boże! Ty to naprawdę potrafisz?

**Mostek, noc świętojańska**

mgła podnosi pola i zawiesza wzdłuż koryta czerwonego światła  
wydartego z rozgrzanych konarów  
niska mgła podchodząca od pleców wilgotnego drwa  
do ogniska u wylotu strumienia  
trzask gałązek kiedy zbliża się siada na trawie z nocą  
i świtają  
żaru pulsujące mrówki w wypalonych liściach

sklepienie pęka  
sączą się soki ze spieczonego jabłka pachną  
dym i rozrzucone ziarna w garstce ciepła  
i woda  
wywiedziona z płomienia z drobinami soli  
na powierzchni drgających w łunie wzniesień

poodcinane chmury  
jak włosy niebo pocięte popiół rozjaśnia się

twarz w stronę poranka

palec na ustach



## Przejście

słyszę że chodzisz wokół ogniska  
i wybierasz iskry - pękają w dłoni jak szyszki  
zapach łamiących się ziaren zwabia owady  
dotykają lekko twarzy i barwią palce  
gdy je strzepujesz

plecy zebrane w dwa półkola lśniące od wilgoci listków mchu  
mokre powietrze pulsuje światło pośród dzikich gałęzi  
chwilę przed zapadnięciem zmroku

jest radość wracania kiedy tutaj krążysz  
a twoje ciało przypomina las  
w pokoleniach motyli zimujących pod korą w zaschniętych kwiatach  
i w wiązkach tchu

to ze zmęczenia płomień składa warstwy w drewnie  
nie bój się drzew

## Zapach

cisza którą można rozcierać  
na powierzchni kamienia w pręgowany żółto proch  
i siac w trawie by wieczorem wypełniła nos i usta  
nasuwa się od lip  
gęsta obfita ciężka od wody w niej i w powietrzu  
wystrzela  
jak młode gałązki spomiędzy stojów żywego drewna  
spod rąk  
zanim dotkną przeciętego pnia

długo zapada  
ciągnie się nad czernią przejrzysta poświata  
szorstkich od spodu liści wnętrza soków i przekwitania  
biało ukrywanego w zieleni każdego wczesnego lata

ósmu lipca  
lipy  
sen o drodze wspinającej się do drzew  
na wspinającej się drodze  
wyjęte cień i żółto płynąca wilgoć wylom  
rytmiczne kołysanie

wkradam się tyłem dla pewności  
że nadszedł  
nie aby rozbrzmiewać lecz wydobyć dźwięki

*Harkowicze 8.07.2001*

## ANNA CHOMCZYK

\* \* \*

ziewnięcie puzonu  
sennie ciągnęły się tory

stalowe wiadukty  
błysk złotego zęba  
w zmęczonym uśmiechu podróży  
migoczące twarze  
wyświetlane przez lokomotywę

jadę tu teraz bez ciebie  
perony przyglądają mi się uważnie  
zasuwam szybę  
wracam na miejsce

pociąg nadal kwili stukotem kół

\* \* \*

plącę płaszczem

ściany  
wytapetowane muzyką Bessie Smith  
oczy na wpół otwarte  
oczy na wpół zamknięte

strzaskana czerwień moich paznokci  
całe niebo w kabaretkach

parapety  
przymilnie rozkładają przed nami swe nogi

\* \* \*

migocze i wcale nie jest moje

wydekoltowane ulice

kominy

kościół

kościół kominy

takie połamane to popołudnie

okruchy rzucające wróblom

manifestacje i kontrpochody

wrony targają mnie za włosy

antrakt przystanek antrakt

zanurza się

faluje

w garniturowych chmurach

# MAŁGORZATA DOBKOWSKA

## Survival

*wiosłuje wiosłuje  
choć spycha mnie wiatr  
i wiem, że ta wyspa nie będzie doskonała  
Anne Sexton*

archipelag ludzkich wysp  
rozrzuconych bezładnie  
mozolnie buduję własną wyspę  
atol koralowego raję  
warstwa po warstwie  
kambr jura i kreda  
trzeciorzęd i czwartorzęd,  
płaszcz i skorupa

rozpalam wysokie ognisko na plaży  
siedzę i czuwam dokładam do ognia  
pali się dzień i noc  
wyglądam sygnałów dymnych  
czy nie nadchodzą  
w jakimś ustalonym porządku  
cisza i spokój  
tylko mewy i fale  
(staram się nie cofać przed morzem)  
nad ranem kończę czuwanie  
by o północy znów skoczyć przez ogień

## Bilans

stoję na boczniccy  
stoję na granicy  
godzina zero

czekam na zmianę czasu  
moskiewskiego na środkowoeuropejski  
letniego na zimowy  
żeby wszystko pokrył biały skobel śniegu  
przestrzeń zapomnienia wyzwolona pamięć

czym jest ta dziwna godzina  
sprężona lekka ciemna kula czasu  
która jest ale jej nie ma (ulatuje w górę)  
zaoszczędzona godzina godzina sumienia

wyglądam przez okno  
szara spłacheć nieba  
oddycha szorstkim powietrzem  
patrzę na kupki śpiących pasażerów  
gęstniejące w mroku  
(ręka wędruje w stronę kolan i zegarka z dewizką)

zawieszeni w czasie i przestrzeni  
między stamtąd i dotąd teraz tędy i owędy  
życiem snem wymiarem  
jak stado wędrujących ptaków  
(brakuje tylko ślepego konduktora z latarnią  
wśród przecinających się taśm czasu)

przeciągam się głupia powinnam spać  
przespać niepotrzebną godzinę  
obudzić się nazajutrz  
lekka czysta i przyjemna

\* \* \*

kropla uchwycenie myśli  
piąstka wyobraźni  
dokładasz mały kamyk  
(pusty pełny wydrążony)  
do wysokiej góry kamieni  
istna wieża Babel  
pragnienie ludzkości  
z boku wydrapano kilka  
małych znaków (świadectwo?)  
coraz bardziej niewidocznych  
zacieranych  
niknących w chmurze czasu  
wilgoci spojrzeń nadziei

## Pejzaż z

gdy ukradkiem patrzę w posrebrzane lustro losu  
rzeka twojego ciała stacza się ze wzgórza  
tworzy kręgi skręca na południe  
dogania i spowalnia czas (w charakterze funkcji)  
blade odbicie

co się dzieje w tym krajobrazie  
na pozór statyczny  
wolno przesuwa się przed oczami  
zmiany mimowolnie szukam zmian  
jednocześnie pragnąc logiczności ciągu  
monotonności rytmu potwierdzenia  
na pozór niepasującego obcego elementu

## Podlasie sercem malowane

równino rozległa jak pustynia Gobi  
nie spękana niesucha  
kapiąca soczystymi liśćmi  
wtulonymi w szal  
miękkich zielonych traw  
ogrzewających się promieniem złotym  
patrzę spragnionym okiem  
na twoje pola  
lesiste przestrzenie i strumyki  
szemrzące brylantowym dźwiękiem  
wącham kwiatów gejzer  
śmiejących się perliście  
do mnie każdej wiosny  
składam pocałunek słodki  
na korze drzew  
pachnących kroplą żywicy  
co jak łza spływa  
z twoich wiekowych oczu  
podziwiam leśny koncert  
brzmiący rozćwierkanym gardłem  
ptaków kolorowych  
jak Chopin  
wielkim sercem muzyki  
tak ty smakiem owoców  
kreślisz pejzaż lata  
by za chwilę jak kameleon  
ubrać się w miedzianorude liście  
co nutą nostalgii otaczają



mój drewniany dom  
w którym zimą srogą  
upajam się zapachem  
suszonych kwiatów  
witam uśmiechem  
wczesny świt  
pachnący wilgotną rosą  
spływającą w dół  
do lasu zatopionego w zieleni  
tam spragniona rzeka  
spija krople poranka  
w młodej gęstej brzezynie  
ptaki zaczynają śpiewać  
ryby budzą się do wodnego płąsu  
w srebrzystych falach  
leniwie opływających  
meandry przeznaczenia  
moje oczy obmyte  
z ciekawością patrzą  
jak las wydaje rzekę  
na serce krajobrazu  
łąkę pstrokatą kwieciami  
ona chwyta wodę w ręce  
dzieciom na uciechę  
dalej pchnie ją  
ustrojoną pięknym wirem  
zmusza do modlitwy  
nad zamokłą duszą  
a ja pod wierzbą płaczącą stojąc  
szepcąc waniliowego nieba  
łopotem skrzydeł ćmy  
odmawiam wieczorny różaniec  
dla nas  
rozległej puszczy  
brzask  
księżyc  
skapany w bagnach

ważki ostry lot  
śnieżnobiałych zawilców  
kobierce  
marcowej wierzby  
puch  
motyl jak anioł  
w kielichu złocienia  
zielona rozkosz

smutek wichru  
nie dla nas

dla nas  
wieczór ze świtem...

\* \* \*

ulice nasze  
strachem pachnące  
kryją domy  
szczelnie zamknięte  
w ich schowkach  
ludzie  
biedni mali  
bez wiary w jutro  
z krzyżem złamanym

próbują czasem  
wychylić czoła  
szczeliną w oknie  
światłem pod drzwiami  
zaciśniętymi  
kluczem stalowym  
w obawie życia  
przed zemstą  
Heroda...

## IRENA GRABOWIECKA

\* \* \*

Znów dzień  
wiąże korale jarzębin  
cynobrem światła

Znów dzień  
podnosi głowę  
za horyzontu dałą

Znowu toczę  
trudy świtów  
unoszę siebie

\* \* \*

Muzyka nocy  
toczy się po trawie  
krople liści ciemnieją  
w łunie księżycy

Tylko dłonie drzew  
zawisły nad ciszą...

# HELENA OSTASZEWSKA

\* \* \*

Romantyczni -  
uzbrojeni nadzieją.

Czas  
dał im skrzydła aniołów  
i tak szli,  
by po kolei  
jak kamienie  
kłaść się na szaniec.

Mija czas.  
Krzyże  
kwitną korą brzozową.  
Pamięć -  
wciąż boli.

Ocaleni  
wracamy do Nich -  
z popiołów.

1 VIII 2002

## Modrzew

Ośnieżony oddaleniem -  
szkic konarów,  
koraliki czasu  
na gałązkach wspomnień.

Wiosna -  
dotknięcie miękkości igieł,  
aksamitu puszystej zieleni.

W bukietach lata  
zakwita  
szczebiot sikorek  
na smagłej czerwieni szyszek.

Jesień -  
sprzęgnięte z pamięcią  
ostatnie pochodnie ciepła  
w cieniu domu,  
którego już nie ma.

Węzłem pamięci  
zespalam stężały czas.  
Dom - drzewo i... ja.  
Supelkami, supelkami  
po gałązkach wiotkich  
skaczą myśli.  
Tyle tam.  
puszystych wiosen  
i tyle wichrów jesieni,  
i tyle krzyku ptaków,  
łomotów -  
po oknach,  
po dachu;  
i tyle bająć wieczornych:  
o strzygach,

o duchach,  
o strachach.

Modrzew  
w ogniach jesieni  
do okna zagląda tęsknie,  
Inny  
niż tamten z dzieciństwa.  
Tamten -  
już tylko we mnie.

### Bolesne pytania

Pokoleniami:  
dziadkowie, ojcowie, dzieci;  
wciąż  
drogą krzywdy.  
Ślady za nami - łzawe,  
pamięć -znaczona krzyżami.  
Fatum.

Znaków szukamy i wodzów.  
Nieufni, skłócenii żalem  
szukamy tropów nadziei;  
a życie  
pisze scenariusz -  
realiami,

Dokąd -  
ta droga rozdarcia  
(z zieloną kartą w kieszeni?)  
Dokąd -  
z tych pól malowanych?  
Dokąd idziemy  
zbląkami?

16 IX 2002

## EDYTA ŚLĄCZKA - POSKROBKO

\* \* \*

Zstąpił do mnie z nieba  
Anioł liści bobkowych  
Twierdzisz, że go nie ma?  
Nie. Przecież rozmawiam z tobą  
A on tam stoi

Patrzysz, w ciemność oczy wytrzeszczasz  
Słuchaj liści, one nie kłamią  
Przecież nie płaczą  
Wichrem przeszyte na przestrzał  
Więc on istnieje  
Ten mój Anioł.

\* \* \*

słowa, kości słów  
jak ochłapy wspomnień  
jak puste pokoje  
o zdziwionych oczach  
wpatrujące się sucho  
w przeznaczenie  
chodzące sztywno salami  
w białym fartuchu  
...  
słowa, zamknięte za siatką  
z kolczastego drutu  
w skowycie zranionego dnia  
...  
pozostają

## Dom

spadło na głowę za dużo nieba  
a wiosna jakby przysnęła za rogiem  
las zmarszczył czoło i cicho mruczy  
znów niepokoń chmura na wschodzie

dzień przemęczony wygląda zmroku  
księżyc skrył smutną twarz za drzewami  
jakby się bał gwiazd złego wyroku  
albo miał zamiar zalać się łzami

Joanna wraca do swego domu  
- znalazła własny kamień pod głowę  
i drzwi otwarte na cztery spusty

i ścieżkę chudą nie na wprost  
przez spalony most

budzi swoje słońce z pierwszym pianem świtu zaprasza  
sąsiadów na obiad w niedzielę  
jeszcze o miłość prosi swego Boga

lecz On jej nie da tak wiele



## Jesień

ochryply świerszcze  
w moim ogrodzie  
i niebo wcześniej zamyka oczy  
słońce schowało się do kieszeni  
na sznurze wietrzy się babie lato  
wzdychają cicho przerdzewiałe łąki  
łysieją pola i dziadek Bronek  
tak już tę jesień wymyśliłeś, Panie  
jak pożegnanie

### Z cyklu „Mistrz i Małgorzata”

#### Mistrz

to rano z oczu niepewność zmywa  
i pierwszy motyl jego skroń ociera  
wiatr niepokoi szelestem jabłoni  
Małgorzata czuwa  
nad oddechem Mistrza  
za dnia w warkocze włosy swe zagniała  
nie słyszy nie chce słyszeć  
zza drzwi:  
„Małgorzata!...”  
chłodną pustą dłonią  
ściera słabość z czoła  
i czeka kiedy  
Mistrz z bólu zawoła  
i czeka kiedy  
wieczór przyjdzie zmierzchem  
i czeka kiedy  
będzie mogła uciec wreszcie

nocami gdy Bóg  
kusić Mistrza przychodzi  
ona się wymyka po cichu do świata

Bóg mówi: „Oto Jestem.”  
Mistrz głowę odwraca:  
„A gdzie Małgorzata?”

## Piekło

niebo na wschodzie  
pękło od słońca

kominy dyszą  
ciepłym snu oparem

a w Małgorzaty starym ogródku  
tak wiele smutków

słonecznik wisi żarem nad głową  
żyje - nie żyje  
sypią płatki kwiaty

a Bóg żałuje dobrej nowiny  
i róż pod stopy  
dla Małgorzaty

nocami sufit na głowę spada  
ściany ściskają chłód w skostniałe dłonie  
i zabłąkany wiatr pięścią w drzwi wali

ona się modli  
weź mnie ze sobą  
tu nie zostanę

do piekła pójdę  
jeżeli piekło  
tobie pisane

**Tak będzie**

Wszystko już było, było, było  
Minęły lat zaprzyszłych burze  
I nie przywrócisz tego siłą  
Aby zatrzymać tu na dłużej

I coraz mniej mnie we mnie  
Jam coraz bardziej w smudze cienia  
Więc często myślę potajemnie  
Czy doznam w końcu pocieszenia

Za mało jest życia, aby żyć  
Nie starcza śmierci by umierać  
Tak to już widać musi być  
Nie nam, maluczkiem to wybierać

Kiedyś zostanie miejsce puste  
Słońce i gwiazdy, księżycą nów  
Czas na mnie rzuci trawy chustę  
A na niej stanie pomnik

... ze słów ...

## Odchodzę

Zamieniają się w piach  
bliskie mi kiedyś imiona  
rozlatują się jak ptaki  
miłe słówka;  
ulegają zapomnieniu  
echa wielkich znaczeń  
choć pobrzękują czasami  
w konstelacji alfabetu

I tak zakłęty  
w nieuchronność  
zeszłego liścia  
odchodzę powoli  
ubywa mi świata  
ubywa mnie światu  
w drodze poza horyzont

I coraz trudniej  
schować się za  
kruchy sens wiersza  
za ten obrazek  
malowany na szkle  
wieszany z uporem  
na ścianie płaczu ...

Ach, gdyby można było  
już zrzucić ciało  
jak ubranie -  
starą skórę  
jak starą korę  
by stać się  
tylko duszą samą

## Wcale wiersz

*Mistrzowi Białoszewskiemu*

dopisuje mi pisanie  
udaje się wiersz  
wiersz nie udaje

## Cebula rasa

*Marcie Wojewódzkiej*

nic innego w życiu  
nie umiem  
tylko ta cebula

na własnym zakątku  
szczęścia  
zamiast sylabotonizmu  
zapach warzyw

bezpieczna przystań  
dla słabszych i  
mniej wnikliwych  
niż ci którzy piszą

klaniać się klientom  
i przeklinać ignorantów  
bardziej wybrednych  
przekonywać  
umieć mówić  
wierszy nie będzie  
jest tylko cebula

można z tym zrobić sałatkę  
pomidorową lub śledzia  
w oleju

no proszę proszę

## Czeka

Czeka. W jakimś umówionym życiu

czeka na nią. Czeka  
może już po  
niej. Ale wciąż

czeka. W jakimś umówionym miejscu

czeka. A w popielniczce  
na  
stole  
również  
złom jego nerwów -  
równie doskonały  
zamach na  
jego młodość.

Pomimo to. Pomimo  
wszystko.  
Pomimo

czeka i

gasi po  
niej  
już któregoś następnego  
papierosa.

## Nie cierpię za miliony

nikt mi nie stawia

mam swoje  
papierkowe  
wiersze

## Perseweracja usuniętego

podobno  
ślady po szmince  
można usunąć  
jedynie za pomocą  
benzylu lub spirytusu

osobiście  
wolę  
naturalne rarytasy

jak sobie życzysz  
biedroneczko

leć do nieba

ale pamiętaj

juczności nie bierze się  
na wiarę

**Lato jakie ukochałem**

nadrzeczne łąki dzikie pola  
spięte daleką kreską lasu  
słońce w rozlewiskach brodzi  
wiatr do ognia oliwy dołał  
trawy w tańcu gubią obcasy

ANEKS FUTURYSTYCZNY

słońce zamyka budę  
zachodzi

\* \* \*

noc jak bal  
ciemność  
głębia  
dal  
z gwiazdami tańczą  
do białego dnia

\* \* \*

zbryzgana słońcem wiejska droga  
z obu stron lipy  
i ja w pół drogi do Pana Boga  
nagle pogodny i syty



# WŁODZIMIERZ SAWCZUK

## Jesień

cichym spojrzeniem  
przedzierała się  
przez ścierniska pól

dojrzałe jarzębiny  
szeptały coś  
nad polną drogą

zamyślony  
błądziłem z nadzieją  
- szukałem wczorajszego lata

horyzont kołysał  
żółcistym warkoczem  
zachodzącego słońca

uwierzyłem jesieni  
tak mocno  
że zaczerwieniłem się  
pod jarzębinami

\* \* \*

Na twoich śladach  
został wers natchnienia  
tylko nie w czasie  
Judasz się narodził  
dla tych  
co czytają strofy o Golgocie,

gdyż ranią zbyt szybko  
przyszłe pokolenia.  
Gdy z twoich myśli  
urwę wątek ciepła  
uwierzę, że muszę  
nad sobą pracować  
by każda chwila  
która mi uciekła  
nie była tęsknotą  
tak jak i marzenia.

\* \* \*

Niedzielny poranek  
budził się w modlitwie

spracowane ręce  
zamknięte w pacierzu  
prosiły o pokój

pod białym obrusem  
cisza kołysała się  
na biegunach czasu

w dębowych nogach stołu  
zastygło światło pokoleń

promień słońca wdarł się  
przez ramiona okiennic  
i

w tym spojrzeniu  
szczerłość i nadzieja  
przytuliły się  
do ciepłego uśmiechu

warto żyć...

## Przed snem

Obiecałem że wrócę  
i wpadłem na chwilę  
jak wiatr  
co zza drzewa wychyla się  
ku jesieni na dłuższą noc  
by sen tupał obcasami myśli  
i uniósł się kielich marzeń  
do ust  
otwieranych bez słowa  
kiedy słyszę  
jak Pan Bóg powtarza  
za mną  
pacierz.

## **Grupa poetycka „Niezapłacony Rent” z Chicago**

Emigracja - dobrowolne lub niedobrowolne przesuwanie się ludności, instytucji, jednostek z własnego terytorium na inne, bliższe czy dalsze - jest uniwersalnym zjawiskiem społecznym nieznanym jedynie szczepom nomadów. Ale i to można zakwestionować, bo przecież nawet Cyganie niejednokrotnie z własnej lub cudzej woli zmieniali terytoria swoich wędrowek. Emigracje, zwłaszcza w XX wieku, stały się zjawiskiem powszechnym. Można nawet o nich mówić jako o swoistym znaku czasu współczesnej cywilizacji. Liczne są także rzesze polskich emigrantów, a wśród nich pisarzy.

Do tej pory nie ma kompleksowego opracowania polskich grup literackich na emigracji. Należy też stwierdzić, że ich liczba nie jest zbyt wielka, a przeciwnie - dość znikoma w porównaniu z krajowymi. Dlaczego? Z wielu powodów. Między innymi z tak oczywistych, że na emigracji było zdecydowanie mniej pisarzy niż w kraju; że na obczyźnie byli bardziej rozproszeni, w większej diasporze. Większej liczbie grup w kraju sprzyjała również "stadna" polityka kulturalna PRL-u.

W niniejszym tekście zajmę się grupą poetycką „Niezapłacony Rent” z Chicago. Opisując ją wkraczam na teren socjologii życia literackiego oraz historii literatury. To przyczynek do badań nad współczesną polską literaturą emigracyjną.

Odwołajmy się najpierw do refleksji literaturoznawczej, mówiącej o tym, czym jest grupa literacka. Zagadnienie grupy literackiej należy do kręgu spraw związanych z socjologią życia literackiego - do tego działu, który się zajmuje sprawami istniejących w jego obrębie instytucji literackich.

**Grupa literacka** jest to - wg Janusza Sławińskiego - zespół pisarzy, który stawia przed sobą wspólne cele literackie (artystyczno-

ideowe), w swojej twórczości dąży do ich realizacji; w życiu literackim usiłuje zająć wspólną oraz w miarę jednolitą i odrębną pozycję. Członkowie grupy, zazwyczaj młodzi (najczęściej poeci), kształtują swoją twórczością określone konwencje literackie, opowiadają się zespołowo za określonymi tradycjami, negują inne albo je w ogóle odrzucają.

Michał Głowiński przez grupę literacką rozumie taki zespół twórców, który swą wspólnotę określa przede wszystkim w kategoriach literackich, który tworzy wspólny plan działania literackiego. Inne czynniki spajające grupę nazywa ubocznymi. Natomiast Janusz Sławiński uważa, że nie zawsze głównym czynnikiem łączącym grupę literacką jest wspólnota programu ideowo - artystycznego; niekiedy na plan pierwszy wysuwają się więzi towarzyskie lub instytucjonalne. Grupa literacka istnieje, jeśli występuje w niej „samopoczucie zbiorowe”, które stanowi wypadkową subiektywnych świadomości jej członków, pojmujących w określony sposób swoje role w całokształcie zespolonych przedsięwzięć.

Grupa poetycka - o charakterze sytuacyjnym - *Niezapłacony Rent* (*The Unpaid Rent Poetry Group*) powstała w Chicago w kwietniu 1992 r., a swój żywot zakończyła jesienią 1995 r. Jej członkowie, to przede wszystkim: **Adam Lizakowski, Dariusz Wiśnicki, Arnold Warchał, Dariusz Wiśniewski, Aneta Sierżęga**. Oprócz nich, jak w każdej grupie literackiej, było grono tzw. satelitów. Niektórzy oprócz poezji uprawiali inne dziedziny twórczości, np. poeta Andrzej Podgórski zajmował się fotografią, i to z powodzeniem, zdobywając nagrody w konkursach fotograficznych. Miejscem narodzin grupy była galeria malarska Wojciecha Wróbla o nazwie: *The 2end Power Art. Gallery*, a założycielem grupy - Adam Lizakowski (ur. 1956), który był jej kierownikiem literackim, zdecydowanym przywódcą i autorytetem dla kolegów.

Bardzo często grupy literackie powołują własne pisma, aby mieć nie tylko miejsce do zamieszczania utworów członków grupy, ale również do formułowania mniej lub bardziej programowych wykładni, do dyskusji pisarskich, polemik i rywalizacji twórczych. Takim organem chicagowskiej grupy był kwartalnik „**Dwa Końce Języka**”.

Początki grupy opisuje Adam Lizakowski - w pierwszą rocznicę

istnienia „Niezapłaconego Rentu” - na łamach grupowego pisma: *Rok - czy jest to dużo czy mało? Dla grupy poetyckiej rok to dużo czasu, tym bardziej że przez ten rok nie było ani jednego miesiąca przerwy w działalności grupy. Organizowaliśmy wieczory poezji, spotkania autorskie, parady poezjożerów, wystawy malarskie. Prowadziliśmy działalność energicznie, nie zważając na pogodę ani dziurawą kieszeń skarbnika, który po pierwszym miesiącu istnienia grupy planował samobójstwo. Mimo wszystko przeżył on i przeżyła grupa. Mamy też własne znaczki i koszulki z napisem grupy, otrzymaliśmy amerykańską dotację z Nowego Jorku i jesteśmy jedyną organizacją w dziejach Polonii, która naprawdę żyje własnym życiem bez jakichkolwiek funduszy, prezesa i ziewającej publiczności, nawet nie musimy bać się czytelnika jak inni wydawcy, bo nasze pismo jest bezpłatne. (...) Najjaśniejszą stroną naszej działalności jest fakt, że bardzo ochoczo przyłączyli się do nas aktorzy i muzycy. (...) Od strony reklamy musimy pochylić głowy przed całą armią naszych prawdziwych przyjaciół, którzy położyli kamień węgielny pod popularność grupy. Są to nade wszystko programy radiowe... W ciągu jednego roku udało się nam zdobyć tylu biednych przyjaciół, że rent wciąż jest nie zapłacony. Bylibyśmy ostatnie świnię, gdybyśmy nie wspomnieli o polskich czasopiśmie tutaj nie wiadomo dla kogo wydawanych. Są to: „Dziennik Związkowy”, „Relax”, „Dziennik Chicagowski”, „Alfa”, „Revia”..., które bezpłatnie ogłaszały nasze imprezy poetyckie, a magazyny „A propos” i „My” dzielnie nas duchowo wspierały.*

Redakcja kwartalnika (bezpłatnego, jednakże w stopce redakcyjnej widniała informacja, iż prenumerata roczna z przesyłką wynosi 10 dolarów) mieściła się w mieszkaniu Adama Lizakowskiego, przy 3031 Fullerton Avenue. Sponsorami większości numerów - co zaznaczono w stopce - były: Polska Księgarnia „Golden Bookstore” i Ben Adrian Employment Agency. W skład redakcji wchodził początkowo: Adam Lizakowski, Arnold Warchał i Dariusz Wiśniewski, a później była jednoosobowa redakcja Adama Lizakowskiego. Pojawił się też w składzie - zaledwie w kilku numerach - Franciszek Prędko. Pismo liczyło osiem stron. Miało podtytuł: *The First Polish-American Literary Review*. Na jego łamach dominowała poezja (głównie członków grupy, jak też innych autorów), tłumaczenia tekstów poetyckich (z angielskiego na polski - np. Walta Whitmana, Carla Sandburga oraz z polskiego na angielski - np. Rafała Wojaczka), grafika i rysunki - najpierw w kilku nu-

merach Marka Hapona, a następnie Ireny Wójs i Chrisa Stachnika. Widnieli oni w stopce redakcyjnej jako autorzy opracowania graficznego kwartalnika. Najwięcej tekstów zamieszczał Adam Lizakowski. Ważną częścią składową pisma była tzw. trybuna czytelników - pod nazwą „Parada Poezjożerców”, redagowana przez Arnolda Warchała, który zachęcał czytelników do nadsyłania swoich prób literackich: *Jedną z funkcji gazety poetyckiej jest rejestrowanie twórczości poetyckiej, zarówno tej, która wywodzi się od osób piszących stale, jak i od tych, którzy wkrótce po napisaniu wiersza chowają go do szuflady. Korzystając z okazji chciałbym wszystkich zaprosić do udziału w „Paradzie Poezjożerców”, tzw. trybunie czytelników. (...) Notka biograficzna będzie mile widziana, jakkolwiek nie jest konieczna.*

Teksty poetyckie nadsyłali przeważnie młodzi Polacy przyjeżdżający do Stanów Zjednoczonych. Członkowie grupy zamieszczali teksty (poezję i krótką prozę) również po angielsku, przeważnie czynił to Adrian Wiśnicki, urodzony w USA, a więc Amerykanin polskiego pochodzenia.

Był przegląd wydarzeń kulturalnych (rozgrywających się wśród amerykańskiej Polonii - przeważnie w Chicago, jak też w kraju), zatytułowany: „Złoty pieróg - kronika kulturalna”. Redakcja kwartalnika ogłaszała konkursy poetyckie. Ciekawe były warunki konkursu. Wiersze miały być nie dłuższe niż 24 linijki. Nadsyłający winien też przesłać tzw. OZBC, czyli Opłatę Za Bóle Czytania, w kwocie pięciu dolarów. Najlepsi otrzymywali nagrody. Pierwsza wynosiła 50 dolarów plus koszulka z logo grupy poetyckiej „Niezapłacony Rent” oraz publikacja nagrodzonych wierszy. Druga nagroda - to 25 dolarów i publikacja nagrodzonych wierszy. Trzecią nagrodę stanowiła tylko publikacja nagrodzonych tekstów. Konkursy poetyckie ogłaszała też polska księgarnia „Golden Bookstore”, której właścicielem był (i jest nadal) Adam Lizakowski. Na przewodniczących jury konkursów brano także poetów z kraju, na przykład przewodniczącym konkursu w 1995 r. był Paweł Marcinkiewicz.

Grupa poetycka „Niezapłacony Rent” wydawała tomiki swoich członków (głównie Adama Lizakowskiego i Adriana Wiśnickiego). Chociaż powoli, znajdowały one nabywców. Nie wiadomo jednak, czy książki rozdawano, czy sprzedawano. W jednym z numerów

kwartalnika redakcja informowała: *Smutna wiadomość, niestety, nakład tomiku wierszy Adriana Wiśnickiego pt. „Momentum and Speed” już się rozszedł. Dobra wiadomość jest taka, że Adrian wiosną 1995 wyda coś nowego. Gratulujemy i życzymy jeszcze większego sukcesu. „Momentum and Speed” wydano w nakładzie 1000 egz. w 1992 r. Następny tomik Wiśnickiego ukazał się jeszcze szybciej niż zapowiadano, bo zimą 19-94 r. Adam Lizakowski w numerze piątym kwartalnika omawiając tę dwujęzyczną książkę, daje przytyk amerykańskiej Polonii, pisząc m.in.: Kolejna pozycja książkowa grupy poetyckiej „Niezapłacony Rent”, tym razem najmłodszego członka tej formacji, 20-letniego Adriana Wiśnickiego, Amerykanina polskiego pochodzenia. Adrian pisze po angielsku, poezje jego spolszczył też członek „Niezapłaconego Rentu”, Adam Lizakowski. Tomik młodego poety pt. „28/6” jest wersją dwujęzyczną i pomyślany tak, aby Czytelnik znający oba języki mógł porównać oryginał z przekładem lub odwrotnie. Pozycja ta jest także pierwszą tego rodzaju propozycją grupy dla tych, co chcą wyjść poza mury polskiego getta oraz dla tych, którzy mogą i potrafią wykorzystać korzenie polskości w życiu amerykańskim. Niestety, niewiele takich historia Polonii amerykańskiej zna, ponieważ w większości przypadków, polskość w Ameryce to żaden dodatek do życia, ale garb, kula u nogi, od której nowo przybyli chcą uwolnić się jak najszybciej. Lizakowski niezwykle często Polonię nazywa właśnie "polskim gettem". Pisząc o jej życiu kulturalnym dokonuje bilansów i przewartościowań - w tym opisów zmian na lepsze: Obecnie chicagowska Polonia przeżywa swój swoisty renesans kulturalny. Od natłoku imprez kulturalnych naprawdę pęka głowa, nawet jeśli ktoś ma teb duży jak koński. Tym niemniej środowisko tzw. inteligencji jeszcze obiema nogami nie weszło w życie kulturalne Polonii. Często polonijną rozrywką są dość prymitywne bale, a nie uczestnictwo w imprezach artystyczno-kulturalnych na wyższym poziomie: Tradycyjnie odbyło się na Polonii kilkanaście bali, wśród nich bal lekarzy. Nikomu to oczywiście nie przeszkadza, ale jakoś lekarze, prawnicy, rzeźnicy i inni właściciele drobnych biznesów, a grubej gotówki (według słów pewnego poety) słabo podkreślają swoją polskość i przywiązanie do kultury polonijnej.*

Autor „Złodziei czereśni” i przywódca grupy upomina się o nią, walczy o jej miejsce na mapie kulturalnej polskiego Chicago. Atakuje tych, którzy nie zauważają - lub nie chcą zauważyć - jej działalności: *Omawiając wiosenne porządki nie sposób zapomnieć o nowo-*



rocznych listach naj...ważniejszych, naj...donioślejszych wydarzeń kulturalnych w ogóle w kulturze polonijnej. Ewa Biereziń omawiając najważniejsze wydarzenia za ubiegły rok na łamach poczytnego pisma „Dziennik Związkowy” pominęła, albo uznała za mało istotne, wspomnienie o grupie poetyckiej „Niezapłacony Rent”. Raczej to drugie (...), ale ze zwykłej ludzkiej uczciwości należałoby chociaż wspomnieć o imprezach organizowanych przez grupę, czy napisać krótką notkę, nie recenzję (broń Panie Boże!) o książkach wydanych przez członków grupy. A tak sami musimy dopominać się u p. Biereziń uznania, prosząc ją o uczciwość dziennikarską, obiektywność i zwykły szacunek dla ludzkiej pracy. Dla członków grupy „Niezapłacony Rent” - a szczególnie dla Adama Lizakowskiego - ważnym autorytetem jest Czesław Miłosz, niezwykle pozytywnie wypowiadający się o poezji autora tomu „Złodzieje czereśni”. To według nich największy poeta polski XX wieku. Kiedy poeta emigracyjny, Edward Busza, zaatakował Miłosza próbując zdyskredytować jego literacką Nagrodę Nobla, młodzi poeci z chicagowskiej grupy bronią autora „Rodzinnej Europy” przed tymi atakami.

Jak powyżej wspomniałem, twórczość Lizakowskiego została wysoko oceniona przez Miłosza. To dzięki Miłoszowi Lizakowski przetrwał najgorszy okres amerykańskiej adaptacji. Na okładce zbioru wierszy „Współczesny prymitywizm” widnieją wymowne słowa polskiego noblisty: *A więc jednak optaca się pisać prawdę, czy też starać się pisać prawdę, i to właśnie Pan robi, wbrew przyjętym opiniom, że „poezja” to co innego niż pisanie prawdy. Nawet z tak okropnej rzeczywistości jak polskie Chicago można więc coś zrobić.*

Co najmniej jedną stronę pisma zajmowały reklamy i ogłoszenia. Grupa zamieszczała zaproszenia - adresowane do czytelników - na spotkania poetyckie swoich członków, a także wspólne - całej grupy.

W kwartalniku znalazło się miejsce na prezentację utworów poetów krajowych, zarówno starszych (Zbigniewa Herberta, Marka Skwarcickiego, Zbigniewa Bieńkowskiego, Adriany Szymańskiej...), jak i młodszych (Jacka Podsiadły, Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, Macieja Niemca, Stanisława Dłuskiego, Jerzego Sikory...). Tych drugich zdecydowanie więcej. Pewnie między innymi dlatego, że byli bliżsi pokoleniowo. Pojawiali się również poeci emigracyjni, np. Tadeusz Chabrowski z Nowego Jorku. Dużo

miejsca poświęcono - co ciekawe - popularnemu w kraju w latach 70. piosenkarzowi, Stanowi Borysowi, obecnie mieszkającemu w Stanach Zjednoczonych. Nie tylko recenzowano jego nowe nagrania, ale i zamieszczano teksty poetyckie tego wykonawcy.

W 1997 r. ukazał się **manifest grupy**, już w sposób zwarty nie istniejącej - w małym stopniu dotyczący poezji, niezbyt precyzyjnie skodyfikowany, rozległy, opisowy, nie tylko grupowy. Zawierał więc nie tyle wytyczne grupowego działania, co pewne podsumowanie szesnastu lat emigracji Adama Lizakowskiego i innych - zwłaszcza pokoleniowo bliskich - emigrantów: *Teraz dopiero, po przyjeździe z San Francisco do Chicago, po 16 latach emigracji, zrozumiałem jak ważne są wiersze, zapiski chwil, które minęły bezpowrotnie. Jak ważne jest zapisać, czy opisać ten czas historyczny....* Manifest został wydany w nakładzie 30 egzemplarzy, a jego autorem był założyciel i przywódca grupy - Adam Lizakowski. Niemniej manifest ten można uważać za deklarację całej grupy. Ma on charakter pokoleniowy - co zaznaczone już w nazwie - a dotyczy „pokoleniowości” nie tylko w sensie literackim, ale i szerszym - społecznym. Lizakowski wyznaje: *Moje pokolenie było tworem komunizmu, czyli czegoś, z czego trudno było się wyzwolić. Czegoś o brzydkim charakterze, nie tylko narodowym, ale i ogólnoludzkim. Wielu z nas to rozumiało. Na Zachodzie trzeba było szybko się odnaleźć w nowej rzeczywistości, aby móc ją zaakceptować. Kto tego wówczas nie zrobił, cierpi do dziś piekielne męki. Razem stworzyliśmy (świadomie czy też nieświadomie) pokolenie ludzi, którzy wyjechali z Polski w latach 1980-1989. Dużo miejsca Lizakowski poświęca wspólnotowym więziom, pokoleniowym łącznikom - szczególnie o charakterze przeżyciowym - ale i różnicom: *Droga, którą w sumie przeszliśmy razem, choć osobno, jest naszą wspólną drogą. Nasze stęsy, nieprzespane noce, zmartwienia, troski o pozostawioną w ojczyźnie rodzinę, wreszcie myślenie o samej ojczyźnie. Rozterki są NASZE - WSPÓLNE: wspólna świadomość, sposób myślenia, rozumienia świata, wspólna analiza przeszłości. Mamy też powiązania duchowe wyrażone wspólnymi doświadczeniami, ideami, marzeniami, wspólnymi celami. Wydawałoby się, że jedna osoba może być wyrazicielem całego naszego pokolenia. Te właśnie fakty czynią z nas jedno pokolenie. Ale nie jest to takie proste, jakby wyglądało na pierwszy rzut oka. Tworząc nową Polonię amerykańską lat 80. byliśmy mozaiką składającą się z wielu życiorysów i charakterów ludzkich. (...) podzielił nas czas w**

zależności od tego, kiedy nasza stopa stanęła na ziemi amerykańskiej. Najpierw wymienia pierwszą falę młodych emigrantów, do której zalicza i siebie. To właśnie pokolenie "złodziei czereśni" - młodzi ludzie, którzy opuścili Polskę w latach 1980-1981. Była to fala młodych ludzi urodzonych w latach 50., którzy skorzystali ze sposobności osłabienia władzy komunistycznej przez społeczny ruch „Solidarność”. Wtedy, po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej, nadarzyła się możliwość otrzymania paszportu i wyjazdu na Zachód - praktycznie przez każdego, kto tylko złożył podanie i miał konto dewizowe w wysokości 150 dolarów amerykańskich. Swoista grupowość „podwórkowa” dodawała odwagi, pomagała przetrwać na nowym, obcym gruncie: byliśmy jedną falą ludzi o wspólnych doświadczeniach, wyjeżdżając paczkami z Polski, w grupach starych znajomych, kolegów z jednego podwórka. Świadomość, że byliśmy w jednej paczce, dodawała nam odwagi przy podejmowaniu decyzji, a także wydała się nam niepisana gwarancją powodzenia. Potem, już po opuszczeniu rodzinnego kraju, przebywając w obozach dla uchodźców, wreszcie na amerykańskiej „ziemi obiecanej” młodzi hartowali się, kaleczyli potykając się o nową rzeczywistość, dokonywali przewartościowań, radykalnych wyborów, doświadczali wielu życiowych dramatów. Nastąpił proces indywidualizacji, przechodzenia z solidarnego myślenia grupowego na myślenie bardziej egoistyczne - o sobie. Zmienił się także nasz stosunek nie tylko do nas samych, ale i do środowiska, w którym żyliśmy na emigracji - dywaguje Lizakowski. - Powstało nowe pojęcie pod tytułem „człowiek wartościowy”. Nasze życie uległo przemianie: wielu wzbogaciło się duchowo, jeszcze więcej - materialnie, poszerzając ramy widzenia i rozumienia otaczającego nas świata. Polska stała się z czasem dla nas krajem, do którego można pojechać na wakacje. Dla łatwiejszego określenia tej fali nazwaliśmy ją **pokoleniem „złodziei czereśni”**. Nazwa pochodzi od tytułu wspomnianego tomiku wierszy Adama Lizakowskiego.

Drugą falę młodych polskich emigrantów Lizakowski nazywa „solidarnościowcami”. Stanowili ją przede wszystkim ci, którzy za działalność w „Solidarności” byli w latach 1982-1984 internowani. Opuścili oni Polskę w okresie stanu wojennego lub krótko po nim. Falę tę nazwano „polityczną” albo „postsolidarnościową”. Zdaniem Lizakowskiego, w wielu punktach interesy obu fal - „solidarnościowej” i „złodziei czereśni” - były tożsame, np. w

kwestii troski o losy ojczyzny. Również wspólna była chęć zarobienia twardej waluty, pomocy finansowej rodzinie w Polsce, polepszenia swojej egzystencji, zobaczenia świata zachodniego zakazanego przez komunizm.

Trzecią falę emigracji Lizakowski nazywa „wakacjuszami” lub „turystami”. To są wszyscy ci, którzy przyjechali do Ameryki w ramach „łączenia rodzin”. Wielu skorzystało z możliwości wyjazdu za granicę z wycieczką i później zostając, prosząc o azyl. Czwartą, najmniej liczną falę, według stratyfikacji Lizakowskiego, tworzą ludzie, którzy w żaden sposób nie pasują do trzech już wymienionych fal. Nazwani zostali „kukułkami”. To są wszelkiego rodzaju pracownicy naukowci, uniwersyteccy profesorowie, inżynierowie, lekarze - słowem inteligenci, którzy znaleźli się w Stanach Zjednoczonych na podstawie wszelkiego rodzaju umów o pracę.

W manifestie Lizakowski pokazuje swoje młode pokolenie „złodziei czereśni” również na tle, czy też w kontekście starszej, tradycyjnej Polonii amerykańskiej w Chicago: *Od osiadłej Polonii amerykańskiej nie oczekiwaliśmy wiele. Powiedziałbym nawet, że unikaliśmy jej nie angażując się, aby nie próbowała zarazić nas „polskością”, miłością do wyidealizowanej ojczyzny przodków, która dla nas była i jest mało atrakcyjna. Nastąpiło nieporozumienie, które niektórzy nazwali konfliktem pokoleń. Ale ja nazwałbym ten stan wielkim rozczarowaniem, albo niemożnością znalezienia wspólnego języka.* Stara Polonia nie miała autorytetów atrakcyjnych dla młodych. Młodzi emigranci coraz częściej atakowali starych: *Mieliśmy do starych pretensje o wszystko, a najbardziej o to, że nasze sny o Ameryce okazały się złudne.* Różniły odmienne mentalności i poglądy na świat: *Doświadczenia starej Polonii antagonizowały się z naszym nowym poglądem na świat. Mieliśmy dwie różne mentalności: oni podchodzili do Ameryki z pewną dozą lęku, my prosto patrzyliśmy jej w oczy, mówiąc, czego nam potrzeba, bez żadnego skrepowania czy wstydu. Mówiliśmy jednym językiem, ale nasze doświadczenia duchowe, polityczne, słowem - pokoleniowe były zupełnie inne.* Młodzi są bardziej otwarci na świat, na nowoczesność, więcej patrzą w przyszłość niż wracają do przeszłości. Problemy narodowościowe i ojczyźniane nie absorbują ich uwagi w takim stopniu co starszą Polonię, a działalność instytucji kulturalnych na emigracji widzą inaczej niż starzy: *Nie było (...) dostępu do środków masowego przekazu, w których młodzi mogliby wołać do*

ludzkich serc i sumień. Polonia amerykańska na początku lat 80. była bardzo uboga w prasę polonijną, a stare zastłuzone dzienniki były adresowane przede wszystkim do starej Polonii. Nieliczne programy radiowe, np. w Chicago, też nie były adresowane do młodych. Czytane były w nich powieści Rodziewiczówny albo Sienkiewicza. Miało się wrażenie i odczucie, że Polonia amerykańska wciąż tkwi w XIX-wiecznej polskiej mentalności. Jej postępowanie i odczucie wskazywało na to. Trudno się dziwić, że w krótkim czasie nastąpił rozłam pokoleniowy, nie konflikt a właśnie rozłam (...) Żyjemy niezależnie od wszystkiego, co można nazwać miłością do ojczyzny, czy potrzebą ojczyzny, albo celnym wzdychaniem za nią. Dla „młodych” polskość jest ważna, ale nie aż tak jak dla „starych”, gdyż w Ameryce polskość nie nobilituje, lecz spycha do ludzi „drugiej kategorii”.

W analizowanym manifestcie niewiele jest o programie własnej twórczości, jej wyznacznikach. Lizakowski czyni to dopiero w zakończeniu manifestu, dość chaotycznie i ogólnikowo, koncentrując się na swojej twórczości i podkreślając rozdwojenie osobowości twórczej oraz nieprzydatność nawiązań do jakiegokolwiek literackiej tradycji: *Poezja moja w chwili obecnej odnosi się do wartości, przeżyć emigrantów, pokolenia „żłodzieli czereśni”, co wcale nie oznacza, że o niczym innym nie piszę, czy nic innego mnie nie interesuje. Jest to bardzo trudne, bo w jednym ciele są aż trzy różne osobowości: Polak, emigrant-obcokrajowiec, Amerykanin. Polskość i amerykańskość. Nie znalazłem żadnych form artystycznych, do których mógłbym się odwołać. Dziedzictwo duchowe romantyków, Polski rozbiorowej, niestety, nie wystarcza mi.*

Lizakowski krytycznie pisze o swoim pokoleniu młodych emigrantów, o upodabnianiu do starych: *Rozdział „żłodzieli czereśni” jeszcze nie został otwarty, zdaję sobie z tego sprawę. Jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora, ale nie można zbyt długo czekać, by nie stracić tego, co zaprzepaściło pokolenie żołnierskie. Brakuje nie tylko poetów, ale i socjologów, krytyków, recenzentów, całej armii archeologów nie tylko słów, ale i badaczy czynów. Nowa generacja, podobnie jak stara, dała się bez reszty zmaterializować. Robimy dokładnie te same błędy, zapominając o sprawach duchowych całkowicie. Niewielu z nas obecnie pisze, układa wiersze, daje świadectwo historii. Jak już wspominałem, pod tym względem dokładnie przypominamy pokolenia poprzednie. Wiem, że nie jest łatwo. Wiem, że wymaga to od twórców wielkiego poświęcenia. Jednak wierzę, że warto.*

Do manifestu dołączono arkusz poetycką Adama Lizakowskie-

go pt. „Na kalifornijskim brzegu” (zawierający kilkanaście wierszy pisanych w San Francisco w latach 1986-1989) i także autorstwa Lizakowskiego czterostronicowy „Poradnik dla tych, co wybierają się do Stanów Zjednoczonych” - ujęty w formę siedemnastu przykazań-ostrzeżeń, napisany z humorem i sarkazmem.

W tym miejscu wypada więcej powiedzieć o liderze grupy - Adamie Lizakowskim. To obecnie jeden z ciekawszych polskich poetów mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Zresztą wartościowy nie tylko jako poeta, również jako prozaik. Interesujący jest jego dziennik pt. *Zapiski z nad Zatoki San Francisco*, który zdobył pierwszą nagrodę w konkursie pt. „Zachodnie losy Polaków”. Autor pisze o Ameryce i o polskości poprzez pryzmat swoich doświadczeń emigranta, kiedy znalazł się na ziemi Waszyngtona na początku lat osiemdziesiątych. Daje m.in. takie refleksje: *Minął już miesiąc trwania w amerykańskim śnie. Czas najwyższy, po raz kolejny, wrócić do polskości. Po raz pierwszy udałem się do Domu Polskiego, mieszczącego się na 22. ulicy, w dzielnicy meksykańskiej. Po raz pierwszy od kilku tygodni miałem kontakt z większą grupą Polaków - i to nie tylko z fali solidarnościowej, ale i z tymi, którzy przybyli do Ameryki po wojnie. Po raz pierwszy zobaczyłem to zjawisko na własne oczy. Starów, którzy kiedyś za ojczyznę oddawali życie, oszukanych przez rządy sprzymierzeńców, a obecnie strażników polskości nad Oceanem Spokojnym. (...) Nieprawdopodobnie dużo Polaków przybywa do San Francisco. Każdego dnia można ich spotkać na schodkach Instytutu, wyczekujących na kogoś, kto zabierze ich do „domów”. Rozmawiamy z nimi, straszymy ich tą Ameryką, chociaż sami wiemy o niej tyle, co kot napłakał. My, „kilkutygodniowcy”, uważamy się już za ekspertów Ameryki. Oni opowiadają nam o Europie, o obozach, w których jeszcze kilka godzin temu byli. My dopytujemy się, czy jeszcze jest w obozie ten gruby, co w stolówce po pijanemu przewrócił trzy stoły, a oni - czy mamy kontakt z tą blondynką z budynku „A” z drugiego piętra, co dwa miesiące temu wyleciała do Ameryki.*

Adam Lizakowski urodził się w 1956 r. w Dzierżoniowie na Dolnym Śląsku. W latach 1981-1982 przebywał w obozach dla uchodźców w Austrii. Od 1982 r. osiadł w Stanach Zjednoczonych: najpierw w San Francisco (do 1991 r.), następnie w Chicago. Jest przede wszystkim poetą. Debiutował w 1980 r. w „Tygodniku Kulturalnym”. Autor wielu tomów wierszy, m.in. „Złodzieje czere-

śni” (1990), „Współczesny prymitywizm” (Chicago 1992), „Chicago - miasto nadziei” (Chicago 1998), „Legenda o poszukiwaniu ojczyzny” (Dzierżoniów 2001). Wiersze publikował również w języku angielskim i hiszpańskim. Zajmuje się także przekładami z poezji amerykańskiej. W swojej poezji łączy poetykę Nowej Fali z doświadczeniami warsztatowymi nowej poezji amerykańskiej. Pisze o polskich emigrantach szczerą, często bolesną, prawdę - zarówno w tekstach poetyckich, jak i pamiętnikarskich. Według Lizakowskiego jedynymi przyjaciółmi poety są samotność i ból. Poezja jest dla ludzi nieszczęśliwych, a rolą poety - być nieszczęśliwym aż do granic nieszczęśliwości:

*Poeta powinien być psem  
który wkłada nos do śmietnika ulicznego  
wącha różę w cesarskim ogrodzie  
szczeka i wyje do księżycy  
nawet jeśli ten nie zwraca  
na niego uwagi*

Autor opisuje swój los - los młodego emigranta, a więc gorycz wyobcowania, problemy z zakorzeniem się w nowym, obcym świecie, kiedy znajomi i przyjaciele daleko. Wprawdzie *piękne są zielone oczy Ameryki jak las*, lecz *niejeden w nim zbladził / wołał o pomoc / z głodu umarł*. Ameryka to archipelag samotności, kraj pułapek, gdzie człowiek nie ma uporządkowanego wnętrza. Rzadko kto ma rozwinięte życie duchowe. Jeśli stać go na jakąś samodyscyplinę, to już dużo. Swoistą terapią są powroty (w snach i marzeniach) do rodzinnych Pieszc, do krainy dzieciństwa („Opis kosmosu dzieciństwa”). W Stanach nic nie przypomina zapachu drzew czereśniowych. Trudno znaleźć porozumienie wśród rodaków *pokazujących plecy / na dźwięk polskiej mowy / spoglądających na współbraci wzrokiem / dziecka poparzonego pokrzywą* („Są rodacy”).

Poezja Lizakowskiego nie jest wydumana, ale zakorzeniona w rzeczywistości, niesie wiele bystrych obserwacji, socjologicznych przemyśleń. Gości w niej ironia. Oprócz widocznych wpływów poetyki Nowej Fali - czasem nadmierna publicystyczność - zauważamy wpływ poezji amerykańskiej (Whitman, Lowell). Chociaż nie zawiera wielkiej filozofii, czyta się ją z przyjemnością. Jest autentyczna.

Lizakowski mimo ostrej krytyki amerykańskiej Polonii, wiele zawdzięcza Chicago - największego jej skupiska w USA, co bardziej wyraża w tekstach dyskursywnych niż poetyckich - chociaż i jeden z tomików tytułuje optymistycznie: *Chicago - miasto nadziei*. Czyni to jednak zwłaszcza w wywiadach.

Dlaczego trybuna literacka grupy Niezapłacony Rent nosiła tytuł „Dwa Końce Języka”? Tak na to pytanie odpowiada Adam Lizakowski: „*Dwa Końce Języka*” - *bo jesteśmy na emigracji, więc używamy dwóch języków, a przede wszystkim polskiego. Ale w grupie były i osoby piszące tylko po angielsku, np. Adrian Wiśnicki*. Zauważmy, że te dwa języki - polski i angielski - nieprzypadkowo sąsiadowały obok siebie w tytule pisma. Rozdwojenie językowe - i co się z tym łączy - narodowościowe szczególnie mocno przeżywał właśnie, urodzony w Stanach, Adrian Wiśnicki: *Urodziłem się w Stanach, wychowałem w Stanach i czuję się przede wszystkim Amerykaninem - choć wewnątrz jestem do pewnego stopnia Polakiem*.

„Niezapłaconego Rentu” ukazało się dwanaście numerów. Wraz z upadkiem pisma, którego ostatni numer wydano jesienią 1995 r., przestała istnieć grupa. Wprawdzie odbywały się jeszcze spotkania jej członków, ale już nieregularnie, sporadycznie i w o wiele mniejszym gronie. Także po 1995 r. ukazało się jeszcze kilka książek firmowanych przez grupę, m.in. - paradoksalnie! - „Manifest pokoleniowy, czyli >złodzieje czereśni< proszą o głos”. A „głos” ten był już coraz cichszy, pojedynczy, już nie jako głos zwartej grupy. W sumie ukazało się jedenaście książek. Większość z nich to tomiki wierszy. Odbyło się wiele spotkań autorskich - przeważnie członków grupy, ale i innych twórców: emigracyjnych (np. Tadeusza Chabrowskiego z Nowego Jorku) i krajowych (młodego poety Pawła Marcinkiewicza, znanego pisarza i publicysty Piotra Wierzbickiego, promujące jego „Podręcznik Europejczyka - z Ciemnogrodu do Paryża”).

Lizakowski, oceniając z kilkuletniej perspektywy, podkreśla, że na rozpad grupy miały wpływ spory w gronie twórców, zaniechanie uprawiania poezji przez kilku z nich, wyjazdy z Chicago (np. Adrian Wiśnicki wyjechał do Nowego Jorku, Aneta Sierżęga wróciła do Polski), *dziurawa kieszeń skarbnika*, czyli kłopoty finansowe oraz to, że *proza życia codziennego wzięła górę nad poezją*.



## **Historia pewnej znajomości**

Trzecia w nocy. Przyszła do mojego łóżka o trzeciej w nocy. Szlochając zapytała czy mogłaby przetrwać do rana. Spróbowałem - Co ci jest: zadumo? Ale ona tylko przyłożyła swoje smutne oblicze do mojego boku. Milczała.

Pewnie wstydziła się przyznać do chwil słabości. Pewnie. Lub po prostu nie chcąc być sama szukała kochanka na dalszą część nocy. Po prostu.

Cienie znikaly z powiek wraz z bielmem szarości. Nastal ranek, a wraz z nim dziwny atak żalu. Że to już zaraz. Że za chwilę odejdziesz. I znów przyjdzie. Czekać. Czekać aż przyjdzie. I znów zostawi.

Pękaty wazon białych nocy.

\* \* \*

Na próżno szukać wiosny w stercie liści. Zginać kark, nieruchomiejąc. TAM jest się Jedynic gościem. Gościem w świecie ciszy. Dusznym i ciepłym zbiegiem okoliczności, z powodu którego pomniki i okoliczne nagrobki pokrywały się szarą poświatą. A wraz z nimi romantyczne imitacje zbioru cyfr. Tuż obok wspomnień.

W przeciwieństwie do przechodniów dzierzących dumnie kwieciste oblicze wiązanek. Bez pamięci.

\* \* \*

Był początek listopada. Piąty, szósty, może siódmy. Drzewa stały nagie jak posągi, a spod butów trzaskały gałęzie imitując niezdarnie śnieg, który wisiał w powietrzu, a który wydawał się

czymś tak odległym i obojętnym, jak ten z zeszłego roku.

Stałem przy Jego łóżku. Mury Szpitala Miejskiego sprawiały wrażenie zimnych i niedostępnych. Podobnie zresztą jak większość personelu, którego głównym zadaniem było chyba okazywanie współczucia chorym.

W powietrzu - nie licząc tego jednego, określonego miejsca na ziemi - nie zanosilo się na nic, co mogłoby choć trochę zmienić tok myślenia przeciętnego obywatela klasy średniej.

Stałem i patrzyłem, jak nieproporcjonalne w stosunku do tego schorowanego ciała stają się stopy, dłonie i biodra. Jak żyły wszystkimi dolinami i deltami cicho i z wolna przelewają historię życia. Życia nieodłącznie związanego z moim. I jeszcze te oczyśniące o czymś lepszym i zdrowszym. O świecie, który wszystkimi egoistycznymi siłami powstrzymać chciałem. O nim. O mamie. O Dorocie. O mnie. Cały kochany.

Wstałem, zamknąłem drzwi. „Czy myślisz, tato, że ta zima będzie sroga?” Złożył ręce, spojrzał na mnie (Jego wzrok zawsze przeszywał na wskroś - przynajmniej mnie). „Hm...Nie. Żadna zima nie jest sroga - tylko my nie jesteśmy na nią dostatecznie przygotowani, jak należy”. Wstał i podszedł do okna. Patrzył na coraz bardziej niezielony trawnik. „Rozumiesz?”. Przytaknąłem. Nie rozumiałem.

Słyszeliśmy, jak zaskrzypiały drzwi. Jak przeciągły świst od strony okna wdarł się ostrym zapachem zimy. Tato usiadł w fotelu, milcząco wpatrując się w powstałą ciszę moich ust. Obserwował.

Odszedł 16 grudnia 1997 roku. To już pięć lat, a ja wciąż uczę się zrozumieć Jego słowa.

# AGNIESZKA BOJARSKA

## Spadam

Spadam  
Po drodze mijam  
Talie kart pochowane do pudełek  
I stare dziurawe kapelusze  
Spadam  
A zdaje mi się  
Że już dawno spadłam  
Już urosłam i zmaląłam  
Spadam  
Chociaż przed chwilą  
Wszystko było szare i nijakie  
I tylko jeden biały królik  
Potrafił się spóźnić  
Spadam  
Już wiem dlaczego to robię  
I wiem jak się obudzić  
Spadłam  
Czasami warto uciec

\* \* \*

Może już  
Ten wiersz  
Ktoś i gdzieś napisał  
  
Może już  
Byłam taka ja  
Może druga gdzieś jestem

Chcę zostawić po sobie  
Jakiś ślad

Może to ziarnko piasku  
Wrzucone do herbaty  
Które teraz  
Chrześci pomiędzy zębami

Może to słowo JESTEM  
Wryte na pniu drzewa  
Które stoi  
Gdzieś tam w lesie

Może pocałunek  
Który skradłam ci  
Tamtego wieczoru  
Na przystanku

Nie wiem

Może już  
Byłam taka ja  
Może druga gdzieś jestem

Może już  
Ten wiersz  
Ktoś i gdzieś napisał

### **Pierwsza iskierka**

Za każdym razem  
Ciepło twych powiek  
Stwarza mnie lepszą  
I zimna herbata  
Bardziej mi smakuje

Nikt nie rozumie naszych słów  
I tylko stół  
Widzi  
Obawy siedzące na kolanach

Czuje  
Szeszone drgania opuszków palców  
I gorące dłonie  
Które nie śmia  
Nawet prosić o dotyk

Dużo słów i śmiechu  
Starających się ukryć  
To czego pragniemy  
I co z zewnątrz  
Jest oczywiste

Jednak czekamy  
Na kilka chwil samotności  
Sekundę ciszy  
Na rozmowę oczu  
Krzyk serc  
I ich bieg ku sobie

Wiem  
Że będą nas podglądać  
Wszystkie kłębki powietrza  
Każda z gwiazd  
I nawet dostojny księżyc

Lecz teraz  
Pozwolimy jedynie  
Na zawstydzone spotkanie ust  
Krótkie  
Bo pierwsze tak poważne

„Mam nadzieję  
Że się wkrótce zobaczymy”

\* \* \*

Księżyc toczy się  
po podłodze  
Unoszę się do nieba  
W apogeum chaosu na ziemi  
Unosisz się do nieba  
W apogeum chaosu na ziemi

Słońce toczy się  
Po podłodze a my  
W gwiazdozbiorze Orion  
Szukamy remedium  
Na pękniętą strunę świata

\* \* \*

tunel chłodny ciemny  
ściana – gilotyna zniecka  
ścina głowę Neptunowi  
budząc marmurowe posadzki  
rozwarstwia się głos  
na tysiącu klamek

zabite nietoperze  
odpadają od sufitu

...mroczny tunel – granica  
jawy i snu

\* \* \*

na spodzie rozbitego lustra  
błyska ból  
jak gwiazda  
rodzi się zmarszczka

liście błędzą  
we wspomnieniach  
w pajęczynie  
zawisła  
niebieska łza  
i tonie we mgle



## MARTA JACKOWSKA

\* \* \*

Drzewa rzucają słowa  
liście na wiatr  
on niesie je wszędzie  
czemu drzewa nie mogą milczeć...  
kolejna tajemnica nie wyleciałaby  
z ich ust

\* \* \*

Szła zawsze pochylona  
jej głowa coraz bardziej zbliżała się do ziemi  
co dzień ciągnęła za sobą najcenniejszy skarb  
wózek z makulaturą  
co dzień ta sama droga  
rozpościerała się przed jej błękitnymi oczami  
pełnymi radości małej dziewczynki  
te oczy błyszczały jak dwa klejnoty  
w starym srebrnym pierścionku siwych włosów  
jej rozpromienione usta były szmaragdem  
nigdy nie widziała zła w swoim życiu  
choć tyle cierpień ją dotknęło  
była sama  
a otaczali ją ludzie  
była radosna  
a samotna  
była...  
a już jej nie ma



# AGNIESZKA STRYCHARSKA

\* \* \*

Nie zatrzymuj mnie  
zar samotności  
jest przyjemniejszy,  
niż kąpiel  
w fałszywej miłości

- duszę się  
dymem  
głupoty.

\* \* \*

Zanim jeszcze raz  
zostawisz mnie - samą -  
Powiedz, że czekać nie warto.  
Od wspomnień  
uciekam do piekieł  
- tam łatwiej trwać.

## Okaleczona

Jak złamane skrzydło ptaka  
uśpiona w słabości  
objam twarz  
o przydrożne kamienie  
- życia -

\* \* \*

Pragnęłam otrzymać  
mały promień słońca  
a Ty podarowałeś  
całą jasność nieba  
Tak wielką nadzieją  
karmisz moje serce  
Poczułam Twoje ciepło  
na moich ramionach  
wierzę Boże -  
- byłeś tam ze mną

To była chwila



# KAMIL DĄBROWSKI

---

## Ambient 2

Szmery w tramwaju.  
Odległości dzielące szmery  
rozchodzą się równomiernie  
po liniach trakcyjnych.  
Szmery w metrze.  
Kształty pomiędzy szmerami  
permanently zmieniają się  
w zależności od mijanej stacji.  
Szmery w taksówce.  
Jednoczesne miarowe  
tykanie taksometru  
i skrzywienie tylnego siedzenia.

## Komeda

W tych miejscach czai się krew.  
Sączy się z naderwanych dźwięków  
i spokojnie  
spływa po nadgarstkach.  
W alkierzach mistrzów  
próbowaliśmy nowej epoki.  
Udało się złowić  
obraz nagiej natury.  
Czarne i białe słowa  
pachniały wolnością.

## Ostatni dzień w mieście Golema

Wczesne niedzielne popołudnie na Vinohradach  
gdzie słońce przechodzi ukradkiem przez gałęzie  
i przeplata się z „Shaking the Tree” Gabriela.  
Mówię Gosi, że ładnie wygląda leżąc na trawie.  
„Eee tam!”, popija pilznera i uśmiecha się.  
Na skórze powstają wielobarwne slajdy.  
Patrzę na nie, zapisuję w pamięci  
i powoli zaciągam się spartami.  
Nieruchomo wpatrzeni w szmery ewakuujące się przez  
niedomknięte dłonie.  
Nad praskimi antenami  
potrafią afirmować elektryczność  
i niezauważone wczepiać się  
na ein zwei drei.

*Praga 1999 - Białystok 2001*



[www.photodocument.pl](http://www.photodocument.pl)

## Rzymski obraz

Na kamiennych schodach  
czarny kot  
oparty wąsem  
o Koloseum  
rozłożone niczym dziurawa  
muszla pod rzymskim niebem  
skropione rdzą czasu  
uśpione.  
Zmarszczki murów  
leniwie tworzą  
obraz przemijania  
odbity  
w kocim spojrzeniu  
na bezmiar wieczności.

## Samotność

Samotność rodzi się w chmurach.  
Otula twarz kroplami deszczu,  
spływa na usta  
i wtedy czuję jej gorycz.

W uśpionych oczach zakochani,  
zbierają serduszka z kącików ust.  
Podziwiam ich.  
Padający obok deszcz  
nerwowo stuka w moją dłoń.

## Grudniowy pamiętnik

(pamiętasz)

było kiedyś takie nieme kino  
z lustrami i pustym bufetem  
czasem kobieta w golfie  
sprzedawała tam herbatniki  
zjadaliśmy je bezszelestnie  
a wokół słyhać było  
krzyk  
łuszczonych małych pestek  
zbici w jedno ciało  
szukaliśmy bezustannie  
gniazda prawdy  
nadzieja przykryta  
śladami czołgów  
jarzyła się śniegiem w ciemności.  
Nigdy nie przestałem  
wierzyć  
że wolność istnieje realnie.

## Na mojej ulicy

czas się zatrzymał  
letnim wieczorem.  
Kredowy zegar z deptaka  
zaciął się  
na Basi z naprzeciwka.  
Drewniakiem wybijane sekundy  
echo niosło  
po szlifowanych żelazniakiem  
kocich łbach.  
Na nic się zdały  
łakome wydechy kuchennych okien.  
Gromadka umorusanej gawiedzi  
w hipnotycznym transie  
szeptała zakłęcie:  
- skuś baba na dziada  
na żydowskie pierogi  
żeby baba skusiła  
to by dobrze zrobiła.  
Zapatrzony  
w drobniutką balerinkę  
w kusej spódniczce  
muskającą chodnikowe płyty  
każdego lipca  
wracam na tamten chodnik  
nasłuchując nostalgicznie  
dobiegającego zza drewnianych sztachet  
głosu kuranta:  
- Kaaaśka, Baaaśka, Jóóózek do domuuu!  
Kolaacja!

Gdzie jesteś moja ulico  
błyszcząca brukową łysiną  
tętniąca beztrąsko  
w rytmie niezawodnej  
wczorajszej pamięci?  
Gdzie jesteś Basiu...

## Pamiętam

doroczny  
święteczny odpust  
zwiastowany od świtu  
parskaniem koni  
wprzęgniętych w ciągnące się  
bez końca furmanki.  
Czarodziejskie stragany  
skrywające  
w glinianych figurkach  
blaszanych kurkach  
zakręconych słodkościach  
kuszące gawieź – tajemnice.  
Zaciśnięte w dziecięcych rączkach  
„srebrne rybaki” zmieniały się  
we wspaniałe „kusidelka”,  
a oczarowany tłum  
z żółwim dostojemstwem  
przedrzeźniał fale  
pobliskiego jeziora.  
Niewielki kościółek  
sercem spóźnionego dzwonu  
wołał, co chwila:  
- do-mnie do-mnie do-mnie.  
Pamiętam  
podszyty wiatrem  
habit wędrownego mnicha.  
Świątą wodą rosząc



zamykane odruchem  
powieki klęczących pielgrzymów  
- przejrzyjcie – szeptał- przejrzyjcie.  
Cudowny medalik z odpustu  
dzielący się przez lata  
swą mocą – wyblakł  
lecz jest ze mną do dzisiaj.

## Nostalgia

Tęsknię czasami  
za turkotem kół  
co świtaniem  
miast zegara  
sekundy gubiły  
na kocich łbach.  
Za echem kradnącym  
ostatnie chwile  
bezgrzesznym.  
Za ochrypłym głosem  
starego Szurana:  
- złooom kupuję,  
stare szmaaaty,  
buteeelki!  
Wymieniam na garnki  
patelnie, miski, fajerki  
i żelazne krużyki!  
U mnie ludzie u mnie.  
Brakuje mi nie raz  
trzasku bata  
i umorusanych  
węglowym pyłem  
spoconych wozaków  
wykrzykujących zakłęcie:  
- Nu wiooo, wiooo malutkie.  
Eśta, eśta.

Brak mi  
wieczornych iskerek  
tryskających fontanną  
ponad głowami  
ciekawskiej gawiedzi  
i wołania znad  
nożnego kółka  
grzmiącego donośnie:  
- „noooże ostrzę, nożyczki  
dla brata i siostrzyczki  
nożyyyki małe i duże  
dla każdego dzisiaj służę”.  
Nostalgicznie  
zawsze trzymam  
kilka butelek  
i szmat.  
Na podorędziu.  
A nuż  
stary Szuran nadjedzie.

## Ojcowizna

Cokoły z kamiennych kruszni  
drzemiące na jałowych ugorach  
przez długi czas jeszcze  
nie będą mogły  
zasnąć kamiennym snem  
Zaśniedziałe memuary  
Z balastem złorzeczeń  
ugrzęzły w odwróconych  
jesiennym pługiem skibach  
Choć bosa epoka kruszniowych dzieci  
dawno temu  
z sochę sierpem i świszczącym batem  
odjechała stępem na chłopskiej furze  
gdzieś tam w skansenach

skazanych na wymarcie  
błąkają się ostatki siłaczkowego pokolenia  
Odstawiwszy w kącie motyki  
na przydrożnych ławeczkach  
grzeją w słońcu stare kości  
W pamiętnikach  
skamieniałych pagórków  
otulonych zielonym woalem  
ukryli paciorki i dziecinne marzenia  
o owsianym kisielu  
pachnącej piętce z cukrem  
i sabotach  
Cokołom z kamiennych kruszni  
przez lata jeszcze  
nie dane będzie  
usnąć kamiennym snem...



## By nie iść gdzie cienie wielkich gór

Nie upadaj proszę  
z wysokości boskich ramion  
Zeusa  
Pozostań na szczycie  
swoich pragnień  
i nigdy nie patrz w dół

Ziemią przysypani  
leżą ojcowie  
Ich słowa zakopane  
Ich czyny potępione  
na wieczność

Już nie polewaj łzami grobów  
Miłość wyrośnie na każdej glebie  
Ty trzymaj się skały Olimpu  
stopy wciskaj w podłoże  
A staniesz mądrością wszechświata  
i szczęściem swego życia

Tylko nie upadaj

## Łza spływa cicho

*...to nie oni odchodzą, to my  
zostajemy...*  
(zasłyszane od Pallotynów)

I wyszli na polany  
ona i on  
Stanęli na wprost siebie,  
ujrzeli w sobie rzekę  
i poszli w różne strony wolno jak włóczył się świat

Aż ona pomyślała –  
szepetem w śnie mu spłynęła  
i sięgnął w kuchni po nóż

Gdy łza spływała cicho  
leżał w strojnym niebie,  
płynął do matki –  
najpiękniejszej z ludzkich dróg

## Na płaskowyżach kwitną wrzosowiska

Myślałem o bieli najjaśniejszej  
kiedy zajrzy do mnie  
Widzę tam  
króliki na trawie  
dzieci na trawie  
Wtedy mnie dotyka rozzarzoną dłonią  
lecz robi się chłodniej  
Mdleją mi powieki ręce i nogi  
Jeszcze krzyczę bo iść nie chcę  
I widzę zwęglone me ciało w pościeli

Odchodzę czy przychodzę  
to przecież nieważne  
zawsze gdzieś będą  
króliki na trawie  
dzieci na trawie  
i ona na trawie  
Najczystsza dziewica rajskiego potoku  
co zaczyna i kończy  
przepiękne krajobrazy naszych żyć



## Podróże Fafuły Żeglarza

NIE POMOGĄ TŁUMACZENIA, że jest tylko Żeglarzem i że nazywa tak siebie sam, stąd wzięła się owa duża litera na początku tego pospolitego słowa. I to jego zdaniem, morze upospolociło je jeszcze bardziej, bo co tam jakiś żeglarz na morzu. Można mówić, a bezmiar i tak wszystko rozmyje aż po kres horyzontu. Więc po co jeszcze się w tym dodatkowo gubić.

Ale to jego prywatne zdanie, myśli kostropowata wiedźma, która już zaadoptowała się do imienia Wawióry, wynalazku owego Fafuły i nie ma zamiaru na tym poprzestać. Taka okazja nie przytrafia się przecież co dzień i należy to wykorzystać. Bo co z tego, że bezmierny stan wodny dewiuje mózg każdego chłopca, który się znajdzie na morzu. Można to naprostować, a Fafuła Żeglarz wydaje się być podatnym na to prostowanie, które polega właściwie na tym, żeby go wiedźma mogła używać do jak najbardziej praktycznego celu. Trzeba się tylko zastanowić, co by się jej jeszcze mogło przydać w przydomowym gospodarstwie i zaraz w to zaangażować całą praktyczną stronę babskiej psychiki, która jest jak niewyczerpalny instynkt samozachowawczy i wyraźnie przeciwstawia się męskiej beztrosce w odbieraniu całego świata jak leci.

Teraz obrazy, które przetrwały w Wawiórzej pamięci, zamieniają się w słowa. Opowiada na przykład o swoim Ognistym Ptaku, który był jej sposobem na posiadanie światła i na rozświetlanie nim mroków swojej krainy. Kiedyś żył on w ludzkich legendach, gdzie bez przerwy spalał go żywy płomień i przez cały czas żarzył się promieniście, ale do końca nigdy się nie wyzarzał. Przywieziony do Mrocznej Północy jednak przygasł i nie przegnał ciemności, jak tego po nim oczekiwano, bowiem najgorętszy blask zaraz w tym kraju zamarzał i nie miał czym promieniować. Nie zrażona

tym wiedźma szybko wpadła na pomysł, żeby przyuczyć ptaka i sprawić, żeby Słoneczkę chciał uprowadzić zza jasnej strony morza i w zimne mroki wpuścić ten gorący blask. Obiecywała, że przy tym i jego żar jak za dawnych lat zapłonie. Więc skusił się na to Ognisty Ptak, ale jego ognistość nie wytrzymała jednak konfrontacji ze Słoneczką. Łatwo potrafił wessać tę jasną krągłość do swego wola, ale i łatwo wypuszczał ją z uwięzi, bowiem oparzył się boleśnie w kontakcie z tym najsilniejszym ogniem. Nie poddawał się i raz za razem ponawiał próby, ale Słoneczka z różnym skutkiem temu się stale przeciwstawiała, stąd i jej okres pobytu na niebie cały czas się zmieniał: świeciła to krócej, to znów dłużej i zależało to od tego, jak długo Ognisty Ptak potrafił wytrzymać z nią w swoim wolu.

A teraz miała Fafułę, czyli prawdziwą męską rękę. Ptaka odesłała zatem na skalistą wysepkę, żeby pilnował bram jej kraju. Nie był tak potrzebny, jak ten rozbitek, którego wyciągnęła z morza całego podtopionego i zalanego łzami. I nie wierzyła nic a nic Fafule, kiedy ten próbował tłumaczyć się, że to nie łzy były, ale że to morska woda dostała się mu na twarz. Rozpoznała od razu owe łzy szczęścia, które wylewał rozbitek na jej widok i na tak nieoczekiwane zakończenie feralnej dla niego żeglugi. Bo spodziewał się najgorszego. Rozdryfowany i rozbrojony ze wszystkich nadziei myślał o tym gospodarstwie wiedźmy, że to odległy kraniec najdalszego, że to gospoda pożerająca mężów, że to wieś niszcząca męskich mocarzy, że to pułapka bez uzasadnienia, bo raz bywa wyspą bezdrzewną, a drugi raz tonią morską, albo i górskim grzbietem pełnym przybrzeżnych raf podwodnych. A nie był w tym osądzie osamotniony, bowiem powtarzał tylko ogólnie panującą opinię o owym odległym Kraju Wawióry. Musiał więc zapłakać nad tym, co go nieoczekiwanie spotkało.

Czarownica ochoczo przedsięwzięła uciążliwą wyprawę ratunkową do dryfującego rozbitka, żeby go do brzegu dociągnąć. Ubiegła w tym nawet dwójkę czujnych ptaków, które postawiła na straży u swych bram. Jej wyciągnięta pomocna dłoń spotkała się z męską ręką, co wyglądało tak, jakby dwa przeciwstawne bieguny, dwie obce sobie strony, dwa różne wybiegi, wyszły sobie naprzeciw, a ciemność na chwilę zrównoważyła się ze światłem. – I żeby chciał



tylko bez strachu rozpocząć rozmowę, myślała pełna obaw, bo widziała, jak ukrywał wstyd swojej słabości i jak każdy chłop nie przyznawał się do płaczu. A lzy, nic sobie z niego nie robiąc, spływały mu po twarzy i nie były żadnymi kropelkami morza, które, tak samo słońce, nadawało się na usprawiedliwienia. Pal jednak licho te lzy! Najważniejsze to, żeby rozmawiał i żeby stawało się światło. Bo nie jest tylko Żeglarzem, jak to chciałby bez końca tłumaczyć i zacierać inne domysły. Bo przecież Fafuła potrafił słowami świat kreować i słowa były najważniejsze.

Jest w tym sporo racji, bo opowiedzieć mógłby choćby o niezwykłym ptaku, którego poznał osobiście, ale nie opowie. Ten Samio, bo o nim mowa, pozostanie zawsze jako niedomówienie zawieszony pomiędzy Fafułą Rybakiem a Kowalem Alfem. Wawióra najpewniej by nie zrozumiała tej dziwnej relacji i wynikających z tego rewelacji. Kowal kiedyś wyróżnił się szczególnie, zadał się z Samio i jego robota stała się podejrzana. Fakt przekuwania czegoś w coś na wodzie a nie w kuźni zakrawał na prowizorkę, ale prowizorką wcale nie był. Łowienie wtedy ryb wyglądało na nieszczera wymówkę, bo kowal rozmiłowany w wodnym żywiole i jeszcze rybak na dokładkę, nie trzymały się kupy. Stary Rybak zadreślał się uczuciem zazdrości, że tamten zamiast niego złowił potwora i zawsze pozostało to jak wstydliva zadra. Wiedźma nie musi tego wiedzieć.

Dobrze że chociaż nie zaprzestaje pytlowania językiem. Może sobie słuchać, że jest przemocznym gamoniem i że z porywów swego dobrego serca tak sumiennie wyrwała go ze słonych odmętów. Pozostanie jej własnością, więc nie musi się ku niczemu śpieszyć. Prawo każdego brzegu bezwzględnie pozwala przywłaszczać sobie wszystko wyrzucone na brzeg. Czy wylowiony, czy wyrzucony, tak samo byłby jej przynależny. Uciekać od tego nie warto, a chyba też i nie można. Bo już wtedy do niej należał, gdy zanurzony w swoim popołudniowym fotelu dryfował przez dziedziny wyobraźni, nie wiedząc, że do niej cały czas dryfuje. Każde popołudnie było takim nieogarnionym męskim morzem, którym mężczyźni dopływają do ciemności nocnych. Każda noc staje się powtórzeniem mroków Północy. Złej czarownicy boimy się zawsze jak dzieci, a ona nie jest aż tak bardzo zła. Bo jeżeli Fafuła tylko coś nowego

dla niej wymyśli i coś usprawni w tamtej mrocznej rzeczywistości, to stara mu obiecuje, że zwróci mu wolność i będzie mógł sobie odplłynąć na swoje Południe.

Gdyby było tu trochę światła, mówi mu z wyzywającym przekonaniem, świat dokoła nabrałby sensowniejszych wymiarów, ład pozyskałby kontury i kształty, wyroiłyby się pochowane w domysłach zatoki, półwyspy i przylądki, a przybrzeżna piaszczystość dzikiej plaży mogłaby zazielenić się roślinnością. Byłoby wtedy piękniej i łatwiej można by było jakiś wynalazek do tego obrazu dopasować. Rozmyłoby się też przekonanie o strasznym cmentarzysku, a ślady po zachłannie rozdrapanych wrakach, które rozbiły się dawniej u wrót gospodarstwa wiedźmy, i kości po uśmierconych marynarzach już nawet w wyobraźni nie mogłyby nikogo wystraszyć.

Fafula może się domyślić, że chodzi babie cały czas o Słoneczkę, bo tylko ona usprawiedliwia rozmowę o świetle, ale nic o swych domysłach nie powie.

Wawióra tymczasem przechodzi do nie zamkniętej jeszcze sprawy zimorodka. Tak to pojawia się kolejny ptak, a razem z nim powraca zachęcający casus złotego jajka. To złoto rozlane tak bezmyślnie na siedem stron Północy (była przecież ciemność, gdy odbywało się tamto morzem dryfowanie, a zatem obligatoryjnie wszystko zaliczyć można do Północy) i zimorodek, który nie wiadomo gdzie poleciał, domagają się wyjaśnień. Jak z tym było naprawdę? I czy aby tak było?

Bo siedem karłów nad tym się głowi i punktów zaczepienia szuka, ale nic z tego, bo nie udało się poruszyć im tego do przodu ani na jotę.

Dobra jest myśl, że Alf na pewno by coś zrobił i niejedno naprawił. Nie on, który jest tylko Żeglarzem, ale tamten kowal, taka złota rączka, przekułby każdą rzecz w inną, gdyby go o to poprosić. Można by było to zasugerować wiedźmie. Alf Kowal winien zostać jej rozbitkiem i zaprowadzić u niej nowe porządki. Ale czy do czegoś takiego dojdzie? Potrzeba dużo słów i naprawdę długiej rozmowy, żeby do tego doszło. Na razie jednak tylko baba przełamuje milczenie i może, do pewnego stopnia, nieufność.

Należy więc opowiadać, o czym wie dobrze Fafula Gaduła, bo

mówi i zanudza i sądzi, że tego nigdy nie może być za wiele.

MIMO MODNYCH OSTATNIO UCIECZEK moje podró-  
żowanie niezmiennie nazywam i nazywać będę wyprawą. Porzuci-  
łem wprawdzie niezastąpione kiedyś ryby, ale nie wymienilem ich  
na inne zajęcia. A, jakby na osłode, pozostawiłem sobie owo pły-  
nięcie, które nie odseparowało mnie przecież od poprzednich za-  
chowań. A reszta nie zawiera żadnych analogii.

Jest tylko czas płynięcia i czas odgadywania przemian związa-  
nych z tym płynięciem. Na morskim bezmiarze trzeba odnajdywać  
szczegóły, żeby, kierując się nimi jak pomocnym wzorcem, móc  
płynąć dalej i nie tracić uzasadnienia w tym płynięciu. Ale błędne  
odgadnięcie szczegółu albo mylna jego interpretacja nie spowodu-  
ją, chociaż tak by się mogło wydawać, zboczenia z wytyczonego  
kursu – pojawi się najwyżej dłuższa nitka drogi do celu. A kiedy  
nie ma mowy o żadnej pomyłce czy zagubieniu się pośród żywio-  
łów, bawienie się w namierzanie szczegółów jest zbędnym poszu-  
kiwaniem; niczego nie psuje, a staje się mimowolnym dostosowa-  
niem do jednostajnego rytmu przyływów i odpływów. A jest to  
tak niewidoczne dostosowanie, że można myśleć o stałym pozo-  
stawaniu w miejscu. Ale przecież żegluga ma to do siebie, że trwa-  
my w niej jak w zawieszeniu i nudne przenoszenie się z fali na falę  
jest prawdziwie pierwszym symptomem halucynacyjnego oddziały-  
wania morza na zmysły. Gdy więc rozpoczyna się płynięcie, wy-  
miar miejsca chowa się za horyzontem, a przestrzeń przekształca  
się w doskonalewodną półkulę. Utrzymanie się na wierzchołku tej  
niewymiernej rzeczywistości, ów przejaw początkowego uniesienia  
żegluga, szybko staje się ryzykownym staczaniem się w powstające  
dno. Półkula morska, nie potrafiąc jakby utrzymać wyobraźalnego  
ciężaru, odgina się w drugą stronę, żeby cały ciężar wessać i two-  
rzyć tym wsysaniem wklęsły menisk. Stąd łapanie się czegokol-  
wiek, każdej iluzyjnej idei, byle zapomnieć choć na chwilę o tym,  
co na morzu, bywa wybawieniem z napadów nieukrywanego strach-  
u i stwarza ułudną teorię, że płynięcie jest wymykaniem się cią-  
głym z owego najniższego poziomu menisku i zaprzecza również  
tej niewiarygodnej teorii. Strach zsynchronizowany zresztą z ryt-  
mem przyływów i odpływów szybko zapada w przeczualny tyl-  
ko stan odrętwienia i staje się drugim na morzu potworem, który

kołysze żeglugę. Menisk, na przemian wklęsły, na przemian wypukły, nakłada się na przyływy i wymyka się odpływom. Oba potwory bawią się, a ich zrównoważone siły i możliwości nie wychodzą poza przyjęty schemat. Niewykluczone, że to też najzwyczajniejsza morska halucynacja, której nie przeczuwają zmysły, bo dowierzają tej złudnej homeostazie żywiołów, a inaczej nie mogą.

Tak to Fafała musi opowiedzieć Wawiórze, że fascynacja, lęk, a potem ospałość nie dopomagały w geograficznych poszukiwaniach. I tak cały dzień pożarły tonie morza, a znikąd nie wypatrzył sobie niczego, co by ukierunkowywało podróż. Dopiero krwawiący koniec dnia, rozedrżany słup czerwieni przeprowadzający wodę do sfer nocy, wypowiedział mu południowy kierunek płynięcia. Ale było już za późno. Za dalą jakiegoś lądowego występu rosły jakieś drzewa, ale zmrok i odległość przytłumiały ich charakterystyczne cechy i były to jedynie jakieś drzewa, które utworzyły jakiś przybrzeżny las, co naocznie stwierdził dopływając do brzegu. Na wilgotnym piasku ostrzegawczo zazgrzytały rozdeptywane muszelmaki. – Przed czym mogły ostrzegać, gdy dokoła był spokój? Nie miał pojęcia. – Owe nieodgadnione spirale znaczeń, odpryski podmorskich ogrodów porzucone na wodno-brzegowej granicy, nieużyteczne już przeżytki innego świata. Któż i po co tak je bezładnie porozrzucił?

Po zmierzchu kolory mieszają się, dzienne wyjaskrawienia zastępuje mimikra, trudno więc poznać, czy rzeczywiście blisko rośnie prawdziwy las. I będzie to raczej przecucie, że blisko rósł las. Dlatego Fafała nie zagłębi się w lesiste ostępy, ale postanowi przeczekać z tym do rana. Bezpieczniejszą bazą będzie brzeg, bliższy margines ucieczki. Czy nie zaśmieje się kiedyś, wspominając ten dziwny wieczór i nieporadność wysyconą strachem, albo przecuciem strachu? Wysilek wyciągania łodzi na piasek zagłuszy niepokój, a kiedy łódź przechyli się na nierówności gruntu i wywróci się do góry dnem, nie zechce jej poprawić i tylko wsunie się pod spód tego wehikułu morskiej próby, żeby chociaż w ten sposób osłonić się przed chłodem i przeczekać najgorsze godziny nocnej cmy. Na koniec zagrzebie się jeszcze w piasku, odcinając się tym od wilgotnej bryzy morskiej, lecz nie pozbędzie się uciążliwego uczucia zimna. A potem zaśnie kamiennym snem rozbitka na bezładnej wy-

spie, któremu poza pożywnym snem, niosącym konieczne odprężenie, na razie niczego nie potrzeba do szczęścia.

Nad ranem obudzi go niewyraźna rozmowa i leniwe szuranie nóg po plaży. Mrok będzie wtedy ustępować przed pierwszymi chwilami poranka, więc z niedowierzaniem – dostatecznie odrętwiały niewygoda ułożenia pod łodzią i dlatego nie przejawiający chęci szybkiego opuszczenia nocnej kryjówki – obserwować znacznie dziwne zjawisko przemiany drzew w ludzi. Oto las utraci iglaste korony, żeby tym zyskać puszystość włosów, z sęków porobią się oczy, uszy i nosy, kora spierzchnie się w zaróżowioną skórę, dorosną ręce i nogi... Ta pokraczna metamorfoza – dlatego pokraczna, bo stopniowa, a nie jednoczasowa – szybko dobiegnie końca i wyda się nierealnym przemytem zmysłów. Bo czy miał coś oznaczać taki ucłowieczony krajobraz? Fafuła nie uwierzyłby, gdyby nie widział, ale przecież widział. – Chyba, żeby to była kolejna jego halucynacja.

Nawet po przemianie nie byli to zwyczajni ludzie i czegoś im brakowało, lecz nie wiadomo było, czego. Nie zwracali uwagi na to, co mieli obok siebie, nie zaciekała ich przewrócona łódź. Zajęło ich za to dokładne porządkowanie terenu, który przedtem porastał drzewami. Zbierali tam jakieś żółte kamyki i kamienie, które potem dokładnie zakopywali w piasku, a żadna okruszyna nie umknęła ich pracowitej czujności. Czerń wysmołowanego dna przewróconej łódki nie nadawała się widocznie do takiego porządkowania, nie z tego lasu brano drzewo na jej budowę, więc może dlatego dano jej spokój i nie zdemaskowano podglądającego Fafuły.

Strachliwie się wszystkiemu przyglądał i ani myślał wychodzić z łódki w takiej chwili. A tego, czego nie zobaczył, na pewno dołożył, żeby przeżyty obraz miał ręce i nogi. – I miałeś szczęście, śmieje się Wawióra, że nie przyłączyłeś się do owej pracowitej gromadki zajętej gromadzeniem bursztynu. Stałbyś się wtedy jednym z nich i już na zawsze byłbyś to drzewem, to człowiekiem. Bo tamci bywają i ludźmi, i roślinami. Jako ludzie ryją bez końca przy morskim piasku i gromadzą tam swoje bogactwa, a przy tej pracy myślą o odpoczynku. Więc potem odpoczywają, ale to przenosi ich w drzewne istnienie. Chwilowa ulga wynikająca z tego przecho-

dzenia szybko pierzcha, bo kiedy są już drzewami, myślą o odzyskaniu ludzkiego wyglądu. Wszystko się zatem w kółko powtarza i będzie tak trwać i trwać, bo żadna myśl tego nie potrafi odczarować. Pytanie, czy naprawdę tego chcą. Są dawnym plemieniem, z pamięci już wyprowadzonym i istniejącym poza wyobraźnym. Pozostała im tylko ta odwieczna wierność sośnie, która była ich plemiennym totemem i na zawsze związała ich ze sobą.

Taka to była sprawa, ale nie tak jak my, Fafuła Gaduła zbyt wielkiej wagi nie przywiązuje do owej pierwszej przygody Fafuły Żeglarza. Przetrawiając sobie skąpe wiadomości, jakimi nas raczy musimy uwierzyć, że kiedyś tamci ludzie zamienią się w drzewa, a nasz uparty podróżnik zepchnie łódź na fale i znowu popłynie największym z szuwarów, a prąd go tym razem pokieruje na zachód, gdzie za horyzontem przelewa się w niezmienności przypliwów i odpływów zagadkowa Wyspa Kobiet, nie wydająca się najlepszym portem, a do tego przez niektórych znawców dosadniej nazwana Wyspą Syren. Skłaniać to by musiało do szczelnego zalepiania uszu woskiem, by nie słyszeć syreniego zwodniczego śpiewu, który ma żeglarzy sprowadzać na manowce, jak głoszą pogłoski. W rzeczy samej śpiew ten jest tylko jazgotliwą rozmową, która charakteryzuje plemię rozjęzycznionych bab i tylko przez delikatność może być nazywana śpiewem.

Kobiety z Wyspy Kobiet nieraz sprowadzały marynarzy na bezdroża, a mechanizm spadających wtedy nieszczęść był tak samo niejasny, jak niejasne są początkowe intencje wyspiarek. Na widok obcych wychodzą bowiem tłumnie na brzeg i osłaniają się swymi nieodłącznymi tarczami. Są one dwustronne, bo na jednym brzegu wymalowany został emblemat wywalonego na brodę jężora, a motyw innego wstydliwego żeńskiego organu wypełnia cały rewers. Ale nigdy nie wiadomo, co jest na pierwszym, a co na drugim miejscu w danej chwili. Nawet same kobiety nie zawsze to wiedzą. Wyraźniejszym akcentem zdobniczym wydaje się być dookolny motyw tamg, inny dla każdej tarczy i przez to skuteczniej je rozróżniający. Tamgi owe, jako stare, bo jeszcze scytyjskie znaki przynależności, wskazują na jawny związek ze wspólnotą Amazonek, o czym należy pamiętać. Zaakcentujemy wtedy dokładniej tożsamość wyspiarek.

Ale swoją drogą, czy to nie pomyłka? Ten cały babski raj spycha mężczyznę do roli posłuszno-służebnej. I można by dalej było eliminować męskie znaczenie, tak jak je wyalienowano przedtem, ale od czasu do czasu jakiś śmiałek wpływa na te wody nie zasłaniając sobie uszu i Amazonki pomimo swych zagadkowych tarcz nie bardzo wiedzą, jak z nim mają poradzić. Zasłanianie się tarczą jest odsłanianiem babskiej strony problemu. Nie wymknie się temu i Fafuła Żeglarz, który płynie do krainy najczarniejszej z czarnych, ale w tym miejscu musi zaangażować się w swoją drugą przygodę.

Należy tutaj wspomnieć, że kiedy Fafuła Żeglarz przycertoli się za jakiś czas na okrągłopłaskiej cercie do swej piątej przygody (nie zakończy się bowiem jego podróż na dwóch tylko przygodach teraz przez nas analizowanych), Fafuła Gaduła podąży wtedy ku Wyspie Kobiet i dopomoże temuż Fafule Żeglarzowi w wydostaniu się z amazońskiej niewoli. I nie będzie to wcale nie na czasie i nie na miejscu, a niedola zastąpi niewolę, bowiem ta zabrzmiałaby zbyt patetycznie, bez tamtej żalosnej poprzedniczki. Znowuż certa, zwana inaczej wimbą i powtarzająca tym nazwę wyspy Wimby, z której przyplłynął Żeglarz (co jest pogłosem czwartej przygody i także wyprzedzeniem, więc dokładnie nie musimy się nad tym na razie rozwodzić) nie pozwoli, angażując w to swój rybi charakter, żeby ją kilkakrotnie wykorzystywać. Gaduła na szczęście będzie miał łódź podarowaną mu przez Wawiórę, żeby płynąć mógł po Alfa Kowala. Stąd Żeglarz podryfuje dalej na tej łodzi, a wypad Gaduły ku zagrodzie wyspiarskich Amazonek odbędzie się na żółwiu. Ten znów żółw w tym miejscu wszystko poważnie pokomplikował, zatem Gaduła musi wyjaśniać, że żółw pojawia się po raz pierwszy w przygodzie piątej i w przybrzeżnych wodach koi poparzenia pamiętnej przygody trzeciej, nie po raz pierwszy zresztą i nie po raz ostatni.

Ale powróćmy jeszcze do Wyspy Kobiet i pozwólmy Amazonkom (mają przecież wtedy zdecydowaną przewagę nad wszystkimi sytuacjami) wyciągnąć łódź z przybyłym Fafułą Żeglarzem na brzeg rozciągniętego szelfu i rozdrapać ją na drobne kawałeczki, a jego samego przeprowadzić w głąb żeńskiej wioski i tymczasowo umieścić w nad wyraz lichej komórce, bo dobrze wiedzą, że i tak

sam wpływ nie przedostanie się przez szerokie niepewności morza. Nie zadbały o solidniejsze więzienie, a jak nie miały w tym racji okaże się po zmierzchu, kiedy Fafuła Gaduła przyplynie na żółwiu i... wymieni się rolami z Fafułą Żeglarzem, żeby takim sposobem mógł on zakończyć drugą bałtycką przygodę.

Trzymajmy się już tego żółwia i rozpoczynającej się trzeciej przygody. Miarowo i systematycznie przemierzy on słuszny odcinek morskiego bezmiaru, by jeszcze przed wschodem kolejnego dnia (powiedzmy, że w bliżej nieokreślonym czasie przed wschodem) przypląć w bliskie sąsiedztwo następnego lasu. Doświadczenia nabyte pośród drzew pierwszej przygody na nic się nie przydadzą i Fafuła Żeglarz nie ominie nowych trudności. Poranna zorza zainicjuje nieoczekiwany i najprawdziwszy fajerwerk: drzewa roziskrzają się naraz czerwonym ogniem i wybuchną rojem tysięcy świetlistych smug, które bzyząc i wymachując skrzydełkami po owadziemu rozlecą się na wszystkie strony, żeby dotykać czego się tylko da i boleśnie parzyć. Wygląda więc na to, że te pełne żywego ognia pszczołki (inaczej się nie da nazwać tych przebudzonych owadów) przygotowały się chyba do spalenia Fafułowej skóry. Jednak cały czas osłania się on żółwim pancerzem i naśladuje w tym żółwia, który nie czekając na nic, schował się pod swoją skorupą i wszystko mu jedno.

Sens albo bezsens tej przyrodniczej konfrontacji, czyli motyw trzeciej przygody najwyraźniej promuje rolę żółwia. Ale czy szukałby on zamorskiej Wimby, gdyby nie nabył poparzeń? Albo, czy potem zainicjowałby wyścig z niedościgłą wimbą ku piątej przygodzie, żeby stamtąd zabrać Gadułę i popłynąć z nim ku Amazonkom? Bo co by było z Żeglarzem, gdyby żółw sobie inaczej popłynął? – Pytania są prawdziwym naśladownictwem drogi żółwia przez zimny Bałtyk: płyną także do drugiej przygody, a stamtąd do trzeciej, później do czwartej i piątej, ale nie dalej, bo zawracają wtedy do przygody drugiej i stamtąd przywożą Fafułę Gadułę, a stąd zabierają Fafułę Żeglarza, żeby wszystko się mogło powtórzyć. Taki jest bowiem porządek zdarzeń i ich obieg jest wyraźnie zamknięty.

Niech więc teraz Fafuła Żeglarz ucieka na Wimbę na poparzonym żółwiu, który goni za wytchnieniem od rozżarzonych pszczoł



i wydobywa się tym samym z trzeciej przygody, do owego przecięcia się traktów z północy na południe i ze wschodu na zachód zmierza. Fafuła Gaduła mówi – ale tutaj jest dziwnie oszczędny w słowach – że ta wyspa to bardzo już stare wypiętrzenie tektoniczne, co i bez niego wiemy, bo na bałtyckich szerokościach geograficznych nie może być przecież mowy o żadnych współczesnych ruchach górotwórczych czy o wzmożonej działalności wulkanicznej. Jest poza tym niewysoka i pełna równinnych łąk, gdzie swobodnie zwykł hulać niejeden wiatr. I zachowały się tam jakieś ruiny! Ich stare kamienne pozostałości porysowane niejasnym zygzakowatym szyfrem stale wietrzeją, więc szyfr jest coraz bardziej niejasny. A poza tym kamienie nie powtarzają żadnego głazowiska z dalekiego południa, bo nie mogą powtarzać. To tylko Żeglarz chciałby jasnych analogii, żeby wietrzyć w tym wskazówek do dalszej żeglugi, bo niejasna i kręta jest droga na Mroczną Północ.

W wirze kolejnych poszukiwań, w pogoni za nie wiadomo czym, droga podróżnika i żółwia rozdwiają się. Po wylądowaniu na wyspie Fafuła gna w jej głąb, a zwierzę początkowo malpuje ludzkie ruchy i niezdarnie czółga się po Fafułowych śladach prowadzących w głąb wyspy, ale szybko zniechęca się i zawraca, i poddaje się falom. Słona woda wżera się w niezagojone poparzenia, a to boli, chociaż jeszcze przed chwilą nie były takie dokuczliwe. Żółw przelamuje ból i płynie, bo musi płynąć, żeby udowodnić najpierw sobie, a potem też przyłączającej się do płynięcia wimbie, że nie jest najgorszy, a wyścig z samym sobą oraz płaską rybą musi wygrać.

Jak rozumieć tę piątą przygodę? - pytamy rozgadanego Fafułę Gadułę, a on opowiada, że wyspa jest jakby opuszczoną bazą wypadową. Stąd można było zawsze uragać każdej ze stron świata, ale i zdobywać świat. Z mglistej przeszłości jacyś Goci, Normanowie i Wikingowie w pokrzyżowanym ogniu zamiarów grabieżczych i kolonizacyjnych wysuwają się w kierunku naszej wyobraźni, która podpowiada, że używali tej wyspy nieraz jako naturalnej przystani i pomostu, skąd można było zdobywać i dzielić Bałtyk. Każda metoda była jednak tylko półśrodkiem, więc faktorie zdobywców szybko przekształcały się w ruiny. Do dziś pozostawione ślady mało wyraziście relacjonują o tamtych niezrealizowanych planach,

bowiem tak je mało umiejętnie przerwano. Jedyłą godną prawdziwej uwagi tajemnicą zdają się być niewytłumaczalne tutaj ławice cert, od których ten daleki ostrów wziął swoje nazwanie. Owe ryby, które boscy smakosze – wedle lokalnej legendy – tylko do połowy zwykli zjadać, a drugą połowę niezmiennie wyrzucali do morza, żeby odrastała i żeby znowu mogli tymi rybami nasycić w przyszłości swoje apetyty na nie i nadal tylko do połowy je spożywać, od czego stały się jednookie i płaskie i do innych ryb mało podobne, mogłoby być piątą przygodą zagadką, zakasując równiny, ruiny i kamienie.

Traf chce, że w owym czasie pojawiają się na Wimbie trzy przelotne żurawie i opadły właśnie na ląd, by pośród porysowanych kamieni wykonać swój dziwaczny taniec, który zwabił Żeglarza, żeby z ukrycia podpatrzeć mógł ich płasy i wysłuchał sobie takiej zagadkowej rozmowy:

- Czy wiecie, że Fafuła Rybak jak w czterech stronach świata tkwi pośród czterech Wykrzykników? – zapytuje jeden z żurawi. – A każdy wielkolud wydaje się tym prawdziwym. I nie bardzo też wiadomo, do czego ten prawdziwy Wykrzyknik może być Fafule potrzebny...

- To jeszcze nic! – wtrąca się drugi. – Fafuła Gaduła wybiera się na Wyspę Amazonek i nawet nie wie, że ich królowa, czyli inaczej Vulpecula, ma na niego apetyt. Będzie tam uwięziony, lecz to najłodsze uwięzienie nie na długo da się utrzymać w ukryciu. Potem Vulpecula zamieniona przez siedem gnomów w złośliwą staruchę zostanie przeniesiona na Najdalszą Północ. A Tycichłop, jeden z owych gnomów, będzie stróżem jej niedostępnych wrót...

- A co tam mówicie! – odzywa się na to żuraw trzeci. – Fafuła Żeglarz już przyplłynął tutaj. Jest gdzieś w pobliżu, ale nie wie dokładnie, co ma ze sobą zrobić. Ale gdyby wiedział, że największa z cert szykuje się do prestiżowego wyścigu z żółwiem, na pewno by jej dosiadł. Bo inaczej z wyspy nie można odpłynąć. I nigdy z Wimby nie odpłynie, jeżeli się spóźni...

Nie ma na co czekać. I Fafuła Gaduła mówi, że Żeglarz dogoni wnet certę, żeby na jej wyokrąglonym grzbiecie dopłynąć do Zatoki Złudzeń. Owa zainicjowana oratorskimi umiejętnościami Fafuły Gaduły zatoka będzie kolejną przygodą na bezkresnym morzu. To

tam właśnie wzrok porażony magią potrafi piaszczyste wybrzeże bez różnicy zamienić w przedpole ogromnych gór albo płaszczyny wielkich zarośli, a także i w różnorodne potworności wzbraniające wychylać nosa poza poblizsze plaży. A wszystko to zaś po to, żeby zółw z powrotem chciał płynąć do początków swej drogi, czyli do drugiej Fafuły Żeglarza przygody. Bo jak spieszą Gadule do Amazonek, nie trzeba opowiadać. Aż dziwne, że nie zapomniał o przekazaniu ostatnich wskazówek na drogę skołataniem Żeglarzowi.

A mówi mu Gaduła, że z owego miejsca droga już będzie prosta. Wystarczy dziób łodzi nakierować na północ i tego kierunku ciągle pilnować, bo zboczenie z kursu może spowodować przedostanie się w bliskość wirów, które wciągają nieostrożnych śmiazków aż do podziemnego świata umarłych. A poza tym wyjątkiem morze jest spokojne, bo uspokojone obyczajnym wiciem zimorodkowych gniazd na falach i żadna nawałnica nie zakolysze wodą, więc raz-dwa można do Wawióry dopłynąć.

Trzeba tylko uważać, bo są jeszcze po drodze dwie skały wyostrome morzem na gładko. Na każdej ptak straszny czuwa na podróżników zaczajony. Na lewym ostańcu Ptak Ognisty stoi, na prawym – Wielki Żuraw. I kiedy jakiś statek na morzu wytopię, zrywa się ten z prawej strony, by dziobem o maszt zaczepić i w powietrze unieść, żeby potem z góry na skały spuścić. A wtedy nadlatuje drugi z nich i ognistym podmuchem dopala szczątki wraku, a popiół po wodach rozsiewa, żeby żaden ślad nie pozostał. Tak im przykazała wiedźma i dokładnie za jej radą wszystko czynią. Ale i na nich jest niezawodny sposób: łódź z przystani Wawióry wzięta, z ledwie wystającym nad wodą masztem nie nawlecze się na dziób Wielkiego Żurawia, a Ognisty Ptak też jej nie zdoła zapalić, gdy będzie zanurzona w morzu. A taką łódź ma teraz Fafuła. Zresztą niewykluczone, że tak małej łupiny nie dostrzegą czujne oczy ptaków.

Najlepiej jednak omijać te skały z daleka i koło Ozylii, małej i bliżej brzegu przysuniętej wysepki, poszukać wygodniejszego przepłynięcia. A korzystając z owej drogi pół siły i pół przebiegłości swojej można oszczędzić, co potem będzie jak znalazł przy Bra-mach Wawióry... – Tak głos Fafuły Gaduły, jak najciemniejsza

noc, albo jak bez początku i końca morze, kołysze Fafułę Żeglarsza, gdy na łodzi z piątej przygody wydobytej płynie i taki z niego teraz Stary Rybak, jak, bez obrażania, z Gaduły Amazoński Król.

Skończył się czas połowu ryb, a jest czas żeglowania. Coś przeminęło, ale pływanie istnieje. Płynie zatem Fafuła i myśli, czy nadal jest z nim mały zimorodek. W ciemności nie widać, czy ta drobina pierza na kolanie to ptak, który ściele ciepłe gniazdo, by ciepłem jeszcze raz wygrzać starcze bóle i przepędzić uciążliwe kurcze nóg. Nawet mimo tego, co potem będzie, dobrze jest mieć takiego ptaka. Nawet jeżeli wysiedzi on potwora, a ten połakomi się zaraz na małego ptaka i połknie go, chociaż to taki niewielki kąsek. I schowa się zaraz w podwodne głębiny. Jak Samio, potwór wodny i potwór powietrzny, a także potwór ziemi i ognia, czyli pan czterech żywiołów. Wymieni się miejscami z małym zimorodkiem, żeby w naturze nic nie przepadło. A tamte wszystkie zaprzęszłe sagizaury, stegozaury, aukylozaury, pleziozaury, megalozaury, bronchozaury, camarazaury, tyranozaury, iguanodony, archeopterykle, ovireptory... albo tylko mała myszka, nawet ważniejsza od tamtych, to też tylko wymiana w naturze i czasem ociera się o nas jak nie wiadomo co.

W CIEMNOŚCI WSZYSTKIE WARTOŚCI są zrównoważone. W ciemności wszystkie rzeczy są czarne. A ciemność jest Północą Wawióry, myślał Fafuła Gaduła, a tymczasem stara powiedziała, że nie wykręci się żadnym Alfem, ale musi sprawić, żeby Alf tu był i pokazała głęboką studnię bez wody, gdzie ukryła jego spokój sumienia. Będzie musiał odpłynąć i gdyby nawet nie myślał wracać, wróci i tak, bo nie można nigdzie uciec, gdy sumienie jest nieuspokojone. Dlatego odda mu zaraz najszybszą łódź i śmiać się będzie, kiedy odpłynie, by znowu wpływać do portu i znowu wpływać, i znowu wpływać... Tak miało być, aż powróci z Alfem.

Fafuła Żeglarsz, ten morski milczek, niczego by nie zdradził, ale przemieniony w Fafułę Gadułę rozmawiał z czarownicą jak najęty i wymyślał mu się ten Alf mimochodem. Mógł być tylko wymyślną wymówką i nikłą szansą ucieczki. Ale masz ci los! Fafuła Gaduła bez przerwy gadał i gadał, lecz słowa w tym północnym kraju widocznie traciły na kreatorskiej sile, bo wcale nie kreowały.

A najlepszym tego przykładem mogła być Wawióra, która, chociaż najmocniejsza w języku, niczego nie umiała tym językiem stworzyć. Teraz jak nakręcona namawiała go, żeby przełamał wreszcie leniwą ospałość i wyruszył po Kowala Kowali, ale nic z tego nie wychodziło. Mógł przyspieszyć tym swoje upragnione wyzwolenie, ale nie przyspieszał. A tylko z braku innych widoków na przyszłość uwierzył tej starej wiedźmie i początkowo w wyobraźni, a potem naprawdę popłynął na południe, gdzie spotykał Fafułę Żeglarza i dalej płynął – nie zapominajmy, że cały czas pozostawał Fafułą Gadułą – i przez nieodgadnione fale przedzierał się ku Wyspie Kobiet, gdzie Vulpecula, ta najsprytniejsza lisiczka Amazonek nie poddawała się jego zapewnieniom, że jest oryginalnym Fafułą Żeglarzem do Bram Wawióry płynącym – nie myślał o tym, ale i za dobrze nie wiedział jak to jest możliwe – i jako Fafuła Żeglarz popadał w sidła niewoli, gdzie jego spokój sumienia pozostawał ciągle w głębokiej lecz wyschniętej studni.

Skoro tylko spróbował od początku szukać w morskim wędro-  
waniu skutecznej ucieczki, zaraz powtarzał jeszcze raz wszystko i powracał do punktu wyjścia, bo do przerwania zaklęcia tylko Alf mógł się przysłużyć. I już wiedział o tym, ale nie szukał Alfa i trochę się tego obawiał. Bo nie mógł wyobrazić sobie, żeby Kowal zgodził się na niepewną wyprawę do Starej Wawióry. Po co miał zresztą tam płynąć? I jakimi obietnicami można go było skusić? – Nie było takiej rzeczy na świecie, na którą dałby się bezwiednie nabrać. I nie wydawał się łatwowiernym chłystkiem, którego zadowoliliby pierwszy łatwy kąsek. Alf, poza tym, to nie marynarz, żeby zachłystywał się morzem i poddawał się hipnozie bezbrzeżnego falowania. Woda, w jego mniemaniu, była jedynie płynem, w którym trzeba studzić rozgrzane i przekute żelazo, żeby go takim sposobem zahartować. Na inne pozytywki płynące z wody nie zwracał uwagi, a z argumentu, że jest przecież oczywistym żywiołem, żartował, że może i tak, ale dopiero po ogniu. Nie byłby to zresztą zagorzały kapłan ognia, gdyby inaczej sądził. A jeden raz tylko, jak wiemy, sprzeciwił się tym zasadom, gdy skłonił Starego Rybaka, żeby go zabrał na ryby. Ale i to wygląda na coś dwuznacznego i wcale nie jak sprzeciw. Bo przecież wtedy, jakby dla jakiejś zabawy i prawie w transie, wykul potwornego Samio i niewykluczone, że

wcześniej tak zaplanował, przemyślał i cały się na to przygotował. A woda była jedynie tłem i wygodnym parawanem.

Alf wszystko potrafi i można powiedzieć, że zrobi to, o co go Fafuła poprosi. Wygląda zatem, że Wawióra wie, czego chce. I zalóżmy, pomyśli sobie Gaduła, że zechce mu się do tych jego rzeczy przekuwania młoteczka z bursztynu. Nie wiedzieć czemu, właśnie z bursztynu! I nie wolno będzie się niczemu dziwić, bo jeszcze się obrazi. Trzeba raczej pójść jak najszybciej nad Bursztynowe Wybrzeże, na ową pełną niebezpieczeństw plażę, gdzie cię mogą ni z tego ni owego zamienić w drzewo i narażać się samemu. Dobrze, że jest tam chociaż gnom opiekuńczy, do którego można się zwracać o pomoc. Takich karłów jest nad Bałtykiem siedem, czyli dokładnie tyle, ile i pułapek. I są to Tycichłop i Fiord, Kosoozeczek i Nochal, Gumowouszek, Ostrojęczyczny i Leworęczny. Każdy z nich ochrania przed niebezpieczeństwem i robi to we właściwym sobie sposobie, a wszystkie owe sposoby są dobre.

Można zatem poszukać malucha Leworęcznego, który nadzoruje całym Bursztynowym Wybrzeżem i poprosić go grzecznie o młoteczek dla Alfa. – Ale! Ale! - zaśmieje się tamten z owego dziwu nad dziwami, bo kowal i bursztyn... I powie, że czemu nie, ale coś za coś. A zażąda oczywiście amazońskiej przepaski (!).

Według Gaduły jest to jeszcze dziwniejsza rzecz niż bursztynowy młoteczek, ale nie może się dziwić. Migiem więc trzeba mu lecieć na Wyspę Kobiet, do gнома Ostrojęczycznego, żeby go prosić o tę amazońską przepaskę, bo dzięki niej dostaniemy bursztynowy młoteczek dla Alfa. – Ale, hola-hola! - Ostrojęczyczny powie. Nie bez przyczyny tak go nazwano i język ma nie od parady. – Przepaskę, czemu nie! Ale najpierw mi powiedz Fafułko, po co ci ona? – I kiedy usłyszysz, że to dla Leworęcznego z Bursztynowego Wybrzeża, żeby dał za to bursztynowy młoteczek dla Alfa, zażyczy sobie miodu od słonecznych pszczołek.

Nie należy się i temu dziwić, ale trzeba szybko płynąć do gнома Gumowouszka na dalekie zachodnie wybrzeże, żeby tam miodu uszczknąć od owych najostrzejszych pszczoł. Ale nie skończy się rzecz na tym, bo Gumowouszek pogoni go na wyspę Wimby, żeby mu przyniósł stamtąd zaczarowaną konchę, jakich tam pełno, a którą mógłby każdy swój niesforny rój strofować i do niebiań-

skich uli z powrotem zaganiać. A to już konkretniejsze zadanie.

Im dalej wybiegamy w morze, tym i życzenia gnomów są praktyczniejsze i coraz mniej trzeba się wszystkiemu dziwić. Pożegna więc Gumowouszka i ku wyspie cert, czyli inaczej wimb, popłynię, gdzie najpierw sam spróbuje muszli poszukać, ale wywęszy go Nochal – też nie bez powodu jest to przezwanie gнома z wyspy Wimby – i wypyta o każdy szczegół. A kiedy się już dowie co i jak, rzeknie, że owszem, że będzie muszla, żeby nią Gumowouszek uszczknął miodu, za który Ostrojęczny da amazońską przepaskę, żeby za to otrzymać młoteczek z bursztynu potrzebny dla Alfa, ale... niech mu Fafuła przyprowadzi certę, która zabłąkała się w Zatoce Złudzeń podczas pamiętnego wyścigu z żółwiem i widocznie sama wrócić nie może.

Co na to powie Kosooki, gnom z Zatoki Złudzeń? – Co powie? A to: Że da się zrobić, ale konieczne jest pióro Ognistego Ptaka, w którego blasku da się wyprowadzić certę ze złudzeń nawet nie przenośnych, czego nie trzeba dodatkowo tłumaczyć, więc Fafuła płynie do groźnych skał, gdzie Ognisty Ptak ma gniazdo i od razu szuka opieki gнома Fiorda, i żarliwie go prosi, żeby mu pióro Ognistego Ptaka podarować raczył, za które dostanie zabłąkaną certę, a za tę certę zaczarowaną konchę Nochal mu odda, by za nią otrzymać mógł miód pszczeli, a za niego amazońską przepaskę, której chce Leworęczny za młoteczek z bursztynu potrzebny dla Alfa. Ufffl, zasapie się Fafuła, lecz Fiord tylko ramionami wzruszy i odeśle go do Tycichłopa po drzazgę z wielkiego dębu, żeby nią z Ognistego Ptaka pióro wydłubać.

A Tycichłop nawet niczego słuchać nie zechce, tylko odeśle go do Starej Wawióry, bo to ostatnia i najpewniejsza instancja. I krąg się tym zamknie, i tak na to wygląda, że wcale po nic nie trzeba wypływać.

Bo powiedz, Wawióro, co zrobić? - pyta się Fafuła własnej obraźni. – Alf nie robi przecież żadnej rzeczy, bo nie ma bursztynowego młoteczka. – A bursztynowy młoteczek?! – Musiałabyś swojemu gnomowi kazać, żeby z drzewa dębu dał drzazgę... Tą drzazgą potem Fiord wyskubie pióro Ognistego Ptaka... Tym piórem Kosooki zabłąkaną certę przywoła... Ta certa sprawi, że Nochal da konchę zaczarowaną... Ta koncha ulagodzi pszczoły słó-

neczne i będzie miód... Za miód Ostrojęzyczny da amazońską przepaskę... Za przepaskę Leworęczny bursztynowy młoteczek... – I tak to się będzie ciągnęło w nieskończoność, a Alf i tak niczego nie wykuje, powie ona na koniec, bo nie uwierzy tym wymyślonym bredniom.



[www.photodocument.pl](http://www.photodocument.pl)



## „Z kompleksami, czy bez ...”

Zapis dyskusji redakcyjnej emitowanej w programie  
Radia Białystok 21 marca 2002 roku

**Wiesław Szymański:** Można powiedzieć, cytując Tadeusza Słobodzianka tak: „Większość polskich miast z Krakowem na czele, nie mówiąc już o Białymstoku, ma kompleks prowincji w stosunku do Warszawy. Warszawa ma kompleksy przynajmniej do kilku dużych miast na świecie. W końcu każda żaba ma swojego zająca, a każdy zając ma swoją żabę”. Czy w takim razie ktoś, kto mieszka i pisze wiersze w Mońkach, może mieć kompleks Białego-stoku? Do rozmowy zaprosiłem: profesora Czesława Dziekanowskiego, psychoanalityka, autora powieści „Jasnogród”, poetę - Jerzego Binkowskiego i Jana Kamińskiego, autora książki „Metafizyka prowincji”, z której ten cytat zaczerpnąłem.

Prowincja - to kategoria mentalna czy geograficzna ?

**Jan Kamiński:** Nie sądzę, żeby się udało oddzielić mentalność od przestrzeni akurat w tym przypadku. Przesuwa się to wszystko w stronę tego mentalnego porządku i przestrzeń chyba będzie odgrywać coraz mniej istotną rolę. Jeśli bowiem ktoś chce się kontaktować ze światem i ma możliwości - to znaczy warunki i odpowiednie oprzyrządowanie, to bez problemu może się ze światem kontaktować siedząc w domu i klikając w klawiaturę komputera. Kłopot jest wielce poważny, jeśli chodzi o ogarnięcie świata mentalnie. Można być prowincjuszem w Mońkach i w Nowym Jorku. Zależy to od tego, w jaki sposób postrzegamy świat, który nas otacza, w jaki sposób ten świat próbujemy oswoić i zrozumieć.

**Prof. Czesław Dziekanowski:** Rzeczywiście są ludzie, którzy przestrzeń ogarniają totalnie, to znaczy tacy, dla których nie ma podziału na centrum, peryferie, coś bliżej jakiegoś ośrodka dyktującego mody na przykład i oddalonego od niego. Wiele zależy od tego, jak nasz umysł pracuje, czego jesteśmy ciekawi i w jaki sposób tę ciekawość realizujemy. Myślę, tak się zastanawiając nad tym co może przewyciężyć kompleks prowincji i co temu podlega, że

jest to jego własna energia, pomysłowość, ciekawość świata. Można mieszkać w wielkim centrum urbanistycznym i być wyizolowanym od pozytywnych wpływów tego centrum, ponieważ zawsze trzeba pamiętać o tym, że wielkie centra, zwłaszcza urbanistyczne, skrywają w sobie zarówno pozytywną, jak i negatywną stronę. Po 11 września, po upadku wież WTC, my nie jesteśmy już tak bardzo zafascynowani wielkimi centrami, ponieważ właśnie one są podatne na zranienie. A przecież właśnie to do tej pory kojarzyło się nam z bezpieczeństwem. Myślę, że właśnie to zranienie w tej chwili przywraca swoistą wartość i godność peryferiom czy prowincji. Byłem na Florydzie, w Bostonie, w Chicago, podróżowaliśmy i co się dzieje, okazuje się, że to jest kraj, w którym właściwie nie ma prowincji.

**W.Szymański:** Tam się nie mówi Nowy Jork i reszta, czyli prowincja ?

**Prof.Cz.Dziekanowski:** Według mnie, wyjaśnię - nie jestem stałym mieszkańcem, jestem rezydentem Stanów Zjednoczonych, bywam tam od czasu do czasu - takie pojęcie jak prowincja nie istnieje. Są oczywiście wielkie aglomeracje, ale nie ma czegoś takiego jak prowincja. Tam prowincja jest w cenie właśnie, ponieważ to się kojarzy z przyrodą, z lasem, z ciszą.

**W.Szymański:** Jerzy Plutowicz powiedział kiedyś: „Pewien przyjaciel z Warszawy mówił mi kiedyś: -Co? Wybrałeś Białystok? Przecież to bagno, ciemnota, zacofanie, miasto bez żadnego kulturalnego oblicza. Kiedy spotkaliśmy się po kilku latach, ten sam człowiek mówi do mnie: - Tobie to dobrze, wybrałeś życie na prowincji, gdzie jest cisza i spokój i nie musiałeś się ześwinić”.

**Jerzy Binkowski:** Miłość realizuje się niezależnie od przestrzeni. Pokochałem kobietę, która jest stąd. W ogóle nie istniał dla mnie problem prowincji. Po postu miłość, zaangażowanie to jest najbliższe słowo, energia. To jest sprawa jasności tego wszystkiego, co jest energią. Myślę, że mistykiem można być niezależnie od przestrzeni. I ja jestem za takim funkcjonowaniem gdziekolwiek. Ważne, abym mógł wydobywać z siebie to, co jest najbardziej we mnie odmienne od wszystkiego, co mnie otacza. Poezjowanie to jest ta wartość zmierzania się z konkretem, który domaga się uogólnienia. Być może kiedy nie miałem jeszcze doświadczeń

podróży, nie byłem w Szwecji, Anglii, gdziekolwiek - w Stanach, w Afryce, być może wtedy jeszcze pojawiał się jakiś niepokój. Ale właśnie to zdobywane doświadczenie prowadzi mnie do coraz głębszego poznania samego siebie i rozpoznawania świata jako fascynującego faktu. Jestem poza słowem „prowincja”. Jeśli już, to czasami tylko żałuję, że niekiedy sam jestem tym, który prowincjonalnie traktuje literaturę - ponieważ nie oddaje się jej całkowicie.

**Prof. Cz. Dziekanowski:** Kompleks prowincji sprowadzić można do jednego sformułowania, że jest to poczucie mniejszej wartości. Pytanie - czy to jest rzeczywiście związane z prowincją. Czy ten kompleks, o którym mówi się, że jest kompleksem prowincji, rzeczywiście jest związany z prowincją, w tym sensie z przestrzenią. Przecież zdarzyć się może, że ktoś mieszkający na prowincji może odnieść wielki sukces i on w ogóle nie będzie rozumiał o co chodzi z tym kompleksem prowincji, ponieważ właśnie tu, na prowincji, odniósł sukces, wzbogacił się na przykład materialnie, duchowo czy intelektualnie. Więc myślę, że to jest pewne pojęcie zastępcze, które coś maskuje. Kompleks prowincji jest pojęciem bardzo mglistym, niejasnym.

**J. Binkowski:** Wyobraźmy sobie na przykład taką przestrzeń - wymierająca, obumierająca wieś, gdzieś na głębokim Podlasiu. I oto w tej przestrzeni obumierającej wsi żyją osoby, które tam znalazły sens życia, które właśnie tam znalazły spełnienie. Bez najmniejszego, bez żadnego właściwie poczucia bycia w prowincji czy na prowincji.

**J. Kamiński:** Ale wcale nie musimy sobie wyobrażać. Przecież są takie osoby. Gdzież mieszka Leon Tarasewicz? Mieszka w Walilach, na końcu świata. I okazuje się, że on świetnie funkcjonuje w świecie. Dużo lepiej niż tutaj, w naszej podlaskiej, podbiałostockiej przestrzeni. Nie sądziłbym, żeby problemy miał Sokrat Janowicz. Był to jego wybór, świadoma droga, którą wybrał i robi swoje. Nie odniosłem wrażenia, żeby to byli ludzie, którzy czują się źle w tej przestrzeni. Zgodnie z moją teorią, z moim sposobem postrzegania świata - jeśli człowiek inwestuje w miejsce, które jest miejscem jego, w przestrzeń jemu najbliższą - to absolutnie nie ma powodu, również psychicznego powodu i żadnego psychicznego usprawiedliwienia, żeby odczuwać jakiś niedosyt. Nawet jeśli te inwestycje

się nie zwracają. Bo frajda leży w tym, że się wkłada i to jest jakoś brane.

**W. Szymański:** Czyli kompleksy biorą się z poczucia niedowartościowania, z takiego poczucia wobec samego siebie?

**J. Kamiński:** Myślę, że ludzie wiedzą, iż żyłoby im się lepiej, gdyby się mogli oderwać od tej przestrzeni powiedzmy naszej podlaskiej i że wtedy ich życie jakoś by się dowartościowało i zwaloryzowało. Gdyby to była Warszawa, Berlin, Greenpoint na przykład w Nowym Jorku, gdzie podobno człowiek się obsuwa dosyć nisko w tym porządku ludzkich doświadczeń. Istnieje jakiś rodzaj mitu, że jeśli się człowiek wyrывa z rustykalu, jakby być może powiedział Stasiuk - „przenosi się w przestrzenie industrialne”, to od razu cała jego psychiczność jest dowartościowywana. Myślę, że jest to jeden z mitów, lecz wcale tak nie jest. Jeśli ktoś potrafi z tym problemem sobie poradzić, nie musi się czuć gorszy.

**W.Szymański:** Stasiuk uciekł do małej wioski Czarne, Olga Tokarczuk uciekła do małej wsi gdzieś pod Wałbrzychem, w górach. Tam mieszkają, tam żyją, tam piszą książki. Czy kompleksy to przypadkiem nie jest to, co pęka w nas, kiedy coś nie wychodzi?

**J. Kamiński:** Żeby samego siebie nie obwiniać, że mi się nie udało, że mi nie idzie, no i może Bozia talentem nie obdarzyła takim jak trzeba, przerzucamy winę na coś, na kogoś...

**W.Szymański:** Na miejsce...

**Prof. C.Dziekanowski:** Na pewno jest tak jak mówicie, ale trzeba też pamiętać o tym, że pisarz to jest jedna z drobnych kategorii obywatela, można pisać wszędzie. To jest paradoks, ale łatwiej o transcendencje, łatwiej o odmienny, inny sposób bycia właśnie w małej przestrzeni niż w wielkim konglomeracie. Kultura miejska jest postrzegana jako niestety uboga, co więcej hochsztaplerska, nieautentyczna w wielu wypadkach.

**W.Szymański:** Stąd się biorą kompleksy, dlaczego twórcy mają kompleks prowincji?

**Prof. Cz. Dziekanowski:** Bronię jednak stanowiska, że jeśli nawet ktoś zgłasza, że ma kompleks prowincji...

**J. Binkowski:** ...to jest to jego problem...

**Prof. Cz. Dziekanowski:** ...tak, to jego problem. Ale to jest

problem, który bym nazwał dramatem, niepotrzebnym bagażem, zbędnym garbem, ponieważ to tylko oznacza, że ten człowiek nie żył tylko w konglomeracie, w centrum urbanistycznym, żeby doznał negatywnej strony tej przestrzeni. I wtedy wróci i doceni to miejsce, którym jest Białystok, czy jakieś inne mniejsze ośrodki, jak choćby Olecko. Tam jest olbrzymie natężenie intelektualne, bo tam przyjeżdżają ludzie, którzy mają dość miasta. Mielśmy przypadek choćby profesora Serczyka, który przeniósł się z Krakowa. Pomijam inne powody jakie mogły go skłonić do tego, aby się przeniósł do Białegostoku, ale on do Krakowa już nie wrócił, teraz jeśli się nawet wyniósł z Białegostoku, to pojechał do Rzeszowa. Zawsze mniejsze ośrodki mu odpowiadają. Inna rzecz, że on jest historykiem pogranicza, to prawdopodobnie jakoś wiąże z mniejszą przestrzenią.

Trudno jednoznacznie określić, co sprawia, że ktoś czuje się pokrzywdzony mieszkaniem czy pobytem w małej przestrzeni. Na szczęście zdarzyło się tak, że na przestrzeni swego życia byłem we wszystkich możliwych przestrzeniach. I w tej przemysłowej, jak Stocznia Gdańska, i mieszkalem dużo na wsi, kiedy pisałem swą drugą powieść, ale też w Londynie, w Paryżu przez jakiś czas, mieszkalem w Bostonie i w Chicago. Mam skalę porównawczą i jestem święcie przekonany, że Polacy wyleczą się, obojętnie jakie by to były kompleksy, kiedy po prostu zaczną się przemieszczać, podróżować, kiedy doznają różnych przestrzeni, ponieważ dla mnie kompleks prowincji wskazuje głównie na głód podróżowania, głód przemieszczania się.

**J. Binkowski:** Pisałem w różnych miejscach, aby coraz precyzyjniej nazywać swoje relacje do tego, co postrzegałem jako najważniejsze, niezależnie od tego, co i gdzie pisałem. Jest to trudna odpowiedź, bowiem wydaje mi się, że - jak tu jesteśmy - mielibyśmy ochotę powiedzieć, że nie mamy kompleksu prowincji. Natomiast mamy taką tęsknotę do uszanowania siebie wzajemnie. Może wówczas, kiedy jest mniej rywalizujących na arenie twórców, może wtedy wyraźniej widać to, że ktoś kogoś oblewa pomyjami, bo właśnie chce pokazać, że ten obłany jest taki śmierdzący, taki nie w porządku i gorszy w związku z tym. Myślę, że to bardzo ludzkie: tęsknić za uznaniem, natomiast wolałbym, aby realizowało się

wzajemne uszanowanie, po prostu uszanowanie trudu nazywania, bo akurat jesteśmy w kręgu piszących.

**J. Kamiński:** Żeby można było zaakceptować siebie takim, jakim się jest, trzeba włożyć w siebie sporo trudu.

I to jakim się jest i to, gdzie się jest. To są ludzie, którzy sporo trudu wkładają w zaakceptowanie siebie po to, aby znaleźć rodzaj takiego samoszacunku dla wytworów własnej pracy, miejsca w którym się jest. Nie wszyscy ludzie to potrafią zrobić, wielu wychodzi z założenia, że przydarzają się jakieś zbiegi okoliczności, że wyjazd do Moskwy - jak u Czechowa - rozwiąże wszystkie problemy. Czyli wyjazd stąd, wszędzie - byle nie tu. Zgadzam się z tym, co mówił Czesław. Polak rozpozna świat, ale nie rozpozna go tylko od strony Greenpointu, czyli od strony, która jest jakby na marginesie. Jeśli będzie miał okazję ten świat zobaczyć, to i będzie chciał tu wracać. To jest syndrom Odysa, świat trzeba przemierzać, trzeba poznawać, żeby można było rozpoznać własne miejsce.

**J. Binkowski:** Tak naprawdę, to intuicja, cokolwiek byśmy rozumieli pod tym słowem, wypełnia ten świat nieprovincialny. Poczucie własnego szczęścia gwarantuje nam, że nie czujemy się gdzieś z boku.

**Prof. Cz. Dziekanowski:** Pan wcześniej powiedział, że pan się zakochał i przeniósł się do Białegostoku. Miałem niedawno zajęcia ze studentami i w pewnym momencie, przedstawiając Junga, powiedziałem o koniunkcji, o idei zespolenia, zaślubin. Myślę, że tę kategorię koniunkcji można wykorzystać również w naszej dyskusji. Mianowicie - tak jak ważne dla kobiety czy mężczyzny, a zwłaszcza dla kobiety, aby być wybraną przez mężczyznę i wybrać mężczyznę, tak samo, myślę, ważną rzeczą jest móc wybrać przestrzeń i w pewnym sensie być wybranym przez tę przestrzeń, to znaczy być potrzebnym tej przestrzeni, w której się poruszam. To są swoiste zaślubiny. Myślę, że ci, którzy mówią, że mają kompleks prowincji, są to właśnie ci, którzy nie zostali wybrani i sami nie wybrali tej przestrzeni.

**W. Szymański:** Czy to może wynikać z faktu nieodnalezienia dla siebie tej kategorii? Właśnie ta przestrzeń mnie potrzebuje, tu po prostu jestem potrzebny.

**Prof. Cz. Dziekanowski:** Oczywiście, oczywiście.

**J. Binkowski:** A jeśli do tego słowa dodać miłość? To jest to nazwanie tego samego, co już zostało nazwane

**Prof. Cz. Dziekanowski:** Albo jestem zaślubiony, ożeniłem się z tą przestrzenią, czy jakoś zespoliłem się z nią, albo jestem obcy. Obcy mogą być wszędzie.

**J. Binkowski:** Ale też i model koniunkcji jest modelem mistycznym, jest właśnie syntezą mistyczną.

**J. Kamiński:** Jest taka piękna fraza u Eliota, sens jest mniej więcej taki: - nie zaprzestaliśmy naszego rozpoznawania świata i będziemy tę pracę w jakiś tam sposób kontynuować, a rozpoznamy to, od czego wyszliśmy, kiedy po jakimś tam czasie do tego miejsca wrócimy.

**W.Szymański:** I niech to będzie puenta tej rozmowy i wskazówka dla wszystkich tych, którzy czują się w jakikolwiek sposób zakompleksieni. Dziękuję za rozmowę.

*Opracowanie tekstu  
Wiesław Szymański*

## Aforyzmy i myśli

\*

**Pokora jako własność metafizyczna.** Jest wysoce możliwe, że pokora jest wręcz własnością metafizyczną, gdyż podstawą pychy może być tylko to, co przemijalne, uwarunkowane i zjawiskowe.

\*

**O herosach-naiwniakach.** Kto szczególnie mocno protestuje, ten daje świadectwo temu, że nigdy nie przeszedł *prawdziwego* zdezerzenia z obcą mocą.

\*

**Wzniosłość zakrytego.** To, o czym można mówić i o czym się mówi, jest nieskończenie mniej wartościowe od tego, o czym nie można mówić i o czym się nie mówi. To, co można pokazać i co się pokazuje jest nieskończenie mniej wartościowe od tego, czego nie można pokazać i czego się nie pokazuje. To co można udowodnić...To, o czym da się dyskutować... I tak dalej.

\*

**Biurowiec.** Jestem biurowcem. Na różnych piętrach dzieją się różne rzeczy.

\*

**Był sobie.** Był sobie raz Zbigniew Kaźmierczak...

\*

**Zewnątrz jako brat.** Zewnątrz to mój brat. Ale dlaczego jest tak, że zewnątrz to mój brat? Przez wzgląd na wszystkie owe do-brze znane powody, które tworzą identyfikację: dlatego, że biolo-



gicznie *potrzebuję* go, że *gram* nim, że chcę być z niego *dumny*.

\*

**Precyzyjnie i ładnie.** W dzieciństwie i młodości człowiek patrzy na to, Jak jego ciało precyzyjnie, ładnie się rozwija. Niedługo potem patrzy na to, jak jego ciało precyzyjnie, ładnie się rozwała.

\*

**Mówi generał.** Utytułowany generał mówi do siebie: „Będzie naprawdę wielką szkodą, kiedy osoba tak doświadczona jak ja będzie musiała kiedyś umrzeć”.

\*

**Piękno jako manipulacja.** Czy tzw. piękno nie jest najzwyczajniejszą *manipulacją* na naszych zmysłach dokonywaną przez odpowiednie bodźce?

\*

**Mądrość poza naszym ja.** „On jest bardzo mądry, bo wiele wycierpiał” - mówi się. Nic bardziej fałszywego. Znaczy to bowiem niestety, że *de facto* nie on jest mądry: że jego mądrość nie była jego dziełem, że została mu przekazana przez cierpienie i że - ostatecznie rzecz biorąc - znajduje się *poza* jego prawdziwymi *ja*.

\*

**O błakaniu się.** Jest logiczne, że nie przejdzie nikomu przez gardło „Jestem stary”, jeśli zarazem choć raz w życiu nie powiedział „Jestem młody”. Kto zatem nigdy nie powiedział „Jestem młody” z całą świadomością bycia młodym, podobny jest w wymiarze życiowym do owych duchów, które po śmierci zamiast przejść na tamten świat błakają się wciąż między ludźmi, jakby tracąc wszelkie poczucie właściwego dla człowieka przeznaczenia.

\*

**Zdania nieprawdziwe.** Nie chodzi o to, że zdanie nieprawdziwe jest nieprawdziwe. Chodzi o to, że zdanie nieprawdziwe jest szatańskie.

\*  
**Prawdziwy dualizm.** Podział na *ja* i *nie-ja* jest znacznie mniej ważny niż podział na *ból* i *nie-ból*. Co więcej: ten pierwszy wynika z drugiego.

\*  
**To, co dzieje się jest prawdą.** Nie kłóćmy się już dłużej, kto ma rację. To, co jeszcze wydarzy się w życiu każdego z nas, pokaże nam rzeczywistość - i uczyni to w sposób wyraźny, konkluzywny, osobisty. Tylko bowiem to, co się dzieje, jest prawdą i tylko to, co się wydarzy będzie prawdą. I tylko to, co się dzieje mówi, jak jest - obojętnie: zgodnie lub wbrew naszym deklaracjom, sporom czy życzeniom.

\*  
**Że rzeczywistość to uczucie.** Myślimy, że komunikujemy się ze światem za pomocą informacji poznawczych. W rzeczywistości jednak czynimy to głównie za pomocą uczuć. Istotny nasz błąd polega na tym, że drugi typ komunikacji bierzemy za pierwszy. Kiedy zastanawiamy się, jaka jest rzeczywistość, bardzo często (zawsze?) zastanawiamy się *de facto* nad kwestią: „*What are my feelings?*” Sądząc, że mamy kontakt ze światem, bardzo często (zawsze?) prowadzimy emocjonalny dyskurs z naszą emocjonalną, uzewnętrznąoną jaźnią.

\*  
**Przeciw prawdzie naturalnej spontaniczności.**  
„Kiedy oglądałem ten film, *przyszła mi do głowy myśl...*” „Kiedy patrzyłem na ten obraz, *ogarnęło mnie uczucie...*” „Kiedy słuchałem tej muzyki, *odniosłem silne wrażenie...*” W perswazyjnej sile tego typu zdań tkwi ukryte założenie, że pierwsza, spontaniczna myśl czy pragnienie są naturalne i że, jako takie, są one również prawdziwe. Tymczasem słuszniej może byłoby przyjąć, że - jeżeli jakaś - to nie pierwsza, lecz piętnasta, dwudziestoósma, a może dopiero trzechsetna myśl czy pragnienie moją ewentualne szanse na to, aby stać się prawdziwe.

## **MICHAŁ LECH SINICO**

### Aforyzmy

\*

Waląc głową w mur najpierw dokładnie sprawdź, kto... za nim stoi.

\*

Wyrachowany zazwyczaj celowo podcina gałąź, na której siedzi... bliźni.

\*

Głuchy na ludzkie błagania prawdopodobnie nie usłyszy głosu własnego sumienia.

\*

Choć dawno już minęło OŚWIECENIE wciąż cierpimy na nadmiar... ciemniaków.

\*

Mówiąc że myślisz-myśl o tym co mówisz.

\*

Nie licz na to że złowisz złotą rybkę - za dużo jest kłusowników.

\*

Niepoprawni optymiści nawet po komendzie - w tył zwrot - mają nadzieję, że idą do przodu.

- \*  
Dając kobiecie wolną rękę należy się liczyć z tym że... spęta obie.
- \*  
Oczekującym na mannę z nieba najczęściej zagraża... niedożywienie.
- \*  
Ten kto żywi tylko nadzieję - szybko chudnie.
- \*  
Wielkim grzechem kobiety bywa czasami grzeszenie... z byle kim.
- \*  
Tonącemu w długach nie rzuca się kamizelki... rachunkowej.
- \*  
Idea bogatych są pieniądze. Ubogich nie stać nawet na idee.
- \*  
Do wywoływania ducha w narodzie zwykle wystarcza... kryzys ekonomiczny.

## **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**

### **Aforyzmy**

\*

Maluczko, a i pamięć narodowa przestanie sięgać poza pamięć komputera.

\*

Niejeden literat przy Pegazie jest tylko stajennym.

\*

Nie każdy potrafi z wdziękiem sprostac swojej pokrętności.

\*

Wierzę w bociany, bo jeśli wyginą, mogą przestać rodzić się dzieci.

\*

Aforysta dodaje sól attycką do spartańskiej lakoniczności.

\*

Sens niejednej wypowiedzi układa się w mamonosylaby.

\*

Historia nie mówi, za co bogowie pokarali Kartezjusza myśleniem.

\*

A może by tak Order Uśmiechu na Widok Podwiązki?

- \*  
Czy poeta może zaoszczędzić? Chyba że na metaforze.
- \*  
Gdy alfons patrzy w gwiazdy, marzy o obrotach z ciał.
- \*  
Feudalizm: księżę poetów wasalem prezesa sponsorów.
- \*  
Życzenie nie musi być rozkazem. Bo serca nie należy musztrować.
- \*  
Sprawiedliwość najprościej dopinać jakimś paragrafkiem.
- \*  
Nie każdemu wytyka się to, co się akurat wtykało.
- \*  
Już w raju okazało się, że poznanie sprowadza się do zgłębiania kobiecości.
- \*  
Ideal udacznika: nic, co ludzkie, mu nie dolega.
- \*  
Problemu lepiej dotykać czubkiem języka niż językiem czubka.
- \*  
W serialu o korupcji będzie przypadał jeden Szarik na czterech pazernych.
- \*  
Najgłupsze ze zboczeń: stać z boku.
- \*  
Jeszcze jeden potworek: etos pracy w wersji dla bezrobotnych.

\*

Naga prawda jest nieprzyzwoita, bo pokazuje, jak bardzo sterczą jej żebra.

\*

Politycy nie lubią dzielić biedy, którą mnożą.

\*

Fiskus jest niedobry, kiedy odbiera dzieciom uśmiech, który podobno nic nie kosztuje.

\*

W księdze przeznaczenia literat mozolnie odkrywa słowo, które jest mu pisane.

\*

Upragniony moment historii: powstanie państwa polskiego z kłęczek na nogi.

\*

Miłosierdzie demokracji: dokarmianie biednych miską soczewicy.

\*

Urok dawnej uliczki: przy ośleju łączce niezabudka z piwem.

\*

Człowiek jutra będzie musiał chodzić ze złamanym kodem genetycznym.

\*

Tylko telewizja potrafi nadawać zdechłe programy na żywo.

\*

Czas kaleki: za dużo ludzi bez twarzy.

\*

Gazeta służy do podcierania mózgownicy.

\*  
Los człowieka nawet w odczłowieczonych czasach nie musi być w  
środku pusty.

\*  
Jestem poniekąd krótkowidzem. Pieniądze widzę krótko.

\*  
Doszliśmy do tego, że mamy guzik z polityki. Tyle że atomowy.





# WIESŁAW SZYMAŃSKI

## Krażek

/miniatura sensacyjna/

Osoby:

**SĘDZIA** - około siedemdziesiątki, stateczny,

**OBRONCA** - młodszy, przed czterdziestką,

**PROKURATOR** - w wieku Obrońcy,

/wnętrze pokoju, otwierają się drzwi po prawej, wchodzi Sędzia, Obrońca i Prokurator, zamykają drzwi, stoją/

SĘDZIA: Panowie, co to za cyrk

OBRONCA: Nie rozumiem...

PROKURATOR: Ani ja...

SĘDZIA: /do Prokuratora/ Czy pan oszalał? Nikt nie idzie do piachu za jakiś krążek!

OBRONCA: No właśnie...

SĘDZIA: /do Obrońcy/ Na wolność też nie. Czekam na panów propozycje?

PROKURATOR: Ale przez ten krążek zginęło dwoje ludzi!

SĘDZIA: Dobrze, dwadzieścia lat i wracamy na salę. Szkoda czasu.

OBRONCA: Czyjego?

SĘDZIA: I waszego, i mojego. Okej? Za godzinę gram w golfa z Rogowskim.

OBRONCA: Pogratulować! To jeden z najlepszych golfistów w tym kraju.

PROKURATOR: No i dyrektor gabinetu Prezydenta.

SĘDZIA: /niecierpliwie/ Bez aluzji, dobrze? Panów propozycje...

PROKURATOR: Najwyższy wymiar kary!

OBRONCA: Uniewinnienie!

SĘDZIA: Dobrze, skoro tak – wracamy – i wpuszczam na salę dziennikarzy!

PROKURATOR: Czy to konieczne?

SĘDZIA: Niech się dowiedzą, co było na tym krążku!

OBROŃCA: I kto przez niego zginął.

PROKURATOR: To nie ma nic do rzeczy!

SĘDZIA: /do obrońcy/ Co obrona ma na myśli?

OBROŃCA: Proszę zapytać prokuratora.

SĘDZIA: /do Prokuratora/ Czy ja o czymś nie wiem?

PROKURATOR: Joanna Mirska była moją kochanką...

SĘDZIA: Sekretarka mecenasa Rogowskiego?!

OBROŃCA: Tak. Przez jej ręce przechodziły informacje dotyczące finansowania kampanii wyborczej prezydenta.

SĘDZIA: /do Prokuratora/ To prawda?

PROKURATOR: O pieniądzach?... Tak.

SĘDZIA: Nie, to pierwsze...

PROKURATOR: Tak...

SĘDZIA: Od dawna?

PROKURATOR: Jakies dwa i pół... nie, prawie trzy lata.

OBROŃCA: W związku z tym, panie sędzio, w postępowaniu oskarżenia obrona dopatruje się motywów osobistych.

PROKURATOR: To są dwie różne sprawy...

OBROŃCA: Pozwalam sobie sądzić, że żądanie przez oskarżenie najwyższego wymiaru kary jest powodowane zemstą osobistą wobec oskarżonego.

PROKURATOR: Nie widzę związku!

SĘDZIA: Panowie, usiądźmy... Może lampkę koniaku?

/ słycać kroki, otwieranie szafki, brzęk szkła, bulgotanie trunku w kieliszkach, kroki powrotne, siadają w fotelach, chwila ciszy/

PROKURATOR: /pije, westchnienie/ Zamordowano dwoje ludzi... To wszystko...

OBROŃCA: /przerzywa/ Śmiem twierdzić, że nie... To nie wszystko.

SĘDZIA: Nie rozumiem?

PROKURATOR: O co panu chodzi?

OBROŃCA: /pije wolno, odstawia kieliszek, z pewnością w głosie/ Otóż, panowie... krążki są dwa!

SĘDZIA: Skąd pan to wie? /chwila ciszy/

OBROŃCA: Pan, panie sędzio, również o tym wie?

PROKURATOR: To jakiś bezsens. Dysk jest jeden i zawiera zestawienie wpłat dokonanych na konto sztabu wyborczego prezydenta przez sponsorów...

OBROŃCA: Jakich sponsorów? Przecież to pieniądze od mafii!

SĘDZIA: Mecenasiem!!!

OBROŃCA: Przepraszam...

SĘDZIA: Skąd pan wie o drugim dysku?

OBROŃCA: Od oskarżonego.

PROKURATOR: /przerywa/ To kłamstwo! Kamiński mówił o jednym krążku!

OBROŃCA: Oskarżony dostał go od Mirskiej.

PROKURATOR: To niemożliwe!

OBROŃCA: Tak na wszelki wypadek, to kopia.

SĘDZIA: Mirska знаła Kamińskiego?

OBROŃCA: Przecież pracowali w jednym budynku. To po pierwsze. A po drugie – /upija łyk koniaku, mówi powoli, z nutą dwuznaczności w głosie / – Mirska brała życie pełnymi garściami...

PROKURATOR: /zrywa się z fotela/ Łiesz, gnido!

SĘDZIA: Panowie!!!

OBROŃCA: /z tą samą nutą w głosie/ Tylko nie gnido. Miał pan ochotę na ten dysk, prawda?

SĘDZIA: Panowie, spokojnie. Nie widzę związku...

OBROŃCA: Miał pan ochotę, co? A tymczasem krążek dostał się byle informatykowi z biura prezydenta!

SĘDZIA: Proszę o spokój. Panie prokuratorze, dlaczego oskarżony miałby zamordować Mirską i jej męża, skoro właśnie od niej dostał dysk?

OBROŃCA: To jest właśnie linia obrony, dziękuję, panie sędzio. /pociąga łyk, odstawia kieliszek, zapala papierosa/

SĘDZIA: Panie prokuratorze, słucham?

PROKURATOR: Takie otrzymał polecenie!

SĘDZIA: Od kogo?

OBROŃCA: To bzdura. Kamiński nie zamordował Mirskiej.

SĘDZIA: Na pistolecie są jego odciski palców.

OBRONCA: Kamiński leżał nieprzytomny obok samochodu ofiar...

PROKURATOR: Z dymiącym pistoletem w dłoni!

OBRONCA: To nie dowód!

PROKURATOR: To jakich dowodów pan potrzebuje?!

SĘDZIA: Ekspertyza to potwierdziła. Mirską i jej męża zastrzelono z tej właśnie broni.

OBRONCA: Kamiński nie zabił! Został w to wrobiony.

PROKURATOR: Jechał za nimi. Jego auto znalezione na sąsiedniej ulicy. Czy tak?

OBRONCA: /zaciąga się papierosem/ Zgadza się.

PROKURATOR: Strzelał z własnego pistoletu, tak?

OBRONCA: Kupił go na bazarze kilka dni wcześniej.

SĘDZIA: Tego w aktach sprawy nie ma!

OBRONCA: Ustaliłem to wczoraj...

PROKURATOR: Protestuję, to ewidentne zatajenie dowodów...

SĘDZIA: Zaraz, o ile dobrze czytałem akta – Kamiński pracował w strzeżonym dzień i noc obiekcie... nawet jeździł rządową lanią z ochroną. Więc po co mu broń?

/chwila ciszy, ktoś sięga po kieliszek, odstawia/

OBRONCA: Kamiński się bał.

SĘDZIA: Czego!?

OBRONCA: Raczej – panie sędzio – kogo?

SĘDZIA: Będzie pan uprzejmy – bez kalamburów – dobrze?

OBRONCA: Przepraszam.

SĘDZIA: Może pan to wyjaśnić...?

OBRONCA: /zaciąga się papierosem, głęboko, wypuszcza dym/  
Na dysku, który Kamiński dostał od Mirskiej, była jeszcze jedna lista...

PROKURATOR: To jakieś brednie! Nie ma pan żadnych dowodów! Jaka lista ?!

SĘDZIA: Mam pana wyprosić?

PROKURATOR: Dziękuję.

SĘDZIA: O jakiej liście pan mówi, mecenasie?

OBRONCA: /po pauzie/ To baza danych programu „Oxford”. /zapada cisza/

SĘDZIA: /zupełnie innym głosem, ni to przestraszonym, ni to

zdlawionym/ Przepraszam panów, na chwilę, zaraz wracam.  
/Sędzia wstaje, kroki, wychodzi, trzaśnięcie drzwi/  
PROKURATOR: Do kurwy nędzy?! Skąd to masz?  
OBROŃCA: /zaciąga się głęboko/ Wiesz, dlaczego wyszedł?  
PROKURATOR: Kto ci to dał?  
OBROŃCA: Boisz się, co ?  
PROKURATOR: Wiedziały o tym dwie osoby...  
OBROŃCA: O jedną za dużo.  
PROKURATOR: Joanna nie mogła...  
OBROŃCA: No pewnie, przecież była za młoda, żeby studio-  
wać za pieniądze mafii.  
PROKURATOR: Rogowski... to jeden...  
OBROŃCA: Boisz się, prawda? A tak – wyrok i spokój.  
Była sprawa, nie ma sprawy. Dwa trupy, wyrok, i po wszystkim,  
co?  
PROKURATOR: Ale... kto drugi ...  
OBROŃCA: Stanowisko wiceministra bliżutko, zgadza się? A tu  
co? – wybitny prawnik studiował za pieniądze mafii, żeby się  
później bossom w sądzie krzywda nie stała! Wiesz, co z tego  
zrobią gazety? Pasztecik! Z jajeczkiem w środku!  
PROKURATOR: /cisza, pociąga głęboki łyk, stanowczo odsta-  
wia kieliszek/ Sędzia Brodzki! O kurwa!  
OBROŃCA: Był koordynatorem programu, prawda?  
PROKURATOR: Nie wiedziałem...  
OBROŃCA: Nie udawaj, musiałeś wiedzieć!  
PROKURATOR: Wiedziałem, że jest ktoś drugi...  
OBROŃCA: Jacek... posłuchaj...  
PROKURATOR: Ale że on... kurwa jasna!  
OBROŃCA: /wstaje, kilka kroków po pokoju/ Jacek... posłu-  
chaj...  
PROKURATOR: /jakby do siebie/...ale że on?  
OBROŃCA: /bardziej stanowczo, bliżej/ Jacek... jesteś na tej  
liście!  
PROKURATOR: /bez wrażenia/ No i co?  
OBROŃCA: Odkrył to Kamiński. Powiedział Mirskiej...  
PROKURATOR: Nie udowodnisz tego!  
OBROŃCA: Dlatego cię zostawiła, prawda?

PROKURATOR: Nie masz szans. Zaraz wróci Brodzki...  
OBROŃCA: Nie wróci. Ta lista to dla niego śmierć.  
PROKURATOR: Ty sukinsynu...  
OBROŃCA: Jacek?!

PROKURATOR: Dopiąłeś celu, co? Przez tyle lat dręczyła cię myśl...  
OBROŃCA: Jacek...  
PROKURATOR: ...dlaczego wzięli mnie, a nie ciebie – prymusa?  
OBROŃCA: ...ty zabiłeś Mirską!  
PROKURATOR: Bo byłem najlepszy! Dlatego chcieli mnie, rozumiesz?!

OBROŃCA: Zabiłeś Joannę...  
PROKURATOR: ...byłem najlepszy. A oni płacili tylko za najlepszych. Dlatego to robisz, tak? Żal ci szmalu? Masz rację!!! Jest go więcej niż piasku.  
OBROŃCA: Mylisz się, wcale nie dlatego...  
PROKURATOR: ...więc dlaczego, kurwa, dlaczego?  
OBROŃCA: /cisza, zza okna słychać policyjną syrenę/ Zabrałeś mi Joannę...  
PROKURATOR: /ze zdziwieniem/ Co!? Przecież to zwykła dziewczka!  
OBROŃCA: ...była moją siostrą.  
PROKURATOR: ...twoją... Joanna?... siostrą? Stary, co ty pierdolisz? /otwierają się drzwi, GŁOS/  
GŁOS: Panowie, proszę nie opuszczać budynku sądu... Sędzia Brodzki...  
OBAJ: Co?  
GŁOS: Znalaziono go przed chwilą w toalecie... nie żyje...

KONIEC

# **APOLONIUSZ BOGUMIŁ CIOŁKIEWICZ**

## **Farszki \***

### **Miałaś**

Miałaś we mnie swego fana,  
kiedyś była rozebrana...

### **Doradca**

Prawda, że w życiu dziwne bywają układy?  
Daję sobie radę, dając innym rady...

### **Do naiwnego**

O czym to marzysz, głupi człowiecze?  
Nie mając pleców, chcesz mieć zaplecze?

### **Bez kolejki**

Wciąż wejście czynne –  
z deszczu pod rynnę...

---

\* Do korektora i drukarza: Prosimy sensu nie zabierać...

## **Modlitwa rojalisty**

Panie Boże, króla chroń,  
na królową daj mu broń...

## **Obscenium?**

Wrona sarka  
na kanarka:  
- Jaki ptaszek...  
- Jaka szparka!

## **Prawidłowość**

Gdy cienie przechodzą w blaski,  
cisza się zmienia w oklaski.

## **Wybitny**

Nawet burczy  
w sposób twórczy.

## **Talent**

I zażarty ateista  
z bożej iskry też korzysta.



## Zanim spotkamy się nad Styksem

Wiesław Szymański debiutował jako poeta w 1975 roku. Opublikował siedem książek poetyckich, tom limeryków oraz zbiór słuchowisk radiowych. Od ponad 20 lat pracuje w Radiu Białystok. Jego najnowszą książką jest tomik pt. "Niska 13 B".

Szymański, wśród wielu kwestii, podejmuje problem relatywizmu, postmodernistycznego rozmycia kategorii moralnych:

*Po której stronie jest dobro  
A gdzie zło - ustalą eksperci  
Którzy za miesiąc spotkają się w Davos  
Albo za godzinę -  
nad Styksem  
(Popołudnia zmęczonych powiek)*

W wierszu "Kartka do przyjaciół i wrogów", utworze dedykowanym *Wszystkim, których spotkałem na Niskiej*, poeta wyznaje, z czego bierze się jego pisanie:

*Z was moje pisanie  
Choć o tym nie wiecie  
Z klęski i triumfu  
Z bezładu i bólu  
Z bezradności i wiary  
W sens każdego kroku*

*Z ucieczki przed jutrem  
W złudną orgię dzisiaj  
Z zachłyśnięcia chwilą  
I z bezchwili życia*

Źródłem i pożywką poezjowania dla naszego autora jawi się więc wszystko, co spotkane, przeżyte. To, co w sferze realizacji i to, co w sferze tęsknot, pragnień, oczekiwania.

W świecie supernowoczesności, totalnego stechnicyzowania, telefonów komórkowych i komputerów człowiek wyrzeka się tradycji jako czegoś staroświeckiego, zacofanego, mało atrakcyjnego. Zamiast do kościoła idzie do sauny (*SMS od Włodka*), a Boga traktuje instrumentalnie i egoistycznie, jako panaceum - środek zaradczy, sposób na wszelkie trudności i kłopoty:

*Kopanie kartofli*

*Protest pielęgniarek*

*Pyskówka nad projektem niedobrej ustawy -*

*Do wszystkiego Pan Bóg*

*Niezbędny - łaskawy*

*Może ponad miarę*

*Bo przecież nie skąpy*

*(...)*

*Dobry Panie spraw...*

*Przecież mnie pamiętasz...*

*Nawet wiersza bez tego dzisiaj już nie piszą...*

*Pan na każdą okazję!*

*(Pan na każdą okazję)*

W odwiecznie zhierarchizowane i uporządkowane uniwersum współczesny człowiek wprowadza utopijne sensy, chaos i pseudo-wartości. Jak autentycznie odnowić rzeczywistość, przywrócić pierwotny sens i porządek? Należy po prostu "zacząć od nowa". To chyba trochę zbyt idealistyczny pomysł natury epistemologicznej - pomimo wszystko powtórzyć akt kreacyjny, bez oglądania się w przeszłość czy wychylenia w przyszłość.

*wystarczy by świat*

*zacząć od nowa*

*nie oglądając się na koniec dwudziestego*

*czy początek trzydziestego*

*stulecia*

*(Przebudzenie)*

*może*

*kiedy zaczniemy szybciej budować*

*niż niszczyć*

*świat zacznie się od początku*

*(Zwykły drewniany chlewek)*

Ważną kategorią jawi się pamięć. Niestety, traktujemy ją karykaturalnie, zdawkowo. Tylko to, co zbywa dajemy innym - w sposób schematyczny, a zarazem minimalistyczny pamiętamy o nich:

*Pamięć o zmarłych - mierzona*

*Długością knota*

*w oblesnym cielsku stearyny*

*najtańszego znicza*

*pod cementarnym murem*

*w pośpiechu*

*za grosze*

*(Przypominanie)*

Czas za wszelką cenę - podpowiada poeta - należy "zageszczać", przydawać mu sensu ("Za trzy ósma", "Mój czas"). Brakuje nam pięknej prostoty: *Obrastamy w tłuszcz słów / W fałdy kont i lokat* ("Za trzy ósma"). Brakuje autentycznego bohaterstwa, maksymalizmu moralnego, pięknego szaleństwa. W zamian są tacy oto "bohaterowie": *Szymon Słupnik z baru naprzeciwko / i Joanna d'Arc z rogu Liniarskiego i Lipowej* ("Tak niezdarnie śmieszni"). Kultura "wysoka" oraz wartości duchowe stają się mało atrakcyjne: *Za pięć albo dziesięć lat / Niepotrzebni już będą / Szymborska i Zagajewski* ("Czarny poniedziałek").

Podmiot liryczny z wierszy Szymańskiego zanurza się w terażniejszość, ale zachowuje konieczny dystans - głównie dzięki humorowi i ironii. Uważnie obserwuje wszystko, co rozgrywa się w barwnym, "świecidełkowym" kalejdoskopie współczesności. Zauważa, iż rzeczy pospolite i zwyczajne częstokroć są wartościowsze i piękniejsze od supernowoczesnych. Poeta wykorzystuje metodę kontrastowania, zestawienia i "wyliczaniek". W tych ostatnich dochodzi do głosu dowcip, np. w "Wylizance dla Krysienki Zet" czy w "Wylizance dla Staszka".

W ogóle w swoim poezjowaniu Szymański nie stroni od rymu i śpiewności. Część tekstów ma postać quasi-piosenek, zwłaszcza o charakterze satyrycznym. To, że autor ma łatwość poezjowania - jest dla niego i dobre, i złe. Złe w tym sensie, że czasem niesiony, uskrzydłony tą łatwością, tworzy teksty słabsze, bardziej doraźne, frywolne czy interwencyjne. Wtedy z tonów "poezji czystej" -

“wysokiej” schodzi ku dyskursowi cywilizacyjnemu czy społecznemu. Warto w tym miejscu zacytować Zbigniewa Herberta “Do Ryszarda Krynickiego - list”:

*na chude barki wzięliśmy sprawy publiczne  
walkę z tyranią kłamstwem zapisy cierpienia  
lecz przeciwników - przyznasz - mieliśmy niekiedy małych  
czy warto zatem zniżać świętą mowę  
do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet*

*tak mało radości - córki bogów w naszych wierszach Ryszardzie  
za mało świetlistych zmięchów luster wieńców uniesienia  
nic tylko ciemne psalmodie jękanie animuli  
urny popiołów w spalonym ogrodzie*

Chociaż Szymański nie zanurza się zbyt w dyskusje ideologiczne i nie wikła się w teraźniejszość aż nadto przemożnie (jak np. “Nowa Fala”), to jednak wir dookolnych przemian bardzo go pociąga. Może najbardziej od strony obyczajowej i świadomościowej:

*Zeglujemy w głębiny oceanów  
i ziemi - a ciągle jeszcze  
Rumienimy się na dźwięk słowa  
Dusza*

*Wybudowaliśmy atomowe elektrownie  
Ale zamiast czuć się bezpiecznie -  
musimy ich teraz pilnować  
przed niewiernymi i pomyłonymi  
Ramionami wiatraków szukając  
Najbliższego podmuchu nadziei  
(Zapis przed świtem)*

Nasz poeta ma naturę romantyka. Pelen emocji opowiada się za tym, że człowiek ma odnaleźć tożsamość własnej duszy, że liczy się głównie jego “duchowe wyposażenie”, naturalność uczuć, szczerłość i prostota.

Szymański potrafi też uprawiać poezję pozbawioną sztafażu doraźnych spraw codziennych czy zbyt romantycznej tkliwości. Świadczy o tym np. utwór “Cisza zmięchów”. Ponadto - jak każdy prawdziwy poeta - wyczulony jest na język - również ten potoczny, np.

w "Jedenastym szkicu przedpółnocnym" napisze: *Myslałeś kiedyś, że przeleciś śmierć?* Potrafi twórczo wykorzystywać język potoczny do formułowania problemów uniwersalnych. Zgrabnie operuje paradoksem, co widać już w tytułach (np. "Wiersz dla dobrze znanej nieznanym"). Nade wszystko jest niezmiernie bystrym obserwatorem rzeczywistości. I tworzy ciekawą poezję. A stanie się ona jeszcze wartościowsza, gdy nasz poeta będzie bardziej uniwersalizował swoje obserwacje.

---

**Wiesław Szymański, "Niska 13 B",** Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2001, ss. 76.

---



## „Zew Itaki” Janusza Niczyporowicza

Podobno recenzja to obiektywne i merytoryczne omówienie (na przykład) dzieła literackiego. Czy jednak pisanie recenzji nie sprowadza się zazwyczaj do autokratycznego ferowania wyroków, czyli umieszczania tego, co recenzowane, na skali, której przeciwnymi biegunami są bezwzględne werdykty. Pierwszy z nich ("uniewinniający") nosi tytuł "Trwaj wiecznie!", a drugi ("skazujący") zawiera przekleństwo "Obyś nigdy się nie narodził".

Przypominam o tym nie dlatego, byście mogli się Państwo śmiać z mojego recenzenckiego "poczucia mocy". Piszę o tym, ponieważ nowy zbiór reportaży Janusza Niczyporowicza zatytułowany *Zew Itaki* stawia przede mną następujący wybór: czy lepiej "chwalić", umieszczając tę książkę w kontekście tak zwanej "literatury białostockiej", czy raczej "ganić" konfrontując reportaże Niczyporowicza z prozą Kapuścińskiego i esejami o sztuce Herberta. Oczywiście, oba zestawienia można zakwestionować. Literacki Białystok dawno stracił kontakt z rodzimą, bliską zapomnianym niemal "Kontrastom", swego czasu znaczącą tradycją reporterskiego pisania. (W tej sytuacji książki Niczyporowicza nie ma już dzisiaj z czym w naszym mieście zestawiać.) "Problem" z Kapuścińskim polega na tym, że wydaje się on "zbyt dobry" jako pisarz (reporter ?), by Niczyporowicz mógł zostać z nim skonfrontowany, by mógł się wobec niego ostać. A Herbert? Czy porównując *Zew Itaki* z *Barbarzyńcą w ogrodzie* albo *Labiryntem nad morzem* w ogóle dopuszczalne jest twierdzenie, że Niczyporowicz pisze o sztuce?

### Układ

Żeby ostatnią książkę Janusza Niczyporowicza z czymkolwiek zestawiać, niezbędne są przynajmniej podstawowe ustalenia doty-

czące jej samej. Czym więc jest *Zew Itaki*? Co usprawiedliwia jego istnienie jako jednej książki, jako całości? Szkoda, że odpowiedź na tak postawione pytania najłatwiej wskazać "na zewnątrz", czyli tam, gdzie rozstrzygane są kwestie dotyczące kompozycji *Zewu Itaki*.

Ostatnia książka Janusza Niczyporowicza jest precyzyjnie skomponowana. Dziesięć tekstów zostało podzielonych na trzy grupy, trzy sekwencje podporządkowane arytmetycznej regularności: 3 - 4 - 3. Każdą z grup poprzedzają motto (zawsze trzy), których związek z poszczególnymi reportażami świadczy o inteligencji, erudycji, a przede wszystkim o przewrotnym poczuciu humoru Autora. (Spróbujcie Państwo pokoiarzyć motto i teksty, zapewniam: dobra i niekoniecznie wolna od myślenia zabawa.) Dopelnieniem zewnętrznego porządku panującego w książce są zamykające każdy reportaż pointy. Obok dwuznacznych: tak jak ta, która kończy opowieść o *jaskini filozofów* Sokrata Janowicza (przytyk?), osobistych: *Nic mnie nie goni* (?), są też pointy efektowne: KONIEC ŚWIATA. REŻYSERIA - ANDY WARHOL, a nawet "prawdziwe", czyli smutne:

*Jan Maksymiuk na przełożenie tej powieści (Ulissesa - uzup. D.K.) poświęcił osiem lat. Nigdy od nikogo nie otrzymał za to żadnego honorarium.* (s. 49)

Bardzo proszę, zwróćcie Państwo szczególną uwagę na po prostu mądrą, pojemną treściowo pointę, która pojawia się w finale reportażu o sejneńskiej Fundacji Pogranicze. Jak śmieszna (dzięki niej) musi wydawać się granica między "naszym": Mazury i "cudzym": Prusy Wschodnie.

### Zasada

Najważniejsza zasada organizująca *Zew Itaki* wynika ze skłonności Niczyporowicza do konfrontowania tego, co ważne, wielkie, paneuropejskie i światowe z tym, co prowincjonalne, regionalne i peryferyjne. Obszaru spotkania powszechnie znanych ze znanymi niewielu szuka Niczyporowicz w przestrzeni kultury. *Zew Itaki* nie powinien być jednak traktowany jako koneserskie sprawozdanie z odwiedzin muzeów, twórców i komentującej sztukę literatury. Niczyporowicz opisuje "białostockie", przede wszystkim białoru-

sko-polskie pogranicze. Szuka jego tożsamości czy wręcz tajemnicy. Próbuje zbliżyć się do fenomenu kresów północno-wschodnich, miejsca rozpoznawalnego jako *czarodziejski tygiel litewsko - białorusko - ukraińsko - żydowsko - polski, z tatarską przyprawą, posmakiem cygańskim, na staroobrzędowym wywarze, chasydzkim dymie* (s. 77).

### Zew Itaki

Janusz Niczyporowicz nie zbliżył się do tajemnicy kresów, tak jak na przykład Ryszard Kapuściński dotknął prawdy o czarnym łądzie w swoim *Hebanie*. *Zew Itaki* można jednak usprawiedliwić. Wystarczy bowiem to, co w książce Niczyporowicza jest, czyli bezcenne przeświadczenie, że stąd (z Hajnówki, z Bielska Podlaskiego, a nawet z oddalonej od Białegostoku o 40 kilometrów wsi Lachy), z prowincji, z peryferii, z naszych kresów, z "białostockiego" końca świata wcale nie tak daleko do Monachium, Paryża, Nowego Jorku czy Dublinu. Dowód? Kiedy Jan Maksymiuk, rocznik 1958, przetłumaczył *Ulissesa* na język białoruski (nikt przed nim tego nie dokonał), okazało się, że arcydzieło Jamesa Joyce'a to coś więcej niż szczodry upominek kulturalnej Europy dla "azjatyckiego" pustkowiaka. Ten przekład potwierdza fakt, który ważny jest nie tylko dla nas - "ludzi stąd": my naprawdę możemy się porozumieć. I to nie tylko ze światem (co do tego z reguły nie mamy wątpliwości), ale także ze swoimi kresowymi sąsiadami. Przecież porozumienie wymaga czegoś więcej niż znajomości języków obcych. Czy nie służy mu wpisana w śródziemnomorską kulturę (nie tylko w jej literackie arcydzieła) wbrew pozorom nierozzerwalna, łącząca i definiująca nas więź? *Ulisses* Joyce'a jest nasz, czyli Irlandczyków, Francuzów, lecz również Polaków i Białorusinów. Skoro gramy w jednej drużynie, jak możemy nie grać razem?

Łatwo wybaczyć Niczyporowiczowi, że nie jest Ryszardem Kapuścińskim i umykają mu tajemnice tożsamości nie tylko wielkiego świata, ale także jeszcze większych (pojemniejszych) kresów. Łatwo mu wybaczyć, że nie jest klasykiem, który ma odwagę wiedzieć, ponieważ stara się łączyć i sprzyja temu, co zwykło się nazywać "porozumieniem". *Zew Itaki* (w języku politycznych komuni-



katów prasowych) "służy dialogowi oraz wzajemnemu zrozumieniu". Brzmi to makabrycznie, ale - jeśli pomoże nie rozmawiającym ze sobą od bardzo dawna mieszkańcom kresowego, *czarodziejskiego tygla*, jeśli pozwoli im odnaleźć się w świecie - jeśli im (a więc nam) się uda, język, w którym "napiszą" o tym gazety, nie będzie miał specjalnego znaczenia.

### Niespodziankowanie czytelnika

Trudno jednak być równie wyrozumiałym wobec języka *Zewu Itaki*. Najbardziej przeszkadza mi jego sensacyjno-rynkowa schematyczność powielana we wszystkich reportażach książki. Niczyporowicz pisze tak, jakby nie wierzył we własne pisanie. Albo tak, jakby wierzył tylko i wyłącznie w czytelniczny rynek funkcjonujący według zasady: bez rekordu Guinnessa (na każdej stronie!) ani rusz. Rezultat? Teksty pełne "hiperbolicznych" wtrętów w rodzaju: *pierwsze w dziejach sztuki, najważniejsze obrazy życia, pierwszą abstrakcyjną akwarela, pierwszy świadomy artysta, największy na świecie zbiór malarstwa*. (Wszystkie przykłady pochodzą wyłącznie z pierwszego reportażu.) Rozumiem, że są rzeczy pierwsze i największe, ale Niczyporowicz nie pisze przecież leksykonu osobliwości. Przedstawiane przez niego kwestie są wystarczająco ważne i nie potrzebują "hiperbolicznego doładowania". Sprawa jest poważna, dla *Zewu Itaki* typowa, mieszcząca się w rynkowym ("Patrzcie, sensacja!") kreowaniu książki.

Niczyporowicz uwielbia "niespodziankować czytelnika", czyli wodzić go za nos, przygotowując nieoczekiwane rozwiązania i powiązania osobno prezentowanych miejsc i postaci. (Przykład? Miasteczko Murnau oraz dotyczący go związek Jana Białostockiego z Wasylem Kandinsky'iem.) Można to wytłumaczyć potrzebą ujawniania tego, co sam Autor kilkakrotnie nazywa "ironią losu", ale trudno mi przyjąć takie rozwiązanie. Niech to będzie tylko kwestia mojej nieufności, jednak muszę napisać, że w książce Niczyporowicza łatwiej dostrzec skłonność do niezbyt wyszukanego zabiegania o uwagę czytelnika niż potwierdzoną przedstawianymi faktami, bolesną prawdę dotyczącą życia, które nieustannie ironizuje na temat naszych pragnień, oczekiwań i nadziei.

## Zemsta sztuki zbagatelizowanej

Nikt w polskiej literaturze współczesnej nie pisał tak znakomicie o sztuce jak Zbigniew Herbert. Janusz Niczyporowicz dużo więcej niż o pop-arcie ma do powiedzenia na temat Andy Warhola. Jego reportaże to portrety. Herbert przekracza granice bycia encyklopedycznym koneserem. Dzieła, które opisuje, sprawiają wrażenie pochodzących z jego osobistych zbiorów - tak są mu bliskie, tak bardzo do niego należą, on tak bezwzględnie i ponadkompetencyjnie należy do nich. Niczyporowicz, biorąc pod uwagę obecność sztuki w jego ostatnich reportażach, to popularyzator przekonujący do malarstwa romansami, skandalami oraz Ostatnią Wieczerzą widzianą (namalowaną) z perspektywy Judasza.

Sztuka to "margines" *Zewu Itaki*, to jedynie tło i środek do mówienia o wielkim: pancuropejskim, światowym i kresowym porozumieniu. Problem w tym, że ani wielkie malarstwo, ani wielka literatura niezbyt chętnie dają się zredukować do roli nadużywanego narzędzia albo atrakcyjnego, ale tylko ornamentu. Bagatelizowana sztuka potrafi się mścić. Oto dwa przykłady.

1. Jak można zaakceptować zdanie: *Warhol pierwszy dostrzegł w ludzkim przerażeniu malarski temat.* (s. 21)?

2. *Joyce pokazał (...) inny świat. Był to świat Dedalusa i Blooma, uliczki Dublina, czyste szaleństwo, czystą formę, czystą whisky, wędrówki po mózgu i po rynsztokach, myślenie, którego celem nie jest przekaz treści uporządkowanych lecz pierwotność formy nad treścią.* (s. 45)

Pominę "wątpliwości" natury składniowej, które budzi ten fragment. Ważniejsze jest dla mnie to, co dotyczy *Ulissesa*. Czytając reportaż Niczyporowicza można odnieść wrażenie, że dzieło Joyce'a stanowi "wielki" przykład czystej formy, czystego szaleństwa, czyli pierwotności formy nad treścią. Nie mogę się zgodzić na takie postawienie sprawy. *Ulises* to arcydziełny przykład tego, jak forma podporządkowana jest treści i bezpośrednio z niej wynika. Przecież Joyce nie bawił się w bezinteresownego eksperymentatora, tylko sięgnął tak głęboko w nas, jak nikt przed nim w literaturze. Głębokość tego "sięgnięcia" i jego (wynikająca z potrzeby pokazania "wszystkiego") totalność wymagały nowych rozwiązań formalnych. Stąd czasoprzestrzenny syntetyzm i monolog strumienia świadomości.

## Post scriptum

Panie Januszu, przypomniano mi niedawno opowieść o tyranie, który zesłał do kamieniołomów kogoś, kto wezwany na dwór, zrezygnował z chwaleńców władcy. Na szczęście ani Pan nie jest tyranem, ani ja owym kimś, czyli Filoksenosem. A mówiąc poważnie, chciałem serdecznie Panu podziękować za *Zew Itaki*, bo dawno nie czytałem "białostockiej" prozy, która byłaby równie ważna i na tyle dobra, by można było wobec niej zrezygnować z "lokalnych (czytaj: zdawkowych) głasków". To duża przyjemność pisać o czymś, co chociaż tkwi "tutaj", jest otwarte na wszystkie strony świata. Kapuścińskiego i Herberta nie przywołałem złośliwie. Uznałem po prostu, że lepiej "ganić" z perspektywy najlepszych niż "chwalić" odwołując się do... nikogo, bo przecież w Białymstoku nie miałbym z kim Pana porównać.

A tak na marginesie: wydaje mi się, że bywa Pan niekiedy zbyt jednoznaczny, na przykład wtedy, gdy tłumaczy Pan pochodzenie Warhola, to jego "znikąd" (nie wiem też, czy można nie mieć wątpliwości co do samobójczej śmierci Marilyn Monroe). Chyba szkodzi książce pretensjonalność "zasadniczych" pytań Michała Juszczuka. Ani to filozofia, ani literatura (te jego wiersze...). Zastanawiałem się nad Pańskimi "literackimi" czasownikami (*Osuwam się z bieszczadzskich wyżyn...*, *dorodnieja na żągonie ziemniaki...*). Pamiętam otwierający książkę, podobnie "literacki" przysłówek *niespiesznie*. Ciągłe brak mi przekonania do takiej "literackości" (zwłaszcza w reportażu, nawet literackim). Dużo bardziej odpowiada mi sposób pisania charakterystyczny dla zupełnie innych fragmentów *Zewu Itaki*. Zacytuję dwa:

Białystok. Getto. Zakłady krawieckie. Bohater opowiada o swoim stryju, którego matka *robiła dziurki na guziki w niemieckich mundurach. (...) Niemcy pilnowali, żeby guziki dokładnie pasowały do dziurerek, bo to podnosiło morale wojska. - Ale matka opowiadała w domu, że w tej samej fabryce reperowano także stare mundury i czasem zdarzało się szyć dziurki po kulach. To bardzo podnosiło morale Żydów.* (s. 112)

Drugi fragment: *A on (Warhol - uzup. D.K.) tu jest. W maleńkich Medzilaborcach na Słowacji. Można sobie z nim zrobić zdjęcie.*

- *Za optatą - ostrzeża kasjerka i odlicza mamonę.* (s. 25)

### „Sąsiedzi”

– nowa seria Wydawnictwa Pogranicze

„Sąsiedzi” – to oczywiście tytuł głośnej Jana Tomasza Grosa o zbrodni dokonanej na Żydach w Jedwabnem. Książki, która spotkała się w Polsce z falą krytyki z jednej, a z wielką przychylnością z drugiej strony – wywołując narodową dyskusję o polskim antysemityzmie, i nie tylko.

O ile jednak profesor Gros opisał dokładnie zdarzenia sprzed 60 lat, koncentrując się na chronologii zbrodni, o tyle zabrakło w jego pracy choćby rozdziału traktującego o Jedwabnem, jego mieszkańcach, ich wzajemnych relacjach – sprzed dnia hańby.

Bowiem tak naprawdę – niewiele wiemy o tym, jak ta wielokulturowa i wielowyznaniowa społeczność żyła w latach 20 czy 30.

Może właśnie dlatego Wydawnictwo Pogranicze rozpoczęło publikację nowej serii książek – pod tytułem „Sasiedzi” – iżby takie miejsca, owe pogranicza, styki kultur, wyznań, historyczne miejsca wspólne – opisać.

Już po lekturze pierwszej z nich – wydanej wiosną tego roku pracy Szimona Redlicha „Razem i osobno” powiedzieć można było – no właśnie! – takiej książki o Jedwabnem brakuje. Nie jest to bynajmniej praca o Jedwabnem. Redlich wychował się w Brzeżanach – niewielkim miasteczku niedaleko Lwowa – gdzie od wieków żyli obok siebie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. I przez wieki była to dla nich „mała ojczyzna” – wieloetniczne, wielokulturowe miasto budowane – choć nie bez zgrzytów – wspólnym wysiłkiem kilku nacji. Ale przyszła wojna – i zabiła to niesamowite miasto. Jego ślady przetrwały w dokumentach i wspomnieniach ludzi, którzy przeżyli i dziś żyją w najbardziej odległych zakątkach świata. Jak do tego doszło? Szimon Redlich przeprowadził kilkaset rozmów, przestudiował setki dokumentów – krok po kroku, za rękę, prowa-

dzi nas przez historię Brzeżan. Rzeczywiście – takiej książki o Jedwabnem nie ma.

Zupełnie inna w konstrukcji jest druga publikacja z tej serii – „Ziemia i chmury” – czyli Joanny Szwedowskiej rozmowa z Szewachem Weisssem. Bohatera znamy choćby z telewizji – jest ambasadorem Izraela w Polsce. Ale mało kto wie, że urodził się w Boryslawiu – mieście trzech narodów – polskiego, żydowskiego i ukraińskiego. W tej książce Weiss opowiada – o dzieciństwie, o polskiej rodzinie, która uratowała go od niechybnej śmierci, o trudnych latach w Izraelu, wreszcie o wyborze – jakiego świadomie dokonał wybierając na miejsce swojej pracy dyplomatycznej właśnie Polskę.

Pełno w tej opowieści żalu, goryczy, tęsknoty – ale i przykładów prawdziwie ludzkiego, człowieczego, współzycia Polaków i Żydów. To również jest książka o pograniczu.

Najnowsza publikacja sejneńskiej serii „Sąsiedzi” – to książka Wojciecha Tochmana „Jakbyś kamień jadła”. Reporterski zapis podróży do Bośni – w której prace ekshumacyjne prowadzi dr Ewa Klonowski – antropolog – kobieta, która mówi otwarcie „Kocham kości, kości do mnie przemawiają”.

Srebrenica, Tuzla, Sarajewo – nazwy, które jeszcze niedawno odmieniano przez wszystkie możliwe przypadki. Dzisiaj pozostał ból, bezsilność, nienawiść. Pojawiają się w każdej opowieści zanotowanej przez Tochmana – w relacjach wielokrotnie gwałconych kobiet i krzyżowanych mężczyzn, którzy cudem przeżyli. Określenia – wstrząsające, straszne, bestialskie – już nie wystarczają. Dlatego autor szuka nowego sposobu opisu, nowego języka.

Raport, dokument – jakim by słowem nie określać tej książki – trzeba ją po prostu kartka po kartce, ze łzami czy bez – przeczytać. A wtedy – proszę mi wierzyć – słowo „sąsiedzi” zabrzmie zupełnie inaczej.

Trzy różne książki - trzy metody opisu pogranicza i sąsiedztwa. Trzy obrazy minionego wieku – stulecia wojen i krwi.

Czy następna książka z serii „Sąsiedzi” pokaże już świat wieku XXI?

## **Jurgis Kunczinas - „Tula”**

Pomysł powieści nie jest ani nowy, ani szczególny. Powiedzieć by nawet można – banalny. Ona – Tula – jest utalentowaną panną z dobrego domu, z zainteresowaniami artystycznymi, szukającą w życiu miłości i sensu – wbrew woli rodziców, którzy uparli się, by szybko i dobrze wydać córkę za mąż – nie zważając – a nawet mając gdzieś – jej oczekiwania, tęsknoty i wyobrażenia o ludzkim bytowaniu.

On – bezdomny włóczęga, tęskniący za kawiarniano-artystycznym życiem, żyjący z dnia na dzień, za byle grosz – zarobiony gdzie i jakkolwiek się da – nie wylewa za kołnierz, czego naturalną konsekwencją jest alkoholizm w wydaniu istic podręcznikowym.

Trzeci bohater tej opowieści – to oczywiście miłość, która kochanków połączyła. Czyż nie banalne ?

Oczywiście - tyle, że ów banalny schemat Jurgis Kunczinas potrafił rozpisnąć na znakomitą, zapierającą dech w piersiach powieść.

Po pierwsze – realia. Lata 80. Wilno, surowa sowiecka rzeczywistość, którą i Litwini, i Polacy, i Białorusini chcieliby jak najszybciej zapomnieć. Sowiecki system wartości, sposób traktowania ludzi, szczególnie chorych czy ... właśnie – alkoholików. Są w tej książce fragmenty niczym nie ustępujące legendarnej powieści Jerofiejewa – „Moskwa – Pietuszki”.

Po drugie – bohater – nieudacznik i moczymorda pierwszej wody – opętany miłością potrafi znaleźć siły, by wrócić z pijackiego zesłania do szpitala gdzieś w głębi Związku Radzieckiego do niej, do ukochanej, tej jedynej – ba, nie tylko wrócić, ale i wyjść z nałogu... a przynajmniej spróbować.

A kiedy ukochaną utraci – właśnie miłość – jedyne, co mu w

życiu pozostało poza chorobą alkoholową – każe odnaleźć Tulę, a właściwie jej prochy – i po kryjomu pogrzebać pod podłogą małego mieszkańka gdzieś nad brzegiem Wilenki, na pokrywie urny wyrywszy uprzednio dwa zdania: „Tu leży Tula. Bóg zna jej prawdziwe imię.” To jedna z najpiękniejszych scen tej książki.

Po trzecie wreszcie – narracja, sposób opowiadania, język i fraza prozy Kunczinasa. Blisko 250 stron zamkniętych w ... monologu! Ile w tym pracy tłumaczki książki na język polski – poetki Alicji Rybałko – trudno – nie znając litewskiego – ocenić, ale przepiękna polszczyzna tej powieści to bez wątpienia jej właśnie zasługa.

A jeśli Tula wcale nie istniała? – pomyślałem – zamykając książkę po lekturze. Czy jest to powieść li tylko o miłości? A może o poszukiwaniu idei, sensu życia – nawet jeśli dla bezdomnego alkoholika nie ma ono sensu żadnego?

Powieść Jurgisa Kunczinasa uznana została przez krytyków za jedno z najważniejszych osiągnięć współczesnej literatury litewskiej, czego dowodem była nagroda Związku Pisarzy Litewskich.

Sam autor mieszka w Wilnie, ma w dorobku sześć tomików wierszy, pięć zbiorów opowiadań i trzy powieści, pisze też scenariusze filmowe, tłumaczy z języka niemieckiego. Jak na rocznik 1947 – dorobek to spory. Wydaje się jednak, że najlepsze książki Kunczinasa ma jeszcze przed sobą.

Wydana przez sejneńskie wydawnictwo „Pogranicze” - „Tula” jest ich znakomitą zapowiedzią. Obyśmy tylko nie musieli zbyt długo czekać.



## Spis treści

|   |     |
|---|-----|
| Jan Leończuk .....  | 3   |
| Grigorij Kanowicz<br><i>Żydowski park</i> .....                   | 6   |
| Anna Markowa .....  | 15  |
| Janina Kozak – Pajkert .....                                      | 20  |
| Leonarda Szubzda .....  | 22  |
| Józefa Drozdowska .....   | 26  |
| Irena Słomińska .....   | 28  |
| Małgorzata Sochoń .....   | 32  |
| Janina Osewska .....  | 34  |
| Jerzy Binkowski .....   | 36  |
| Ryszard Chodźko .....   | 59  |
| Henryk Gała .....   | 43  |
| Mieczysław Rzepniewski .....                                      | 48  |
| Jerzy Sikora .....  | 51  |
| Zbigniew Tanajewski .....   | 53  |
| Anna Gniewkowska<br><i>Profesor</i> .....                         | 55  |
| Anna Janina Kloza<br><i>Migawki z tureckiej dzielnicy</i> .....   | 63  |
| Andrzej Wydmieński<br><i>Niebo w kaluży</i> .....                 | 76  |
| Wojciech Załęski<br><i>Anatema i supraskie nieszczęście</i> ..... | 80  |
| <i>Tajemnica braciszka Efrema</i> .....                           | 92  |
| <i>Złe oczy</i> .....   | 99  |
| Monika Borowik .....  | 103 |
| Anna Chomczyk .....   | 106 |
| Małgorzata Dobkowska .....  | 108 |



|   |     |
|---|-----|
| Katarzyna Drzemicka .....   | 111 |
| Irena Grabowiecka .....   | 114 |
| Helena Ostaszewska .....  | 115 |
| Edyta Ślącza - Poskrobko .....  | 118 |
| Marta Wojewódzka .....  | 119 |
| Jerzy Lech Lisowski .....   | 122 |
| Sławomir Tomasz Markowski .....   | 124 |
| Sławek Rezanow .....  | 127 |
| Włodzimierz Sawczuk .....   | 128 |
| <br>Jerzy Sikora  |     |
| <i>Grupa poetycka „Niezapłacony Rent” z Chicago</i> .....                                     | 131 |
| <br>Dariusz Adam Zeller   |     |
| <i>Historia pewnej znajomości</i> .....   | 144 |
| <br>Agnieszka Bojarska .....  | 146 |
| Irena Gołko .....   | 149 |
| Marta Jackowska .....   | 151 |
| Agnieszka Strycharska .....   | 152 |
| Kamil Dąbrowski .....   | 154 |
| Marek Górynowicz .....  | 156 |
| Tadeusz Jedliński .....   | 158 |
| Artur Truszkowski .....   | 163 |
| <br>Tadeusz Dawidejt  |     |
| <i>Podróże Fafuły Żeglarza</i> .....  | 166 |
| <br>„Z kompleksami, czy bez...”   |     |
| Zapis dyskusji redakcyjnej emitowanej w programie<br>Radia Białystok 21 marca 2002 roku ..... | 184 |
| <br>Zbigniew Kaźmierczak  |     |
| <i>Aforyzmy i myśli</i> .....   | 191 |
| Michał Lech Sinico  |     |
| <i>Aforyzmy</i> .....   | 194 |
| Kazimierz Słomiński   |     |
| <i>Aforyzmy</i> .....   | 196 |

|   |     |
|---|-----|
| Wiesław Szymański   |     |
| <i>Krążek</i> (miniatura sensacyjna) .....                  | 200 |
| <br>  |     |
| Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz                              |     |
| <i>Farszki</i> .....  | 206 |
| <br>  |     |
| Jerzy Sikora  |     |
| <i>Zanim spotkamy się nad Styksem</i>                       |     |
| (rec. „Niskiej 13B” Wiesława Szymańskiego) .....            | 208 |
| Dariusz Kulesza   |     |
| <i>„Zew Itaki” Janusza Niczyporowicza</i> .....             | 213 |
| Wiesław Szymański   |     |
| <i>„Sąsiedzi” - nowa seria Wydawnictwa Pogranicze</i> ..... | 219 |
| Wiesław Szymański   |     |
| <i>Jurgis Kunczinas - „Tula”</i> .....                      | 221 |

Epea:  
almanach t.2  

---

Eo



119468

ISBN 83-88248-43-X